ALPHONSE S. WOLANIN

# GAMA WARSZAWY

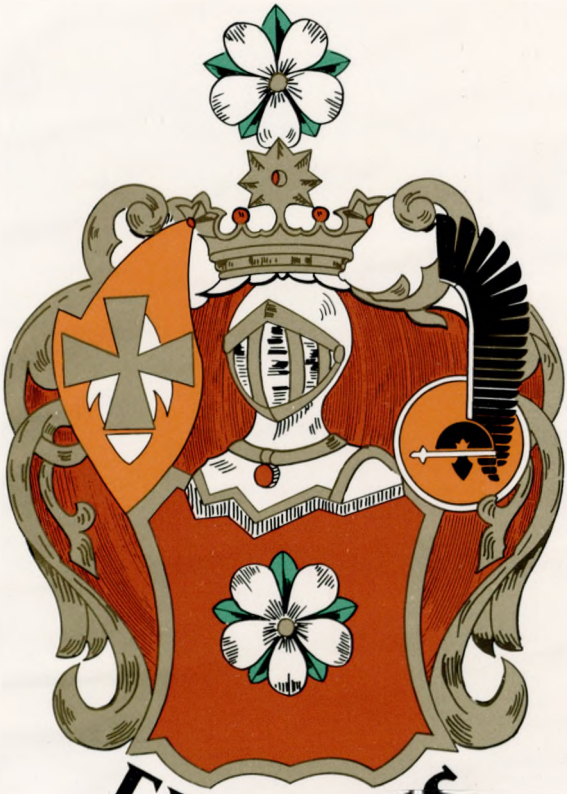

EX LIBRIS
LODA and EDWARD C. ROZANSKI
133681

# GAMA WARSZAWY

DRUKIEM "NARODU POLSKIEGO"
984 Milwaukee Ave. Chicago, Ill.

ALPHONSE S. WOLANIN

# GAMA WARSZAWY

## POWIEŚĆ SENSACYJNA NA TLE PRZEDWOJENNYCH STOSUNKÓW

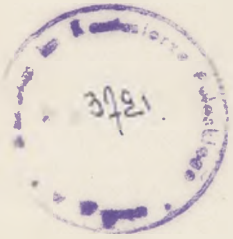

CHICAGO, ILLINOIS
1940

OKŁADKĘ RYSOWAŁ JAROSŁAW UNGERMAN



COPYRIGHT BY ALPHONSE WOLANIN

*SABINIE ŁOGISZ*
*za Jej wesoły uśmiech*
*i dobre serduszko.*

# ROZDZIAŁ I.

— Panie Komendancie! — meldował starszy przodownik policji Janusz Gruziński, w postawie pełnej uszanowania przed Komendantem Wojewódzkiej Komendy P. P. Józefem Marszczykiem.

— Zdemaskowałem Maksa. Jak zwykle przypadek przyszedł mi z pomocą. Jest to człowiek...

— ...Brzęk... Brzęk... padły nagle strzały... St. przod. Janusz Gruziński, jak piorunem rażony padł na ziemię, nie wydawszy najmniejszego jęku.

Przerażony komendant szybko podskoczył do niego. Nachyliwszy się skonstatował, że ma stygnące zwłoki przed sobą.

Błędnym wzrokiem rozejrzał się dookoła. Podbiegł do biurka i szybko pocisnął wszystkie guziczki dzwonków elektrycznych alarmując całą Komendę.

Zaciekawiony i przestraszony personel, począł masowo napływać do gabinetu Marszczyckiego.

— W mych oczach została popełniona zbrodnia — krzyknął komendant grzmiącym głosem.—Otoczyć budynek Komendy wraz z przyległym. Zamknąć sąsiednie ulice. Baczną uwagę zwrócić na kamienicę, stojącą naprzeciw tego okna,—drżącą ręką wskazał na okno przez które padły śmiertelne strzały.—Znajdujących się tam przesłuchać szczegółowo.

— Na kogo padnie choćby najmniejsze podejrzenie, przysłać tutaj. Sam przesłucham—skinął ręką, dając do zrozumienia, aby spełniono wszystkie rozkazy. Drugą przesunął po czole pokrytym małymi kroplami potu.

Kilku ze stojących i spoglądających w niemym przerażeniu na leżącego w kałuży krwi, która zastygła wokoło głowy zabitego odłączyło się od zgromadzonych. Wybiegli spełnić rozkazy. Znajdujący się między nimi lekarz policyjny, przystąpił szybko do zbadania zwłok zabitego.

Komendant Marszczycki telefonicznie w krótkich słowach uwiadomił o zaszłym wypadku sędziego śledczego. Sędzia przyrzekł natychmiastowe przybycie.

Po całym budynku rozlegały się okrzyki i odgłosy licznych kroków biegających gorączkowo wywiadowców policyjnych. Całą maszynerię Komendy wprawiono w ruch. Telefonicznie wezwano okoliczne posterunki do pomocy.

Komendant Wojew., P. P. Józef Marszczycki, człowiek starszy liczący około pięćdziesięciu lat, posiwiały w służbie policyjnej, ponu-

rym wzrokiem z silnie pofałdowanym czołem spoglądał na nachylonego lekarza, zajętego badaniem zwłok zabitego.

— Dwa strzały w głowę—rzekł lekarz prostując się.—Jeden od drugiego w oddaleniu około dwóch centymetrów. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Komendant Marszczycki nic nie odrzekł. W milczeniu skubał palcami siwy wąs.

— Zabójca musi być świetnym strzelcem,—ciągnął po krótkiej przerwie lekarz,—a raczej mistrzem w strzelaniu, bowiem zastrzelić kogoś z odległości mniej więcej dwunastu metrów, przez szyby okienne, jest nie lada sztuką.

W tej chwili drzwi się otwarły i na progu ukazał się sędzia śledczy. Przyprowadził z sobą protokolanta.

Pan Michał Maliński, zajmował stanowisko sędziego śledczego od kilkunastu lat. Mógł wtedy liczyć około czterdziestu-pięciu lat; średniej budowy, wzrostu niskiego, sympatyczny i miły, mimo powierzchownego chłodu. Energicznie zarysowany podbródek oznaczał silny charakter i niezłomną wolę. Obdarzony był nadzwyczajnym sprytem w odkrywaniu zawiłych zagadek. Tarczą i puklerzem był jego niezachwiany spokój i zimna logika. Z nadzwyczajną przezornością potrafił wyzyskać każdą nadarzającą się sposobność. Najbardziej zatwardziały zbrodniarz poddany ogniom jego pytań krzyżowych, w końcu ulegał mu bezapelacyjnie.

Bystrym spojrzeniem swych przenikliwych szarych oczu objął gabinet komendanta. Lekko skinąwszy głowę na powitanie, wolnym krokiem, podszedł do stojących obok zabitego.—Sprawa Maksa—rzekł krótko, swym suchym pozbawionym wszelkich modulacji głosem.

Komendant Marszczycki skinął głową.

— Dlaczego go zastrzelono?—pytał sędzia Maliński.

— Zgłosił się do mnie, celem złożenia raportu,—odparł komendant.—Tajemniczy morderca, musiał zapewne dowiedzieć się o tym, gdyż w chwili, gdy z ust st. przod. Janusza Gruzińskiego miałem usłyszeć jego nazwisko, padły strzały. Uniemożliwiły dokończenie raportu. Zabójca miał szczęście—o dwie sekundy później—a wiedziałbym jego nazwisko...

— Więc nie zdążył podać nazwiska,—przerwał sędzia.

— Nie!

— Co za potęga? Co za geniusz zbrodni kryje się w umyśle tego człowieka—mówił głosem gniewliwym sędzia, ze złością uderzając po nogach skórzaną teczką trzymaną w ręku.—Kim on jest? Demonem, czy samym czartem, że w centrum policji zabija człowieka, mogącego go zdemaskować.

Słowa sędziego napełniły obecnych dreszczem grozy, tak, że z lękiem spoglądali dookoła, jakby przed obawą ukazania się "Tajemniczego Maksa".

— Czy przeglądnął pan zawartość kieszeni zabitego?—zapytał.

— Nie!—odparł komendant.—Muszę przyznać, że o tym jeszcze nie pomyślałem.

— To źle,—wtrącił sędzia Maliński.

— Pozwoli pan sędzia. Teraz to uskutecznię.

Nachylił się nad zwłokami. Zabity ubrany był całkowicie. Poły granatowej kurtki rozsunęły się i opadły na podłogę. Komendant odpiął pas służbowy z rewolwerem.

Następnie sięgnął po portfel, a palce jego szybko i sprawnie obmacały kieszenie.

Portfel podał sędziemu.

W kieszeniach marynarki nie znalazł nic prócz białej chusteczki bez monogramu.

Z prawej kieszeni kurtki wyciągnął pudełko kartonowe z papierosami.

Otworzył. Było tam kilka papierosów gatunku Grand Prix.

W bocznej kieszonce znalazł srebrny zegarek z niklową dzieżką szwajcarskiej marki. W kieszeniach spodni znajdowały się pieniądze; trochę drobnej monety i kilka zmiętych banknotów papierowych, niklowa zwykła zapalniczka i pęczek kluczy.

To było wszystko.

Wyjęte przedmioty ułożył na podłodze obok siebie. Wstał i zabrał się do przeglądania. Sędzia podał mu portfel z zwyczajnej czarnej skóry, mocno podniszczonego od długiego używania.

W małej wewnętrznej przegródce znajdowało się kilka nic nieznaczących zapisków, rachunków restauracyjnych i parę biletów wizytowych.

W jednej z większych przegródek znajdowała się legitymacja służbowa i kilka dokumentów osobistych. W drugiej dwa banknoty po pięćdziesiąt i jeden dwudziestozłoty. Zbadał jeszcze, czy nie ma jakiej innej sekretnej przegródki lecz przekonał się, że prócz tych które przeglądnął, nie było więcej.

Zniechęcony machnął ręką.

— Najmniejszego świstku,—rzekł.—Żadnego śladu któryby mógł służyć za wskazówkę.

— Czemu ten człowiek nie wpadł na pomysł zapisywania swych spostrzeżeń, — rzekł sędzia, — jak to nieraz inni czynią. Musiał wpaść na bardzo ważny trop. Wiedział zapewne, że zbrodniarz, którego odkrył jest niebezpiecznym człowiekiem, a był na tyle głupi, że nie miał się na ostrożności.

— Lecz któż mógł przypuszczać, — przerwał ustykiwania sędziego komendant Marszczycki, jakby na usprawiedliwienie zabitego,— że w samym centrum policji, mordercza ręka tego zbrodniarza, może zapobiec zdemaskowaniu.

— Słusznie, — rzekł sędzia. Podszedł do biurka komendanta i otwarłszy teczkę skinął na stojącego protokolanta. Przystąpił do śledztwa.

Dochodzenia przeprowadzone przez sędziego Malińskiego wykazały: trzy tygodnie przed wypadkiem w kamienicy, z której padły strzały, zjawił się niejaki Stefan Roman jegomość o starszym wyglądzie z żółtą pomarszczoną twarzą i siwą pomierzwioną brodą. Wynajął pokój, który był nie zamieszkały od kilku tygodni. Po dokonaniu zbrodni zbiegł w niewiadomym kierunku autem krytym, pomalowanym na kolor żółty.

Policjant pełniący służbę na tej ulicy widział podobnego osobnika, jak wbiegł szybko do auta i z miejsca ruszył w stronę Mokotowa. Oświadczył ponadto, że auto pomalowane na żółto, miało numer W 141-35. Zawiadomiono wszystkie posterunki. Jednak nie zdołano trafić nie tylko na najmniejszy ślad zbiegłego, lecz także auta. Jak się potem okazało numer auta był fikcyjny. W rejestrach podobny numer nie figurował.

W pokoju, który rzekomy "Roman" zajmował przeprowadzona rewizja, wykryła tajny mikrofon, przeprowadzony do gabinetu komendanta Marszczyckiego umieszczony u nasady we framudze okiennej. Drut ukryty był pod rynną przechodzącą obok okien gabinetu. Zbrodniarz mógł znać tajemnice Komendy Wojewódzkiej Policji.

Tak się przedstawiało zabójstwo st. przod. P. P. Janusza Gruzińskiego.

Podane fakta nie uspokoiły wzburzonej opinii publicznej, domagającej się schwytania zbrodniarza i wymierzenia mu kary.

Wszystkie dzienniki prześcigały się we wzajemnym opisywaniu sensacyjnych wyczynów tego "mordercy-szantażysty". Nie było w Warszawie mieszkańca, któryby nie znał szczegółów różnych zbrodni, popełnionych przez "demona występku". Przypisywały mu zbrodnie dokonywane od szeregu miesięcy.

Gdy w dziennikach pojawiły się pierwsze notatki o istnieniu mordercy - szantażysty, występującego pod pseudonimem "Maksa", publiczność przechodziła nad tym do zwykłego porządku dziennego z ironicznym uśmiechem, przyjmując je jako bajeczkę zmyśloną przez dzienniki żądne sensacji.

Wszelkie popełnione, a dotychczas nie wykryte zbrodnie, kładziono na karb niezaradności policji i domagano się szeregu zmian od miarodajnych czynników.

Od czasu rozruchów politycznych i wypadków majowych, nie mieli warszawianie takiej sensacji, któraby mogła zaintrygować wszystkie umysły, jak wiadomość o zastrzeleniu w samym centrum policji st. przod. Janusza Gruzińskiego, którą wielkimi literami oznajmiały wszystkie dzienniki.

— Co za spryt i odwaga u tego zbrodniarza, — mawiano wszędzie, — który w ostatnim momencie zapobiegł zdemaskowaniu.

Odnosiło się wrażenie, że warszawianie, mimo jego zbrodniczej działalności, podziwiali go, entuzjazmując się na ten temat.

Więcej ekspansywni zatrzymywali się w grupach i dawali ujście swej fantazji, wywołując liczne zbiegowiska na ulicach tak, że policja zmuszoną była do interwencji przy pomocy gumowych pałek.

Jegomościów tych zamykano w areszcie za zakłócenie spokoju publicznego, aby dać im możność, ulżenia w skłonności do opowiadania.

Najgorszym był fakt, że policja nie mogła podać dokładnie kim był ten człowiek, jak wyglądał i jakie było jego stanowisko społeczne.

Obecny wypadek doprowadził do tego, że jeden na drugiego spoglądał z nieufnością. Wzajemna podejrzliwość wzrosła do tego stopnia, że pewien kupiec przechodząc przez ulicę, spostrzegł biegnącego za nim bardzo szybko jakiegoś nieznajomego mężczyznę, gwałtownie poruszającego rękoma. Trzymał coś czarnego, niby małe prostokątne pudełko. Przerażony kupiec myśląc, że jest to machina piekielna, a człowiekiem biegnącym "Maks" począł wrzeszczeć na cały głos. "Policja, mordują, na pomoc! . . . " Momentalnie utworzyło się zbiegowisko. Znajdujących się tam kilku policjantów spisało protokół. Rozpędziło zbiegowisko, a jeden z nich wniósł skargę na kupca o zakłócenie spokoju, z powodu wszczęcia fałszywego alarmu. Biegnącym okazał się Bogu ducha winny fotograf, który biegł, aby dokonać zdjęcia, przejeżdżającej autem, jakiejś wybitnej osobistości, bawiącej chwilowo w Warszawie.

Z tego więc wynika w jakim stanie nerwowego rozprężenia znajdowały się umysły zazwyczaj spokojnych warszawiaków.

Wydawcy dzienników robili kokosowe interesy, na dodatkach nadzwyczajnych, które co godzinę pojawiały się informując o nowych szczegółach dotyczących tajemniczego "Maksa".

Kurjer Warszawski, jedno z najpoczytniejszych pism podawał, że jest to człowiek pozbawiony wszelkich skrupułów, nieprzebierający w środkach komunista, że stoi na czele silnie zorganizowanej bandy komunistów; inny dziennik znów, że jest to człowiek zajmujący wybitne stanowisko w kołach towarzyskich Warszawy, i różne tym podobne bujdy, na które warszawianie tracili ciężko zapracowany grosz, szybko rozchwytując wszystkie dodatki napełniając kieszenie wydawców.

Na wszystkich kioskach i tablicach policyjnych, wielkimi literami wydrukowane widniały ogłoszenia:

50,000 ZŁ. NAGRODY!!!

"Dnia 11-go października o godz. 11 przed południem podczas zdawania raportu w Komendzie Wojewódzkiej P. P. został zabity

dwoma strzałami rewolwerowymi w głowę st. przod. P. P. Janusz Gruziński.

Strzały padły z okna kamienicy stojący vis a vis okień gabinetu komendanta Wojewódzkiego.

Zbrodni dokonał według wszelkich danych, morderca i szantażysta grasujący na terenie Warszawy od kilkunastu miesięcy, a występujący pod pseudonimem "Maks".

Przeciwko wymienionemu lub jego ewentualnym wspólnikom, zostały wydane rozkazy aresztowania.

Temu lub tym którzy przyczynią się do zaaresztowania osobnika występującego pod pseudonimem "Maks" lub pomogą do zlikwidowania ewentualnej szajki, wymieniona nagroda będzie wypłacona w całości.

OPIS OSOBY: Po raz ostatni występował pod nazwiskiem Stefana Romana. Legitymował się sfałszowanym dowodem osobistym.

Wyglądał na lat około pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt. Twarz pokryta licznymi zmarszczkami. Cera żółta. Oczy małe jasne. Włos rzadki siwy. Bez wąsów. Broda pomierzwiona siwa. Być może sztuczna. Wzrost średni. Mniej więcej jeden metr sześćdziesiąt ośm centymetrów. Znaków szczególnych stwierdzić nie zdołano.

Podpis J. A. Marszczycki Komendant Kmdy. Wojew. P. P. w Warszawie.

Tak wysokiej nagrody, wyznaczonej na schwytanie złoczyńcy warszawianie nie pamiętali.

W prywatnych mieszkaniach, w kawiarniach, na ulicy, nawet w złodziejskich melinach, całymi dniami dysputowano na temat olbrzymiej nagrody.

Różnorodne masy domorosłych detektywów rzuciły się na poszukiwania.

Co chwilę fałszywie alarmowano posterunki o zjawieniu się "Maksa".

Anonimowe doniesienia całymi masami wpływały do Komendy Policji, która chcąc nie chcąc zmuszona była przeprowadzić żmudne i bezowocne dochodzenia.

Minister spraw wewnętrznych wysłał pismo do Urzędu śledczego, aby już raz położono kres tej dominującej sensacji.

Pismo było wystosowane w ostrej formie.

Minister klął, szef Urzędu śledczego klął, sędzia śledczy prowadzący sprawę klął, policja klęła, wszyscy klęli, lecz złość ich nic nie wpłynęła na schwytanie, sprytnego złoczyńcy, który niedługo dał czekać na siebie . . .

## ROZDZIAŁ II.

Kurier Kraków-Warszawa, ziejąc ogniem, buchając kłębami czarnego dymu, ze zgrzytem i hałasem mknął, pochłaniając przestrzeń z wielką szybkością. Niby długi czarny wąż, wijący się ciemnym pasmem, sunęły wagony błyszczące oświetlonymi oknami, napełnione podróżnymi, którzy z ufnością oczekiwali kresu podróży.

Komin ciężko sapiącej lokomotywy, wyrzucał z siebie snopy iskier, które stawały się coraz więcej widoczne w szybko zapadającym zmierzchu pochmurnego dnia październikowego.

Z okna przedziału pierwszej klasy, Stacha Korecka śledziła zachwyconym i zdziwionym spojrzeniem, swych pięknych, ocienionych ciemnymi rzęsami lazurowych oczu, mijane krajobrazy, powoli zacierające się w mroku i opadającej białymi welonami w mgle wieczornej.

Po chwili, zdziwienie i zachwyt znikły z jej twarzyczki, ustępując miejsca, zadumie!

Wsparła swą kształtną główkę na wąskiej białej ręce, a duże jej oczy zaszły mgłą smutku.

W ciszy i samotności przedziału, ogarnęły ją wspomnienia przeszłości.

Z szybkością przewijającej się taśmy kinematograficznej, przechodziła kolejno raz jeszcze własne przeżycia.

Myślą pomknęła ku matce, której nie znała. Odumarła ją, gdy była jeszcze niemowlęciem. Całą swą miłość kochającego serca oddała ojcu, zachowując tylko malutki kącik dla nieznanej matki.

Rodzeństwa więcej nie miała. Była jedynaczką. Krewnych również nie miała, a raczej nie znała, gdyż ojciec wspominał czasem o swym zaginionym bracie Zygmuncie Koreckim, który wyemigrował przed laty do Ameryki.

Ignacy Korecki, ojciec Stachy, zmarłej swej żonie oddany był wprost bałwochwalczo.

Całymi godzinami przesiadywał przed portretem zmarłej i z zamyślonym wzrokiem tonął we wspomnieniach.

Wówczas ona siadała u jego kolan, a ojciec utkwiwszy tkliwe spojrzenie w portrecie, miękką dłonią gładził jej jasne włosy i głosem pełnym smutku powiadał:

"Twoja matka była aniołem dobroci i poświęcenia. W dniu w którym ją straciłem, serce moje zamarło na zawsze".

To co mówił było prawdą. Mimo, że był młodym i przystojnym mężczyzną, nie ożenił się po raz drugi.

Jak się później dowiedziała, matka jej Irena Korecka zmarła tragicznie podczas pożaru.

Płonął dom, z którego rozlegały się rozpaczliwe wołania o pomoc kilkuletniego chłopczyka, wyciągającego błagalnie rączki przez okienko na poddaszu. Dom był zamknięty. Rodzice chłopczyka byli nieobecni. W jaki sposób powstał pożar nieustalono. Przechodząca tamtędy Irena Korecka, mimo zgromadzonych ludzi, którzy w milczeniu i ze zgrozą przyglądali się tragedii, szybko nim ktokolwiek z obecnych mógł ją zatrzymać wbiegła do płonącego domu, którego drzwi leżały na ziemi. Już przed nią kilku śmiałków starało się przedostać tędy na pomoc chłopcu, lecz po wybiciu drzwi odporniom uderzył ich taki żar, że cofnęli się ze strachem.

Na widok wbiegającej jeden okrzyk grozy wyrwał się z ust zgromadzonych. W chwili, gdy zniknęła w buchającej dymem i ziejącej ogniem czeluści domu, dach się zawalił, grzebiąc pod swymi gruzami nieszczęśliwą wraz z dzieckiem.

Uwiadomiony o wypadku ojciec Stachy zdołał wydobyć tylko zwęglone zwłoki. Z rozpaczy targał włosy, szalał, nawet był moment, że sąsiedzi obawiali się, że może postradać zmysły. Lecz powoli, powoli, szał jego ustąpił miejscu cichemu smutkowi.

Stacha otarła łzę cicho spływającą z ócz.

Ciche westchnienie wyrwało się z piersi i znów myślą pobiegła ku ojcu, który był dla niej wszystkiem na świecie.

Powtórnie utonęła we wspomnieniach.

Przypomniała sobie chwile, gdy nadszedł czas, aby ją oddać do szkół, widziała, — że ojczulek nieraz ukradkiem ocierał błyszczącą łzę cisnącą się do ócz.

W dziecinnym swym serduszku zrozumiała wówczas, że ojciec sam pozostanie, gdy ona pójdzie pomiędzy ludzi obcych, bowiem dworku, który zajmowali nie można było opuścić. Zaczęła nalegać, aby do szkół jej nie odsyłał.

W pierwszej chwili, nie chciał pozwolić na to, lecz potem, gdy zrozumiał, że jemu też będzie smutno, bez ukochanej Staśki, jak ją zdrobniale nazywał, zgodził się. Uczył ją sam. Życie płynęło cicho, spokojnie.

Licząca wówczas ośm latek, hasała wesoło po kwiecistych łąkach, pod upojnymi promieniami słońca, rozkoszując się życiem i pięknem bogatej przyrody Małopolskiej.

Zamieszkiwali w pięknym modrzewiowym, starym, rodzinnym dworku Koryńce we wsi Koryniec.

W roku 1914, gdy wybuchła wojna Ignacy Korecki wstąpił do legionów, biorąc udział pod dowództwem Brygadiera Józefa Piłsudskiego.

Ranny kilkakrotnie, jeszcze z niezabliźnionymi ranami, powracał na front. Huk armat, woń prochu, świst kul, ciągłe zmaganie się

ze śmiercią, ogłuszały po części jego ból po zmarłej tragicznie żonie a jej mateczce

Stacha, podczas zmagania się potęg, biorących udział w wojnie światowej, wychowywała się pod opieką gospodyni ojca, Małgorzaty.

Korecki po ukończeniu wojny światowej powrócił w stopniu kapitana Wojsk polskich. Cóż to były za chwile radosnego upojenia i dziecinnej beztroski.

Gdy nawała bolszewicka w roku 1920, ciągnęła na Polskę, kapitan Korecki, pierwszy pospieszył na zew wodza, odeprzeć odwiecznego najeźdźcę, odznaczając się chlubnie. Po skończonej zwycięskiej wojnie otrzymał stopień pułkownika. Wycieńczony ranami, które go nie szczędziły, podał się do dymisji. Jako emerytowany pułkownik Wojsk polskich utrzymywał ją i siebie ze skromnej renty, doprowadzając do porządku podupadły dworek.

W roku 1921 przywiózł ze Lwowa nauczycielkę. Polubiła ją i pokochała, gdy dowiedziała się o smutnych kolejach losu, hrabiny Natalii Korczyńskiej wygnanki i uciekinierki z pławiącej się we krwi bratniej — Rosji!

Odebrała od niej staranne wychowanie. Nauczyła ją władać językiem rosyjskim i francuskim.

Po ukończeniu edukacji, hrabina pojechała dalej za chlebem. Otrzymała korzystne engagement u hrabstwa Łęzkich z Polesia.

Jakżeż smutnym było rozstanie, pokochała ją jak matkę. Lecz ojciec musiał się wyrzec dalszej edukacji córki. Przyszły czasy gorsze.

Pewnej nocy po upalnym dniu, spłonęła stodoła i inne gospodarskie zabudowania. Zajął się również dworek. Przy pomocy poczciwych włościan zdołano zaledwie uratować jedno skrzydło domu, w którym nie mając pieniędzy na odbudowanie, zmuszeni byli zamieszkać. Bydło poginęło na zarazę. Skromna renta nie na wszystko wystarczała. Ojciec mizerniał coraz bardziej.

Z bólem w oczach spoglądał na nią. Wiedziała, że jest przygnębiony nieszczęściami, które tak nagle ich dotknęły, że martwi się i lęka o jej przyszłość.

Coraz szybciej zaczął zapadać na zdrowiu już nadwątlonym, podczas udziału w walkach.

W roku 1934 zmarł na zapalenie płuc.

Po jego śmierci, pozostała sama. Lichwiarzy, którzy rościli sobie różne pretensje, zaspokoiła jak mogła.

Nie chciała, aby jakakolwiek plama pozostała na nazwisku tego, który był zawsze czystym i szlachetnym, ą który zmarł bez skazy.

Z całego majątku, pozostało jej kilka klejnotów rodzinnych kilkaset złotych, które mogły zaspokoić pierwsze potrzeby w nieznanym środowisku, do którego dążyła.

W Warszawie nie była nigdy. Teraz samotna jechała objąć posadę sekretarki u notariusza Maurycego Czekańskiego.

Był to przyjaciel ojca. Nie znała go. Ojciec polecił zwrócić się jej do niego o pomoc po swej śmierci.

Napisała. Z wielką radością przeczytała list od notariusza.

Wyjęła go raz jeszcze, chcąc się przekonać czy to nie jest sen i czytała:

*Z nieoczekiwaną przyjemnością, dowiedziałem się, że córka mego śp. przyjaciela, któremu jeszcze podczas wspólnej kampanii, miałem dużo do zawdzięczenia, zwraca się do mnie z prośbą o wyszukanie posady.*

*U mnie wakuje posada sekretarki, którą ośmielam się zaproponować, aby choć po części odwdzięczyć się przyjacielowi. Warunki omówimy po przyjeździe.*

*Proszę zadepeszować, którym pociągiem Pani przyjeżdża. Wyślę auto.*

*Maurycy Czekański, notariusz.*

Serdeczna treść listu skróciła myśli Stachy od wspomnień przeszłości.

— Ciekawą jestem jak wygląda notariusz? — Myślała. — Zapewne stary, wychudły, z łysą czaszką i dużymi okularami na nosie.

W tym momencie przypomniała sobie, że przecież nie zna notariusza. W jaki sposób go pozna?

Czuła się trochę zaniepokojoną. Co pocznie na wypadek, gdy nie spotkają się na stacji, lub notariusz nie przybędzie?

Szybko otworzyła torebkę i wyjęła kopertę otrzymanego listu.

Spojrzała na nią. W nagłówku koperty widniał adres notariusza. To ją uspokoiło.

— Ostatecznie podług adresu pojadę taksówką — pomyślała.

Notariusz o ile będzie na stacji pozna ją. Przypomniała sobie jak ojciec opowiadał miesiąc przed śmiercią, że otrzymał list od przyjaciela, którego stracił z oczu w końcu wojny światowej. Był nawet przekonanym, że już nie żyje. Z jakąż więc radością, przyjął wiadomość o nim, że żyje i ma biuro w Warszawie. Odpisał natychmiast, a czując swój bliski zgon, polecił jego opiece Stachę i w załączeniu przesłał jej ostatnie zdjęcie fotograficzne. Przyjacielem tym był właśnie notariusz Maurycy Czekański. Więc on ją może poznać tym bardziej, że po otrzymaniu listu od notariusza, zadepeszowała zawiadamiając o swym przyjeździe.

Uśmiechnęła się.

— Jakaż ja jestem przewrażliwiona, — pomyślała, — znam przecież adres notariusza na pamięć a jeszcze lękam się. Zadowolona była, że w tej chwili w przedziale jest sama i nikt nie jest świadkiem jej zakłopotania z powodu faktu, że wiedząc o adresie notariusza, skwapliwie przeglądała kopertę.

Przymknęła oczy i przez chwilę trwała w skupieniu rozważając wszelkie możliwości i ewentualności jakie mogą ją spotkać w nowej erze życia.

Marzycielką, wprawdzie nie była, lecz w tej chwili najwyraźniej marzyła. Jej wrodzony sentyment wziął górę i poniósł na falach bujnej wyobraźni hen w dalekie przestworza, nieznane krainy baśni i szczęścia.

Z marzeń wyrwał ją huk syreny. Ocknęła się.

Otwarła oczy i rzuciła wzrokiem za okno wagonu. Ujrzała nie opodal kontury i ciemne zarysy wysokich drzew, które zdały się uciekać.

Po chwili krajobraz zmienił się. Pociąg mknął pustą przestrzenią, otulony gęstymi welonami mgły i ciemnością nocy.

Od czasu do czasu, niby robaczki świętojańskie migały iskry, ginąc w mroku i mgle.

Nagle spostrzegła miliardy świateł błyszczących i jasną łunę świetlistą, która wznosiła się ponad nimi.

Kurier właśnie znajdował się na skręcie, co pozwoliło Stasi zobaczyć i podziwiać Warszawę w nocy, jarzącą się od niezliczonych świateł z olbrzymią łuną.

Z ufnością i spokojem poczęła się przygotowywać do opuszczenia pociągu, nie przeczuwając nawet, że niebezpieczeństwo czai się na nią na wstępie.

— — — — — — — — — — — — — —

Nareszcie Kurier wjechał w świetlisty krąg i po kilku minutach zwolnionego biegu ze zgrzytem i hałasem zatrzymał się na stacji.

Stacha Korecka trzymając w ręku małą ręczną walizeczkę, opuściła wagon. Przez chwilę stała nieruchomo, rozglądając się bacznie wokoło. Szybko przewijały się przed jej oczyma sylwetki ludzi, którzy biegali tu i ówdzie, zajęci swymi własnymi sprawami. Nikt nie podchodził do niej.

Notariusz nie oczekiwał jej. Wywnioskowała więc, że może nie otrzymał depeszy.

Miała nadzieję, że sama dostanie się jakoś podług adresu.

Z wahaniem i lękiem w swych pięknych oczach skierowała się ku wyjściu.

Czuła się trochę osamotniona i oszołomiona. Otaczał ją tłum obcy.

W momencie, gdy opuszczała gmach kolejowy, z którego wypływała fala podróżnych, zjawił się jakiś mężczyzna w stroju szoferskim, z czapką głęboko naciśniętą na czoło, tak, że nie mogła ujrzeć jego twarzy i torując sobie drogę mocnymi łokciami, znalazł się obok Stachy.

Był więcej niż średniego wzrostu z krótką ciemną bródką wandyckowską, dość dobrze zbudowany.

Robił wrażenie szofera.

Wyciągając rękę po walizeczkę rzekł stłumionym głosem, pochylając się w ukłonie i nie zdejmując czapki:

— Przepraszam, czy panna Stacha Korecka?

— Tak, — odparła chłodno.

— Pan notariusz Czekański przysłał mnie z poleceniem odwiezienia pani. Przeprasza, lecz ważne sprawy nie dozwoliły mu zjawić się osobiście na dworcu.

Następnie nie czekając na odpowiedź, wziął z rąk Stachy walizeczkę i śmiałym krokiem ruszył naprzód.

Przed gmachem kolejowym spostrzegła na szerokim placu kilkadziesiąt w równych szeregach stojących taksówek, ruszających z hukiem motorów i wrzaskliwym odgłosem syren. Ruch był bardzo ożywiony. Gmachy wysokich kamienic oblepione były wprost niezliczoną ilością różnokolorowych reklam.

Na dachach kamienic widziała wijące się długim pasmem wielkie litery, złożone z żarówek elektrycznych, które przy odczytywaniu podawały zaszłe ostatnio ważne wypadki, przeplatane w treści, różnorodną reklamą kupiecką.

Poprzedzona przez szofera, rozglądając się ciekawie na wszystkie strony z na powrót ogarniającym ją uczuciem niepokoju, zatrzymała się z wahaniem przed autem którego drzwiczki otwarte dłonią szofera ukazywały wabiąco, miękkie i wygodne siedzenie.

Przez ułamek sekundy trwało wahanie Stachy. Śmiałym ruchem zajęła miejsce, odrzucając się wygodnie na miękkie poduszki samochodu. Usłyszała zatrzaśnięcie drzwiczek i po chwili auto ruszyło z miejsca z wielką szybkością.

Rzęsiście oświetlone, szerokie ulice Warszawy pulsowały silnym tętnem życia. Przez czyste szyby auta śledziła w szybkim pędzie mijane liczne sylwetki przechodniów.

Auto kierowane wprawną dłonią szofera z nieprawdopodobną zręcznością omijało przeszkody.

— Więc niedługo zobaczę człowieka, który zapewne niepowszednią rolę odegra w mym życiu, — myślała. Zastanawiała się nad tym do jakiej czynności biurowej się nadaje. Nie miała wogóle pojęcia o pracy biurowej. Wiedziała dobrze o tym, że na razie nie na wiele przydać się będzie mogła notariuszowi. Nagle drgnęła.

— Co to? — szepnęła. — Czemu jadą ciemnymi, krętymi uliczkami? Ogarnęło ją przerażenie.

— Czyżby notariusz zamieszkiwał na peryferiach miasta?—próbowała się uspokoić.

Mimo nieznajomości topografii Warszawy, czuła, że opuszczają miasto. Auto mknęło teraz wzdłuż szosy, obok której majaczyły gdzieniegdzie kontury rzadko postawionych domków słabo oświetlonych

latarniami, stojącymi w dość znacznym oddaleniu jedna od drugiej. Wyciągnęła rękę przed siebie, chcąc dojrzeć godzinę na małym damskim zegarku, lecz migające szybko nikłe światełka nie dozwoliły. Nie mogła nawet zorientować się jak długo trwa ta szalona jazda.

Opadły Stachę najróżnorodniejsze ponure myśli. Czytane niegdyś w powieściach dramaty i tragedie, rozgrywające się po wielkich miastach, które w pobudzonej przerażeniem wyobraźni, jaskrawo w całej swej ponurej nagości, przewijały się szybko przed oczami Stachy.

Krzyknęła.

Prawie, że nie rozpoznała swego głosu, który głuchym echem rozległ się po wnętrzu auta.

Szofer nawet nie drgnął tylko zwiększył szybkość.

Auto teraz pomknęło z błyskawiczną szybkością, wstrząsane od czasu do czasu nierównościami szosy.

Nagle doznała silnego wstrząsu, który odrzucił ją naprzód. Auto zatrzymało się.

Po kilku sekundach drzwiczki silnym szarpnięciem rozwarły się, a w obramowaniu tychże, spostrzegła stojącą sylwetkę szofera.

Ciemność mglistej nocy i cisza panowały dokoła.

Gdzieś z oddali doleciał ją stłumiony odgłos motoru, który najwyraźniej z każdą chwilą zwiększał się.

Wywnioskowała więc, że szosą nadjeżdża drugie auto.

— Proszę wysiąść, — usłyszała rozkazujący głos szofera.

— Nie! Nie wyjdę — odparła przerażona i instynktownie odrzuciła się w tył na przeciwległą ścianę auta.

— Wysiadać! — usłyszała po raz drugi ten sam twardy o brzmieniu ostrym, rozkazujący głos.

W tym momencie, nim zdążyła się zorientować uczuła, że porywają ją silne męskie ramiona, odciągając gwałtownie z wewnątrz auta.

— Na pomoc . . . Na pom . . . zdążyła jeszcze krzyknąć, dalsze słowa zamarły jej na ustach, stłumione brutalną dłonią szofera.

Czuła, że traci przytomność, gdy nagle . . .

— Łotrze, zbóju, — rozległ się donośny stentorowy, męski głos... i zobaczyła sylwetkę wysokiego mężczyzny, który silnym uderzeniem pięści ugodził w szczękę szofera.

Cios zadany przez nieznajomego zbawcę musiał być straszliwym, gdyż szofer, rozluźniając uścisk dłoni, runął jak piorunem rażony na ziemię, pociągając Stachę w swym upadku.

Tymczasem nieznajomy pomagając Stasi podnieść się z upadku, zapytał:

— Czy nie poniosła pani jakiegoś szwanku?

Głos nieznajomego był zupełnie spokojny, metaliczny o ciepłym brzmieniu.

— Nie, — odparła cicho, ciężko dysząc ze wzruszenia, mimowoli wspierając się silnie na ręku nieznajomego.

— Dzięki Bogu. Przybyłem na czas.

Zdumiona Stacha, już miała zapytać. — Co znaczą te słowa? Skąd wiedział? — gdy ujrzała nowe auto zatrzymujące się w największym pędzie i wyskakującego mężczyznę, który szybko skierował się ku nim.

— Co się tu stało? — spytał ciężko dysząc.

Światło reflektorów z trzech aut oświetlały tę dziwną scenę.

— Maleńki wypadek, — odparł nieznany zbawca Stachy, lakonicznie.

— Przepraszam, — rzekł przybyły, uchylając kapelusza.

Następnie zwracając się w stronę Stachy, zapytał:

— Czy panna Stacha Korecka?

Zdumienie Stachy wzmogło się jeszcze więcej. Szeroko otwartymi oczami spojrzała na pytającego.

— Tak, — odparła i równocześnie spostrzegła, że wspiera się na ręku nieznanego mężczyzny. Szybko cofnęła swą dłoń.

Nieznany zbawca uśmiechnął się na ten odruch Stachy. W uśmiechu tym zaślniły śnieżno-białe zdrowe zęby.

Zapanowało chwilowe milczenie, przerwane westchnieniem ulgi, które wyrwało się z piersi przybyłego.

Wszyscy troje przez kilka sekund spoglądali nawzajem na siebie.

Pierwszy przerwał milczenie przybyły.

— Jestem notariusz Maurycy Czekański, — rzekł składając ukłon.

— Więc to pan, — rzekła Stacha zdumiona, postępując krok naprzód ku notariuszowi. — Nic nie rozumiem.

— Ja też nie rozumiem, — odparł notariusz. — Lecz zaraz zrozumiemy. Może pani będzie łaskawa powiedzieć dlaczego wsiadła do innego auta, nie czekając na mnie?

W kilku słowach opowiedziała Stacha o zaszłych wypadkach . . . i gdyby nie ten pan, — kończyła opowiadanie, wskazując dłonią na nieruchomo stojącego nieznanego zbawcę, który w milczeniu przysłuchiwał się słowom Stachy.

— Zwidlicz Włodzimierz — uzupełnił, składając ukłon.

— Zwidlicz Włodzimierz — powtórzyła, — nie wiem coby się wówczas ze mną stało.

— Ach! Pan Zwidlicz Włodzimierz, sławny reporter, — zawołał notariusz Czekański i rzucił się ku niemu impulsywnie, wyciągając dłoń. — Jakże się cieszę! Tyle się o panu naczytałem i nasłuchałem, iż mam wrażenie jakobym go znał od dawna.

— Bardzo mi to schlebia, — odparł Zwidlicz chłodno, ujmując wyciągniętą dłoń.

— O panu również dużo dobrego słyszałem.

Notariusz Maurycy Czekański znanym był powszechnie ze swej filantropijnej działalności. Ufundował w Warszawie dom sierot. Był bardzo miłym człowiekiem, o ujmującej powierzchowności. Kawaler.

Dobrze sytuowany. Liczył lat pięćdziesiąt pięć, wzrostu był wysokiego. Trochę otyły. Włosy wprawdzie miał przypruszone lekką siwizną, lecz w uzupełnieniu jasnych, ciągle uśmiechających się oczu i szczerej twarzy, dodawały mu uroku.

Końcowe słowa Zwidlicza mile połechtały jego ambicję. Nie był odpornym na komplimenty.

Stacha Korecka w milczeniu spoglądała na obydwóch podziwiając smukłą sylwetkę i elegancką powierzchowność Zwidlicza. Paliła ją ciekawość, skąd Zwidlicz mógł wiedzieć o tym, że jej coś groziło i co miały oznaczać jego końcowe słowa, przerwane przybyciem notariusza. Nie miała odwagi wręcz zapytać. Z kłopotu wybawił ją notariusz, który w tej chwili rzekł zwracając się do Stachy:

— Pani pragnie usłyszeć szczegóły mego przybycia tutaj.

Skinęła głową w milczeniu, aczkolwiek więcej ciekawą była szczegółów z ust Zwidlicza, który stał w milczeniu, bystro rozglądając się w około.

Mimowoli pobiegła wzrokiem w kierunku jego spojrzenia i zobaczyła, że miejsce gdzie przed chwilą leżał powalony jej napastnik było puste. Zwidlicz spostrzegł jej spojrzenie.

— Umknął, — rzekł krótko.

— Kto? — zapytał notariusz.

— Człowiek, który usiłował mnie porwać — odparła Stacha.

— Ach! Zapomnieliśmy o nim. Skorzystał z okazji, — rzekł notariusz z ubolewaniem.

— Nie szkodzi! — odparł Zwidlicz. — Widziałem jego twarz. Poznam go wszędzie. Pozostawił też auto. Policja dowie się czyją jest ono własnością.

— Wątpię, — rzekł notariusz. — Mogło być skradzione.

Zwidlicz nie odpowiedział, sięgnął tylko ręką do kieszeni z której wyciągnął elegancki złoty zegarek i spojrzał na godzinę.

— Najwyższy czas, ulotnić się stąd, — rzekł jeszcze raz rozglądając się bystro po okolicy, jakby dla zapamiętania miejsca.—Panna Korecka czuje się na pewno zmęczoną po podróży, jak i też po wstrząsie jakiego doznała, wskutek usiłowanego porwania. — dodał miękko, spoglądając na Stachę.

— Przyznaję, że jestem nieco przemęczona, — odparła cicho.— Lecz jeszcze silniejszą od zmęczenia jest moja ciekawość, co to wszystko znaczy i skąd panowie tutaj się znaleźli.

Zwidlicz uśmiechnął się.

— Po części tylko postaramy się zaspokoić pani ciekawość, gdyż wątpię w tej chwili, czy uda nam się wyjaśnić fakt, usiłowanego porwania — rzekł.

— Pan jak widzę ma szofera ze sobą, — zwrócił się z zapytaniem do notariusza Czekańskiego.

— Tak.

— Więc może pan będzie łaskaw wsiąść do mego auta wraz z panną Korecką, a szofer odwiezie obydwa auta zczepiając je razem, po czym w mieście auto pozostawione przez napastnika, pozostawi na pierwszym lepszym posterunku policji, a z pańskim powróci do garażu.

— Zgoda, — odparł notariusz z wahaniem. — Lecz nie wiem czy panna Korecka życzy sobie rozgłosu w tej sprawie gdyż ja ze swej strony, przyznam się szczerze, pragnąłbym go uniknąć.

— Ja także, — rzekła Stacha.

— I to się zrobi, — odparł Zwidlicz. — Szofer pozostawi auto na posterunku, odwołując się na mnie.

Następnie sięgnął do kieszeni, wyciągnął białą kartkę i nakreślił na niej kilka słów ołówkiem, który miał zaczepiony w kieszonce marynarki.

— Proszę to oddać szoferowi, niech pozostawi na posterunku — rzekł podając kartkę notariuszowi.

W aucie, którym kierował Zwidlicz, Stacha siedząc wygodnie, słuchała opowiadania notariusza, który donośnym głosem, aby mógł usłyszeć Zwidlicz mówił:

— Depeszę zawiadamiającą o przyjeździe pani otrzymałem na kilka godzin przed przyjazdem pociągu. Miałem zatem czas, aby oczekiwać panią. Lecz jak to zwykle bywa, na godzinę przed przyjazdem pociągu wezwano mnie telefonicznie do mego starego klienta, który był umierającym. Zabawiłem u niego kilkanaście minut. Gdy potem przybyłem na dworzec dowiedziałem się przed wejściem, że pociąg pięć minut już stoi na stacji. Wywnioskowałem więc, że pani już przybyła. Obawiając się abym pani nie przeoczył w tłoku panującym, postanowiłem oczekiwać przed bramą wyjściową. Rozglądałem się bacznie na wszystkie strony i każdą wychodzącą samotnie kobietę, poddawałem szczegółowemu badaniu. Wzrok mój poszukiwał twarzy, którą znałem z przysłanej mi przez śp. ojca pani fotografii. Rozpoznanie pani w tym morzu głów ludzkich, przewalającym się ku wyjściu było utrudnione, gdyż nie miałem pojęcia jak pani będzie ubraną. Nie mogę dokładnie określić czasu, jak długo trwało moje oczekiwanie, gdy nagle o jakieś kilka kroków w kobiecie stojącej i rozglądającej się bacznie po placu, w świetle elektrycznym padającym z góry, poznałem panią. Szybko ruszyłem naprzód, gdy drogę zatarasował mi nagły napływ ludzi, cisnących się, tak, że zamiast zbliżyć się ku pani, porwany silnym prądem ludzkich ciał zostałem odepchnięty. Nie traciłem jednak pani z oczu i spostrzegłem, że w towarzystwie poprzedzającego się szofera oddala się pani w kierunku stojących dorożek automobilowych.

Zatrzymany przez tłum, począłem się szybko przedzierać nie szczędząc łokci, gdy spostrzegłem panią wsiadającą szybko do stoją-

cego na uboczu krytego auta, które jak zdążyłem zauważyć nie było taksówką.

— Co to miało znaczyć? Wiedziałem, że pani nie zna nikogo w Warszawie. Skąd się wziął prywatny samochód? Ogarnęło mnie przeczucie złego, które zwiększyło się na widok szybko ruszającego z miejsca auta. Momentalnie podskoczyłem do mego i szoferowi rozkazałem śledzić auto w którym pani się znajdowała. Podejrzane auto mknęło przez miasto z szybkością niedozwoloną. Mój szofer okazał się doskonałym. W odległości jakich dwudziestu metrów mknął za podejrzanym autem, zręcznie omijając przeszkody, gdy nagle w wolne miejsce przed nami wjechał nowy samochód, który nie ustępował i zdawał się mknąć również szybko w tym samym kierunku. Obecnie domyślam się że autem, które wjechało pomiędzy nas mknął pan Zwidlicz. Wówczas nie wiedziałem. Przypuszczałem, że to jest przypadek. Dopiero, gdy ścigane auto poczęło skręcać na peryferie miasta, a auto mknące między mną a ściganym nie zmieniło kierunku, lecz wykonywało te same zwroty, ogarnął mnie przestrach. Począłem wówczas przypuszczać, że jest to tylna straż ściganego. Uzbrojony nie byłem. Policji na pomoc wezwać nie mogłem. Jechaliśmy za szybko. Widziałem tylko, że każdy wymijany w szalonym pędzie posterunek notuje sobie numera. Auto ściganego miało tylne światło przygaszone. Natomiast moje i naszego przeciwnika za jakiego wówczas pana Zwidlicza uważałem miało numera jasno oświetlone. Podczas tej szalonej gonitwy, rozglądałem się bacznie, czy nie zobaczę, gdzie jakiego policjanta na motocyklu, lecz nikt za nami nie podążał. Obecnie mknęliśmy po wąskich krętych uliczkach ubogiej dzielnicy której ja stały mieszkaniec Warszawy nie byłem w stanie rozpoznać. Szofer mój klął głośno, złorzecząc przeszkadzającemu nam w pościgu, gdyż nagłe zwroty i zmiany kierunku utrudniały pościg. Ściganego straciliśmy z oczu. Natomiast mknęliśmy za drugim autem, które nam również zniknęło z oczu, podczas nagłego skrętu, gdy szofer mój nie przygotowany na ów skręt przejechał naprzód dalej. Gdy zatrzymał auto i powrócił na tą uliczkę, ze ściganych nie było ani śladu. Kazałem wówczas swemu szoferowi jechać na chybił trafił. Po kilkuminutowym błądzeniu, gdy już straciłem nadzieję dogonienia ściganych, ujrzeliśmy na skręcie jednej z uliczek u wylotu tejże samochód drugiego przeciwnika. Szofer mój pomknął za nim, lecz gdy znaleźliśmy się u tejże uliczki nie widziałem żadnego samochodu. Straciliśmy znowuż kilka drogocennych minut. Znajdowaliśmy się na skraju miasta, rozglądałem się bacznie na wszystkie strony, gdy na szosie biegnącej przed nami wprost w oddali ujrzałem słabą smugę świetlną. Tam prawdopodobnie jechało jakieś auto. Bez namysłu skierowałem szofera w tym kierunku. Okazało się moje przypuszczenie trafne. Zobaczyłem po kilkunastuminutowej jeździe dwa auta obok siebie. To wszystko.

— Jakże panu jestem wdzięczna za tyle odwagi i poświęcenia, — rzekła Stacha cicho, podając notariuszowi dłoń, na której tenże złożył pocałunek.

— Dokąd mam państwa zawieść? — zapytał Zwidlicz hamując bieg samochodu.

Znajdowali się w tej chwili na skraju miasta.

— Ponieważ ja skończyłem swą opowieść, a kolej teraz na pana, więc pozwoli pan, że ja poprowadzę auto dalej, — rzekł notariusz wesoło, nie odpowiadając wprost.

— Bardzo słusznie, — rzekła Stacha, uśmiechając się w stronę milczącego Zwidlicza.

— Moje opowiadanie jest krótkie, — rzekł Zwidlicz, wyskakując i robiąc wolne miejsce notariuszowi przy kierownicy. Sam zaś zajął miejsce obok Stachy.

Notariusz Czekański zajął miejsce przy kierownicy i powoli ruszył naprzód w kierunku śródmieścia, krętymi uliczkami.

Zwidlicz wyjął z kieszeni złotą papierośnicę, zapytał uprzejmie Stachę, czy może zapalić, otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, zapalił.

Przez chwilę trwał w milczeniu, pełnymi kłębami wypuszczając dym z ust.

— Zupełnie przypadkowo, — zaczął opowiadanie Zwidlicz swym spokojnym, metalicznym głosem, od czasu do czasu zaciągając się dymem z papierosa, — znajdowałem się na dworcu w chwili przybycia kuriera Kraków-Warszawa. Bezcelowo i z nudów począłem obserwować wysiadających. Stałem przed wejściem do bufetu I i II klasy. Rozglądając się zatem, spostrzegłem naprzeciw z wagonu pierwszej klasy wysiadające młode dziewczę, które z lękiem i widocznym pomieszaniem, wysiadło powoli z wagonu. Przez parę sekund oczekiwałem pojawienia się jakiegoś towarzysza czy towarzyszki, lecz nikt nie wychodził. Najwidoczniej młoda dziewczyna była samą. Stała prawie, że bezradnie obok stopni wagonu rozglądając się bacznie na wszystkie strony. Widocznie oczekiwała kogoś. Jej piękność niecodzienna, lęk malujący się w pięknych dużych oczach, zwrócił moją uwagę.

Tu spojrzał ukradkiem spod opuszczonych rzęs na Stachę, która odwróciwszy w bok główkę oblała się szkarłatnym rumieńcem widocznym nawet wśród nocy.

— Po chwili oczekiwania, moja piękna nieznajoma, niepewnym krokiem ruszyła naprzód, przeciskając się przez tłum ku wyjściu. Przez kilka sekund wahałem się co czynić, lecz w momencie gdy zniknęła za bramą, zdecydowałem się podążyć za nieznajomą. W oddaleniu kilkunastu kroków, poprzedzany tłumem, śledziłem panią.

Nie potrzeba było być bystrym spostrzegaczem, aby zauważyć, że do Warszawy zawitała po raz pierwszy.

Przy wyjściu z budynku kolejowego spostrzegłem, że przystąpił do niej jakiś człowiek. Szofer, — pomyślałem sobie. Jego czapka naciągnięta na uszy, kołnierz wysoko podniesiony, oraz wahanie się nieznajomej, wpłynęło na moją decyzję. Instynktem reportera i moją intuicją wyczułem, że tutaj dzieje się coś niejasnego. Może się myliłem. Mimo to postanowiłem śledzić nadal nieznajomą. Gdy przecisnąłem się za nimi na plac, spostrzegłem, że nieznajoma wsiadła do krytego auta stojącego na uboczu. Przez moment jeszcze wahałem się, gdy auto tymczasem ruszyło z miejsca niedozwoloną, szybkością. Zrobiłem właśnie te same spostrzeżenie co notariusz. Nie wahając się zatem ani chwili wsiadłem do swego auta i pomknąłem za nieznajomą. Jak ścigałem ich, wiadomo z opowiadania notariusza. Również ich spostrzegłem za sobą i te same wątpliwości ogarnęły mnie na ich widok co notariusza. Byłem pewny, że to jest wspólnik pierwszego. Lecz ja nie bardzo się obawiałem. Mój zawód wymaga abym był uzbrojony. Położyłem zatem obok siebie nabity rewolwer i mknąłem za ściganym autem. Na skraju miasta straciłem z oczu obydwóch. Kilka minut zwłoki, lecz później trafiłem na właściwy ślad i reszta państwu wiadomo, — zakończył Zwidlicz opowiadanie, zapalając drugiego papierosa.

— Bardzo panu dziękuję — rzekł notariusz na chwilę odrywając wzrok od kierownicy. — Uratował pan córkę mego śp. przyjaciela od możliwego niebezpieczeństwa.

— I ja również ze swej strony, składam panu serdeczne podziękowanie, — zabrzmiał tuż obok Zwidlicza dźwięczny głos Stachy Koreckiej.

Zwidlicz nic nie odpowiedział, błysnął tylko w uśmiechu swymi białymi zębami.

Dalszą drogę odbyli w zupełnym milczeniu.

Notariusz Czekański zatrzymał auto, przed frontem wysokiego dwupiętrowego domu na dość szerokiej ulicy, jasno oświetlonej lampami elekrycznymi i wyskoczył.

Zwidlicz uczynił to samo, podając Stasi dłoń pomógł jej wysiąść również.

— Po długich i ciężkich cierpieniach, jesteśmy nareszcie u celu, — rzekł notariusz żartobliwie. — Oto mój skromny dom, w którym przygotowałem na przyjęcie pani pokoik.

Następnie zwracając się do stojącego Zwidlicza.

— Raz jeszcze panu dziękuję i proszę w chwili wolnej odwiedzić nas — wyciągnął dłoń na pożegnanie, którą Zwidlicz ujął i rzekł:

— Bardzo chętnie! Lecz na razie nie mogę określić godziny ni dnia. Dam znać telefonicznie.

— I mnie będzie przyjemnie, — rzekła Stacha cicho, — gdy pan nas odwiedzi. A teraz muszę pana pożegnać.

Zwidlicz zwrócił się ku Stasi i ujął w dłoń, wąską rączkę, która w ciągu sekundy, przez jaką ją trzymał, najwyraźniej drżała.

— Dobranoc, — rzekł cichym miękkim głosem i pogonił wzrokiem za smukłą sylwetką, oddalającą się w towarzystwie notariusza, która po chwili zniknęła we wnętrzu kamienicy.

Przez chwilę stał jeszcze nieruchomo z wrokiem wbitym w zamkniętą bramę, jakby chciał przeniknąć jej głuchą głąb, po czym wolnym krokiem oddalił się w kierunku stojącego auta.

## ROZDZIAŁ III

Hrabina Anna Kruszeńska niecierpliwymi krokami przemierzała, maleńki buduar, urządzony z wdziękiem i przepychem. Łagodne światło przyćmione szerokim koloru ambry abazurem spływało miękko, na jej powłóczystą jedwabną, seledynową suknię, uwydatniającą piękną kibić kobiety klasycznie zbudowanej. Jej piękne toczone ramiona okrywał, jedwabny z długimi frędzlami, kremowy szal. Zgrabne nóżki obute w aksamitne małe pantofelki, barwy sukni, tonęły w puszystym, miękkim kobiercu, rozpostartym po całej posadzce buduaru.

Dwa duże weneckie okna, przysłonięte były ciężkimi roletami. Ściany pięknie malowane, obwieszone były obrazami w złoconych ramach. Niska szeroka otomana, obrzucona puszystymi haftowanymi w kwiaty poduszeczkami, obok stojący mahoniony stolik, przykryty ciężkim obrusem w otoczeniu kilku krzeseł obitych aksamitem, dwa wspaniałe fotele i maleńka toaletka stojąca w głębi prawego rogu buduaru, obrzucona różnymi drobiazgami i kosmetykami, wsparta na misternie rzeźbionych nóżkach, wraz z wspaniałym dużym stojącym poza toaletką zwierciadłem, dopełniały urządzenia. Drzwi wejściowe obwieszone były ciężkimi adamaszkowymi portierami.

Ciężki bronzowy zegar wiszący pomiędzy oknami wydzwaniał w tej chwili północ.

Na dźwięk bijącego zegara, hr. Anna zatrzymała się rzucając spojrzenie swych dużych czarnych jak noc oczu. Zgrabne łuki brwi, zbiegły się tworząc jedno długie ciemne pasmo. Karminowe usta rozchyliły się, ukazując dwa rzędy wspaniałych niby perełki drobnych zębów.

Na jej piękną twarz wystąpił wyraz zniecierpliwienia. Dłoń podtrzymująca szal, najwyraźniej drżała.

Przez chwilę spoglądała na zegar, którego uderzenia dźwięczały głucho, pośród ciszy panującej dookoła.

Wolno, białą rączką przesunęła po pięknie sklepionym, gładkim czole, odgarniając niesforne loki falistych, kruczo-czarnych włosów.

— Dlaczego nie przychodzi? — szepnęła cicho. — Wszak przyrzekł, że będzie najdalej o jedenastej, a tu już minęła dwunasta.

Nerwowym, szybkim ruchem podjęła, leżąca na otomanie, haftowaną małą batystową chusteczkę i otarła czoło, na które wystąpiły małe kropelki potu.

Pierś jej falowała szybko, a rozchylone usta upajały się wonią jaśminu, unosząca się w powietrzu.

Szybkim ruchem ściągnęła z ramion jedwabny szal i rzuciła niedbale na otomanę, gdzie zawisnął melancholijnie na brzeżku, okrywając swymi długimi frędzlami kobierzec.

Ciszę przerywało głośne tykanie zegara.

Hrabina poruszyła się i na nowo poczęła przemierzać buduar szybkimi krokami.

Zegar wydzwonił kwadrans na pierwszą po północy, gdy ciężkie portiery buduaru rozchyliły się i w obramowaniu tychże ukazał się wysoki mężczyzna. Ubrany był w elegancki strój wieczorowy. Wąską jego dłoń podtrzymującą ciężką portierę zdobiły liczne pierścienie, błyskotliwe migotające diamentami.

Na piękną, aczkolwiek trochę podniszczoną twarz, bezsennymi nocami, wystąpił wyraz głębokiego współczucia. Jasne oczy patrzyły tkliwie na odwróconą w tej chwili i w przeciwnym kierunku zmierzającą, hrabinę Annę. Mógł liczyć lat około trzydziestu-sześciu. Był wspaniale zbudowanym mężczyzną. Postawa jego znamionowała olbrzymią siłę. Rzymski profil ostro zarysował się na tle ciemnej portiery.

Stał nieruchomo śledząc swym tkliwym spojrzeniem zgrabną postać hrabiny Anny, która odwracając się mimowoli podniosła wzrok i zobaczyła stojącego.

— Karolu! — krzyknęła głosem przepełnionym najwyższą miłością i szybko podbiegła w otwarte ramiona mężczyzny.

— Aniu! — szepnął Karol miękkim pełnym tkliwości głosem i porwał rzucającą mu się hrabinę w swe silne męskie ramiona i przywarł wargami w spragnione usta, całując długo, namiętnie.

Kobieta pierwsza ocknęła się i wysuwając zręcznie z jego ramion. głosem dyszącym tłumioną namiętnością z widoczną wymówką i pięknym rumieńcem na twarzy rzekła:

— Niedobry! Tak długo czekałam.

— Droga Aniu, wyjaśnienia na później, — rzekł namiętnie, — teraz żyjmy chwilą, na którą czekałem długich czterdzieści-ośm godzin.

Po czym pieszczotliwym miękkim ruchem, porwał młodą kobietę w ramiona i uniósł na otamanę . . .

Złączeni namiętnym uściskiem zapomnieli o wszystkim.

Gdy zamilkła burza młodej krwi i żar przygasł, kochankowie mimo woli, równocześnie spojrzeli na zegar.

Wskazywał dwadzieścia minut po piątej.

Karol zerwał się szybko z otomany i stanął na równe nogi, przeciągając swe muskularne ramiona.

Udał się do obok umieszczonej łazienki, umył, uczesał swe jasne, gęste włosy i już zupełnie odświeżony usiadł na krawędzi otomany, obok spoczywającej hrabiny Anny.

Na jego pięknej twarzy prawie nie było znać śladów spędzenia bezsennej nocy.

Natomiast piękna twarz hrabiny Anny wyrażała najwidoczniej zmęczenie. Jej duże czarne oczy były senne i podcienione głęboko. Karminowe wargi nabrzękły wskutek pocałunków.

Leniwym ruchem podparła główkę i sennym wzrokiem spoglądała na siedzącego Karola, którego twarz w tej chwili była poważna i skupiona.

— Aniu, — rzekł po chwili spokojnym, lekko znużonym głosem. — Musimy się pozbyć tego gazeciarza. Zaczyna mnie mierzić. Pokrzyżował dzisiaj moje plany. Pobił Heskiego i odbił mu dziewczynę.

— Co? — zawołała hrabina Anna. — Porwanie nie udało się?

— Udało. Lecz ten przeklęty gazeciarz, nie wiem skąd się dowiedział i w chwili, gdy Heski unosił dziewczynę, ugodził go, silnie w szczękę, tak, że stracił przytomność. Gdy się ocknął, zobaczył dziewczynę wspartą na ramieniu tego psa i ktoś stał tam jeszcze przy nich. Nie zastanawiał się długo, tylko korzystając z ich nieuwagi umknął. Z twarzą obrzękłą przyszedł do mnie. Opowiedział, że słyszał za sobą huk motoru innego auta, lecz był pewnym, że to ktoś z naszych, jak było umówione. Nie zwracał zatem uwagi, gdyż w przeciwnym razie by umknął.

Jego piękna twarz nie była w tej chwili podobną do poprzedniej. Rysy były zniekształcone zionącą nienawiścią. Jasne oczy zwęziły się, rzucając ostre błyski.

Hrabina, słuchająca jego opowiadania, nie czyniła już wrażenia pięknej kochanki. W tej chwili przedstawiała obraz demonicznej kobiety.

Jej czarne duże oczy jażyły się, błyszcząc fosforycznie, jak u dzikiej kotki.

— Nie wiele brakło, a byłby nas nakrył, — rzekł po chwili głucho Karol. — Na szczęście Heski umk . . .

— Czemu, nie mieliście się na baczności? — przerwała hrabina z wymówką.

— A któż mógł przypuszczać? Skąd on mógł wiedzieć? — żachnął się niecierpliwie Karol.

— Wiesz przecież, że jest to najzręczniejszy pies gończy.

— Lecz skąd wiedział? — krzyknął Karol wściekłym głosem trzęsąc się z pasji i ścisnął pięście tak silnie, że kostki pobielały.

— Uspokój się Karolu, — szepnęła hrabina prosząco, głaszcząc go pieszczotliwie swą miękką dłonią po wzburzonej twarzy.

Karol pod wpływem tej pieszczoty, powoli uspakajał się.

— Trzeba będzie zwołać naszych i podciąć nogi temu gazeciarzowi, — rzekł Karol już spokojnym głosem.

— Czy nie lepiej będzie unikać teraz gwałtów? Wiesz przecież, że policja czai się w każdym zakątku. Kto wie czy my nie jesteśmy pod obserwacją? — mówiła hrabina tonem lekko zaniepokojonym.

— Głupia, — odparł Karol ze śmiechem. — Hrabina Anna Kruszeńska, wdowa po zmarłym hrabim Arkadiuszu Kruszeńskim, starym arystokratą, wprawdzie zubożałym, lecz człowieku bez skazy, patriocie, dyrektorze Syndykatu naftowego, byłym pośle, jest wyższą ponad wszystko.

— Zresztą jesteś młodą, piękną i uczciwą kobietą — dodał z brzydkim grymasem.

— Ach! Karolu ty się śmiejesz. A ja cierpię. — Tu oczy jej napełniły się łzami i płaczliwym głosem ciągnęła dalej: — Byłam szczęśliwą, gdy nie znałem ciebie i twej brudnej przeszłości. Ty zjawiłeś się przede mną w chwili ciężkiej żałoby, wprawdzie po starym i podagrycznym małżonku, lecz był to najszlachetniejszy z ludzi. Miłości nie znałam nigdy. Stary hrabia był zazdrosnym człowiekiem. Jednak ja mimo to nie myślałam nigdy o zdradzie. Dochowałam mu wiary za życia. Ach po co ja poszłam do Łazienek, — tu jej stłumiony płacz przemienił się w głośne szlochanie, — po co... powtórzyła rozdzierającym głosem, tak, że Karol słuchający jej słów zupełnie spokojnie z drwiącym uśmiechem, na ten jej nagły wybuch, nie wiadomo, czy obudził się w nim zamarły instynkt współczucia, czy iskra szlachetności tląca w czarnej duszy tego człowieka, wzięła górę nad jego popędliwością, miast żachnąć się gniewnie, przyciągnął ją pieszczotliwie ku sobie, i tkliwym głosem, który umiał sobie tak umiejętnie nadawać, rzekł:

— Moja mała Aniu, uspokój się dziecino. Gdy mi się wszystko powiedzie, wyjedziemy daleko stąd, będziemy żyli szczęśliwie. Wiesz, że kocham cię z całej duszy, lecz muszę myśleć za nas dwoje. Bez pieniędzy nic nie zrobimy na świecie. Wkrótce zdobędę majątek.

Hrabina pod wpływem nagłego impulsu tego człowieka i jego pieszczotliwego głosu, powoli uspakajała się.

Jej szloch przeszedł w ciche westchnienia, które od czasu do czasu wyrywały się z wzburzonej piersi.

— Karolu! Ty zawsze wspominasz o majątku a nigdy nie możesz go zdobyć. Na tyle zbrodni, tyle szantażu o których wiem, ty ni...

— Milcz! Nieszczęsna, krzyknął gwałtownie zakrywając jej usta dłonią tak silnie, że niezdolną była dokończyć zdania. — Nigdy nie wspominaj o tym. Nigdy! Rozumiesz! W tych słowach jest śmierć. Śmierć nas obojga! — Twarz jego wyrażała teraz najwyższą trwogę, był blady śmiertelnie. Nie zauważył, że hrabina blednie,

dusząc się pod naciskiem jego dłoni. Na próżno usiłowała się wydobyć szarpiąc rozpaczliwie. Jego wzrok wyrażający grozę gonił niespokojnie wokoło, jakby obawiał, że ktoś się zjawi. W tej chwili nie panował zupełnie nad sobą. Czynił wrażenie człowieka na wpół obłąkanego. Gwałtowny ten wybuch i lęk nie licował zupełnie z jego zewnętrznym wyglądem. Okazał się tchórzem. Powoli wyraz obłędnego lęku malujący się w jego szeroko rozwartych oczach, ustępował. Rozumnym wzrokiem spojrzał przed siebie i spostrzegł rozpaczliwie wyrywającą, się hrabinę. Po przydługim naciskiem jego rąk, oczy jej omal, że wychodziły z orbit. Twarz poczęła sinieć. Gdy to zauważył, momentalnie rozluźnił ucisk. Hrabina poczęła wielkimi haustami chwytać powietrze. Dyszała ciężko i przerażony wzrok utkwiła w jego twarzy, która była już zupełnie spokojna i nagle zakrywając ręką oczy, wybuchnęła gwałtownym łkaniem.

Parę minut patrzył Karol na hrabinę z współczuciem, po czym szepnął błagalnie:

— Aniu! Przebacz!

Hrabina Anna oderwała ręce od twarzy i załzawionym wzrokiem spoglądała na Karola w niemym przerażeniu, jakby nie rozumiejąc tych nagłych zmian charakteru, dokonujących się z taką szybkością w jego duszy.

— Nie rozumiem cię Karolu, — rzekła głębokim od płaczu głosem. — Omal co nie udusiłeś mię bez powodu, a teraz błagasz o przebaczenie. Ty przecież wiesz, że wiem wszystko o tobie. Od trzech lat jak cię poznałam, nigdy nie byłeś tak gwałtowny, aby zapomnieć się do tego stopnia. Wiedziałam, że jesteś nagły, porywczy, że nawet potrafisz szybko się opanować, lecz dzisiaj w tych nagłych zmianach twego charakteru, prześcignąłeś sam siebie. Przyznam ci się szczerze, że poczynam się ciebie lękać. A zawsze napawałeś mnie taką otuchą, że czułam się u twego boku zupełnie bezpieczną. Przeszłam zupełnie na twoją stronę, to znaczy na drogę występku i zbrodni. Dalej nawet. Współdziałam z tobą. A wiesz dlaczego, bo cię kocham. Kocham ponad wszystko. Opętałeś mą duszę. Zbeszcześciłeś ciało. Zabrałeś mi wszystko co miałam najdroższego na świecie. Zapanowałeś nade mną. Jesteś najgorszym zbrodniarzem pod słońcem. Ty . . . ty . . . okrutny, i ponowny szloch wstrząsnął jej postacią, — a jednak, — mówiła przez łzy, zarzucając mu ręce na ramiona, — kocham ciebie, ko . . . cham . . . i zawisła na jego ustach w długim namiętnym pocałunku.

Karol słuchający wywodów hrabiny w milczeniu, delikatnie przyciągnął ją ku sobie i odwzajemnił pocałunek.

— Przebaczyłaś — szeptał w tej chwili, a oczy jego wpatrywały się w nią jakby w ekstazie. — Kocham cię niemniejszą miłością lecz ja również jak i ty, zaprzedałem duszę i ciało . . . demonowi zbrodni. Teraz za późno cofać się. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Albo życie w szczęściu z tobą i dostatku, albo . . .

Nie dokończył zdania. Uczynił palcem gest około szyi.

— Jak ty to i ja także, — szepnęła hrabina cichym głosem niby tchnienie wiatru utonęli w ponownym uścisku, przywarłszy do siebie namiętnie.

Po przez ciężkie rolety, maleńkimi szparkami, przebijały się jasne promyki słońca, igrając wesoło po rozsypanych w nieładzie ciemnych włosach hrabiny niby złośliwe chochliki, pragnące wyrwać kochanków z upojonego uścisku miłosnego.

Pierwszy ocknął się Karol a spostrzegłszy jasno przebijający dzień, zerwał się na równe nogi i podbiegłszy do okien, pozaciągał rolety.

Niby złocista fala buchnęła jasne promienie słońca oświetlając rzęsiście cały buduar.

Hrabina Anna uniosła się leniwie i niedbałym ruchem zakręciła kontakt światła elektrycznego.

Zegar wskazywał godzinę ósmą rano.

— Aniu! — zawołał Karol zwrócony twarzą do okna. — Czy odbędziemy dzisiaj, poranną przejażdżkę automobilową? Jest prześliczny dzień. Na niebie ani jednej chmurki.

— A tak dawno nie jechaliśmy razem, — dodał proszącym głosem.

Hrabina Anna miast odpowiedzi zerwała się szybko i zniknęła w przyległej łazience.

O dziesiątej godzinie schodzili po schodach. Hrabina była ubrana w piękne brunatne futro. Karol w elegancki czarny paltot z lśniącym cylindrem na głowie. Szyję miał owiniętą białym jedwabnym szalikiem. Była z nich doskonała para, jakby stworzeni dla siebie.

Zeszli po białych marmurowych schodach, okrytych dywanem, gdzie już krzątało się, cicho snując, dwoje służby. Starszy mężczyzna i kobieta. Było to małżeństwo oddane duszą i ciałem swej pani. Nazywali się: on Jakób, ona Alicja Krupowie.

— Jakóbie! — zwróciła się hrabina do stojącego, pochylonego w niskim ukłonie służącego — pobiegnijcie po Franciszka do garażu, aby zajechał przed willę.

— Dobrze, jaśnie pani hrabino, — odparł Jakób zwiędłym głosem. — Już lecę.

— Alicjo! — skinęła na staruszkę, która szybko podbiegła. — Proszę przygotować śniadanie, na dwie osoby, na górze. O godzinie jedenastej powracamy.

Kobiecina nic nie odrzekła. W milczeniu skinęła głową.

Gdy znaleźli się za bramą willi, na tarasie przed werandą, stał lśniący Rolls Royce, gotowy do drogi.

Franciszek, mężczyzna w średnim wieku z kwadratową bezmyślną twarzą, stał wyprostowany, przy otwartych drzwiczkach.

Karol podprowadził hrabinę do otwartych drzwiczek samochodu, pomógł usiąść, po czym obszedłszy auto wokoło, usiadł po lewej stronie, obok hrabiny.

Auto zatoczywszy zgrabny łuk, pomknęło przez otwartą łukową bramę, ulicami Warszawy.

Pełną piersią rozkoszowali się, ciepłym powietrzem porannym.

W zbiegu ulic Marszałkowskiej i Chmielnej z przeciwnej strony natknęli się na auto, w którym siedział Zwidlicz, przy kierownicy, lecz w jakim stanie.

— Ocho! Miał przygodę — mruknął Karol do hrabiny, która dopiero teraz poznała nadjeżdżającego. Był bez kapelusza, jego jasny paltot, powalany kurzem i zbryzgany błotem. Włosy zmierzwione, na twarzy znaczyły się ślady krwi pomieszane z błotem. Siedział pochylony nad kierownicą ze skupioną uwagą. Nie wiadomo czy spostrzegł Karola i hrabinę, gdyż w chwili, gdy miał wyminąć auto hrabiny Karol krzyknął głośno machając ręką:

— Halo Zwidlicz!

Reporter uniósł lekko głowę i po widocznym krótkim wahaniu, zdecydowanym ruchem, zatrzymał auto, zgrabnie zajeżdżając na skraj ulicy i oczekiwał.

Karol widząc że Zwidlicz nie ma zamiaru wysiąść, wyskoczył i podbiegł do niego wyciągając otwartą dłoń.

— Cóż ci się stało chłopcze? — zawołał. — Wyglądasz jak po katastrofie automobilowej. Wóz twój jednak nie poniósł szwanku, jak widzę. — I obejrzał ciekawie przód auta.

Zwidlicz ujął podaną dłoń Karola, skłonił się hrabinie, która odpowiedziała na jego ukłon, wdzięcznym uśmiechem.

— Wypadek! — odparł lakonicznie.

— Jeszcze ci kark skręcą, — odezwał się Karol z wymówką, — jak będziesz nadal wtrącał się w interesy policji. Po jakiego diabła, ty, sławny reporter, dobry dziennikarz, uganiasz za zwykłymi rzezimieszkami?

— Maks, nie jest zwykłym rzezimieszkiem, — odparł chłodno Zwidlicz.

— Więc ty uganiasz się za Maksem! — zawołał Karol z doskonale udanym zdziwieniem. Wiedział bowiem dobrze o tym.

— I za jego pomocnikami, — dodał Zwidlicz, obrzucając bystrym wzrokiem twarz Karola.

Karol wybuchnął głośną kaskadą śmiechu. Lecz śmiech jego przebrzmiał bez echa. Widać było po nim, że usiłuje pokryć ogarniające go zmieszanie.

— Czy jest w tym coś takiego śmiesznego — zapytał spokojnie Zwidlicz.

Karol umilkł. Był już zupełnie opanowany.

— Tak sądzę, — odparł poważnie. — Wszyscy coś nie coś wiedzą o tym tajemniczym Maksie, postrachu Warszawy. Nawet byłem raz świadkiem jak niańka straszyła kilkuletniego chłopczyka, mówiąc, że Maks go zabije jak będzie niegrzecznym! Lecz wiemy i o tym, że jest to kaczka dziennikarska i bajeczka, wymyślona przez policję. Wiadomo, że grasuje jakaś banda rzezimieszków, to zwykłe w wielkich miastach. Od czasu jak usłyszeliśmy po raz pierwszy o pojawieniu się tego Maksa, minęło sporo długich miesięcy. Policja jest nieudolną, ma też wymówkę. Redaktorzy zarabiają na tym dobrze. Jednak wskaż mi człowieka, któryby potrafił tak długo popełniać zbrodnie bezkarnie i bujać swobodnie po Warszawie wśród całej masy detektywów i kilku tysięcy policjantów, nie wyłączając i sławnych reporterów, — dodał z przekąsem.

— Owszem, — odparł Zwidlicz chłodno. Zdawał się nawet nie słuchać tej chaotycznej gadaniny. — Naprzykład . . . i spojrzał przenikliwie na Karola.

— Naprzykład? — powtórzył cicho Karol, kręcąc się niespokojnie pod wnikliwym spojrzeniem Zwidlicza.

— Karol Boreń, — rzekł reporter twardo i szybko odjechał, pozostawiając zdumionego z postarzałą twarzą, chwiejącego się na nogach Karola.

Jak odrętwiały stał przez kilkadziesiąt sekund, przerażonym wzrokiem ścigając znikające auto Zwidlicza.

— Zapłacisz mi za to, — zgrzytnął zębami i szybkim krokiem podążył do auta.

Hrabina Anna, która była niemym świadkiem tej sceny, niespokojnym wzrokiem wpatrywała się w bladą twarz Karola.

— Co się stało? — zawołała przerażona jego zachowaniem się i bladością malującą na twarzy. — Powiedziałeś mu co? Nie przyjął mego zaproszenia? Czy . . .

— Za bardzoś ciekawa! — ofuknął ją gniewnie.

— Franciszku! — zawołała na szofera nie zwracając na opryskliwość Karola. — Wracamy do domu. Panu niedobrze.

— Jedź dalej! — krzyknął Karol z pasją. — Nic mi nie jest.

— Więc mów co się stało? — dopytywała się natarczywie hrabina, potrząsając jego dłonią. — Co ci powiedział?

— Nic! — odparł.

— A jednak? . . . nalegała.

— Powiedział mi moje nazwisko, — rzekł dobitnie skandując każdą zgłoskę i patrząc na nią groźnym wzrokiem. — Nie ujdzie mu to na sucho. Mam plan.

Następnie przysunął się blisko hrabiny i począł coś długo szeptać żywo gestykulując.

Auto przewijało się zręcznie ulicami Warszawy.

## ROZDZIAŁ IV.

Dom, który zajmował notariusz Czekański, był urządzony z całym nowoczesnym komfortem. Posiadał oświetlenie elektryczne i centralne ogrzewanie.

Umeblowany był ze smakiem i utrzymany w dobrym stylu; znajdowały się tam przepyszne mahoniowe bogato złocone meble, obrazy olejne, mistrzów takich jak Kossak, Malczewski, Matejko i innych, w przepięknie rzeźbionych ramach, wspaniałe gobeliny, zegary z porfiru, stoły marmurowe zdobne w mozaikę.

Parter przeznaczony był dla licznych gości, których notariusz dość często zapraszał urządzając bardzo kosztowne przyjęcia. Lewe skrzydło pierwszego piętra zajęte było przez biuro, również gustownie urządzone.

Piękne, słoneczne pokoje prawego skrzydła zamieszkiwał sam właściciel.

Na drugim piętrze, znajdowały się pokoje gościnne. Na podwórzu stał wybudowany mały garaż. Obok garażu po prawej stronie widać było niską przybudówkę zajmowaną przez odźwiernego

Notariusz licznej służby nie trzymał. Odźwierny z żoną i pokojówka zajmująca maleńki pokoik na drugim piętrze w zupełności mu wystarczali.

Podczas urządzenia przyjęć najmował chwilowo ludzi, których po przyjęciu opłaciwszy zwalniał.

Stacha Korecka, po pożegnaniu ze Zwidliczem wsparła się na ramieniu notariusza, wzruszona przykrym incydentem, wyczerpana podróżą, pragnęła jak najprędzej znaleźć się w łóżku.

Notariusz, kluczem, który wyjął z kieszeni otworzył dużą ciężką bramę.

Weszli do dużej kwadratowej sieni.

Przyjęła ich pokojówka schludnie ubrana, widocznie oczekująca ich przybycia, której notariusz rozkazał, by zaprowadziła Stachę do pokoju, przeznaczonego dla niej.

Stacha pożegnawszy się z notariuszem szybko podążyła za poprzedzającą ją pokojówką, marmurowymi schodami wyłożonymi dywanem.

Pokój znajdował się na drugim piętrze.

Pokojówka, otworzywszy drzwi, zakręciła kontakt elektryczny, umieszczony tuż przy drzwiach wewnątrz pokoju i oczom Stachy ukazał się milutki pokoik. Cały różowy.

Ściany były blado - różowe, podłogę pokrywał dywan tejże barwy. Jasne łóżko, uścielone puchową kołdrą, obleczoną w jedwabną z koronkami, białą materią miało ściągnięte wstążkami muślinowe firanki. Szeroki wygodny fotel i kanapa powleczone były wzorzystą tkaniną. Stół szeroki pokryty był cieńkim obrusem bogato haftowanym. Wokoło stołu ustawiono trzy zgrabne krzesełka. Stolik nocny, stojący obok łóżka z umieszczoną na nim z maleńkim abażurem lampką elektryczną, mała toaletka, piękne kwiaty w doniczkach, kilka obrazów na ścianie; to było wszystko, co oczekiwało na przyjęcie młodej dziewczyny.

Stacha usiadła ciężko na miękkim fotelu.

— Czy mam podać kolację? — spytała pokojówka, zaciągając akcentem lwowskim.

— Dziękuję! Nie jestem głodna, — odparła Stacha i skinieniem ręki odprawiła pokojówkę.

Zgasiła światło i rozebrawszy się położyła spać.

Mimo zmęczenia, przez całą noc nie mogła usnąć. Przewracała się z boku na bok, lecz przeżyte wrażenia nie dały jej spokoju. Dręczyły ją złe przeczucia. Przerażało niebezpieczeństwo, którego dzięki pomocy Zwidlicza uniknęła.

— Zwidlicz . . . hm . . . nie wiedziała w tej chwili, czy czuje wdzięczność dla niego czy niechęć. Zainteresował się nią, jak to sam przyznał z nudów. Przy tym nie spojrzał na nią ani razu; był zimny i opanowany.

Przymknęła powieki, usiłując usnąć bezskutecznie.

Myśl jej usilnie pracowała, nad rozwiązaniem zawiłego problemu swego porwania.

Uderzyła ją pewna myśl.

— Skąd napastnik mógł znać jej nazwisko? Skąd wiedział, że przyjedzie tym właśnie pociągiem? Dlaczego ją usiłowano porwać? Co to był za człowiek? Czego chciał? Pieniędzy nie miała. Musiał dobrze być poinformowany o jej krokach. Powołał się nawet na notariusza, wyraźnie wymieniając jego nazwisko.

Stała wobec niedającego się określić wyraźnie położenia — bo chociaż uspakajała się i wstrzymywała od wyciągania wniosków z tej ciekawej przygody, wiedziała jednak dobrze, że padła ofiarą z góry ukartowanego zamachu.

Białe czoło Stachy pokryło się zmarszczkami. Wszak tylko notariusz wiedział o jej przybyciu, wogóle nawet o istnieniu. Czyżby on miał z tym co wspólnego? Nie! Ten miły człowiek, to niemożliwe!

Przewróciła się na drugi bok i zagłębiła twarz w miękkiej poduszce. Całą siłą woli starała się opanować i poczęła liczyć w myślach. Słyszała, że jest to dobry środek nasenny. Jednak wszelkie jej

usiłowania nie odnosiły pożądanego skutku, przeciwnie wybiła się zupełnie ze snu.

Zła na siebie uniosła się do połowy i lewą ręką przekręciła kontakt małej lampki.

Z zamiarem odpędzenia dręczących ją myśli, poddała pokoik gruntownej obserwacji.

Dłuższy czas wodziła wzrokiem po ścianach i przedmiotach gdy wreszcie uczuła, tak długo upragnioną senność.

Szybko zgasiła światło i ułożyła się do snu.

Jak długo spała i czy wogóle spała, nie mogła sobie zdać z tego dokładnie sprawy.

Zbudził ją cichy szelest i trzask przekręconego kontaktu.

Otwarła gwałtownie oczy.

Pokój tonął w świetle elektrycznym. Przed jej łóżkiem stał wysoki mężczyzna, czarno ubrany w kaszkiecie na głowie. Na twarzy jego spostrzegła wąską czarną maskę.

Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na intruza nie mogąc wydobyć głosu z zaciśniętej lękiem krtani.

— Ani słowa! — szepnął groźnie zamaskowany, a oczy jego przez szpary maski, rzucały groźne błyski.

W ręku trzymał rewolwer.

Stacha z pobladłą śmiertelnie twarzą, przerażonymi oczyma trwała nieruchomo, siedząc na łóżku.

Tymczasem zamaskowany, kocim krokiem podszedł do niej i nachyliwszy się nisko, tak, że czuła jego gorący oddech na swej twarzy, szepnął rozkazująco:

— Ubierz się, pójdziesz ze mną, — i błysnął groźnie przed jej oczyma, trzymanym w ręku rewolwerem.

Jak zahipnotyzowana, drżącymi rękami, podjęła leżącą na krzesełku obok łóżka sukienkę i poczęła się ubierać.

Zamaskowany stał tuż obok wyprostowany i bez słowa obserwował ubierającą się Stachę.

W kilkanaście minut była już ubraną.

Zamaskowany podskoczył do wieszadła i zdjął jej płaszcz. Z wymownym gestem podszedł ku niej i podał w milczeniu.

— Nie! Nie! — krzyknęła cicho drżącym głosem.

— Uduszę cię, jak nie usłuchasz! — ryknął. Położył rewolwer na skraju stołu i obydwoma rękami rozpostarł płaszcz przed sobą.

— Ubieraj się, — rozkazał.

Wiedziona instynktem samoobrony, korzystając z tego, że trzymał w rękach rozpostarty płaszcz, a rewolwer leżał na stole, szybkim skokiem rzuciła się ku uchylonym przez zamaskowanego drzwiom.

Jednak mimo jej nagłego i niespodziewanego skoku, zamaskowany okazał się zręczniejszy. Szybkim jak błyskawica ruchem ujął ją

za włosy i pociągnął silnie w tył drugą ręką. Chwycił za gardło.

Byłaby się przewróciła, gdyby nie to, że zamaskowany wsparł ją swym ciałem.

— Więc tak sobie poczynasz? — zawołał stłumionym głosem. — Zaraz spokorniejesz.

Przycisnął ją silnie ręką trzymającą za gardło do siebie, drugą wolną wyciągnął chusteczkę po czym tą samą ręką ścisnął jej nos, tak, że musiała otworzyć usta aby zdobyć oddech.

Stacha broniła się rozpaczliwie, kopiąc go i wolnymi rękami, próbowała oderwać rękę uciskającą gardło.

Nim się zorientowała, usta miała zakneblowane.

Następnie bardzo zręcznie nałożył jej opaskę i puściwszy drugą ręką przewiązał w tyle, aby zapobiec ewentualnemu wysunieniem knebla z ust.

Wyczerpana i osłabiona ostatnim wysiłkiem, nie była zdolną do dalszej obrony. Całą siłą powstrzymywała łzy cisnące się do ócz. Jej duma nie pozwalała na to, aby przed tym brutalem płakała.

Zamaskowany ubrał ją własnoręcznie w płaszcz i bez słowa pchnął naprzód.

Postąpiła krok, gdy nagle w otwartych drzwiach stanął Zwidlicz, ubrany tak samo, jak w chwili, gdy go pożegnała i mierząc rewolwerem w zamaskowanego, rzekł spokojnym zimnym głosem:

— Ręce do góry Maks!

Zamaskowany zawahał się. Rzucił szybkie spojrzenie na leżący rewolwer. Zwidlicz spostrzegł je.

— To cię zgubiło, — rzekł ironicznie, i powoli począł się zbliżać do zamaskowanego, który teraz stał nieruchomo z rękami podniesionymi.

O dwa kroki zatrzymał się przed stojącym.

Stacha, która już zdążyła się oswobodzić z przeszkadzającego knebla, stała jak posąg nierozumiejąc dokładnie odbywającej się sceny.

Chaos jaki panował w jej myślach, nie pozwolił zastanowić się dokładnie.

Do podświadomości Stachy, zakradła się myśl, że teraz stanie się coś ważnego. Widok dwóch groźnie stojących przed sobą przeciwników, napawał ją przerażeniem. Była przekonaną sama nie wiedząc skąd, że zamaskowany, aczkolwiek bezbronny, stojący w tej chwili z rękami podniesionymi w górę, był niemniej groźny od uzbrojonego Zwidlicza.

Spojrzała ciekawie na reportera, chcąc zapamiętać jego twarz, gdyż w pierwszym spotkaniu nie przyjrzała mu się dokładnie, gdy nagle zamaskowany ruchem szybszym od myśli pochylił się i ugodził Zwidlicza głową w brzuch.

Padł strzał, napełniając cały pokój dymem.

Huk, który odbił się wielokrotnym echem, po domu wśród ciszy nocnej, przeraził ją ogromnie.

Przymknęła na sekundę oczy.

Gdy je otworzyła w pokoju panowały ciemności, wśród których usłyszała wyraźnie, że jakaś postać podniosła się z ziemi i pobiegła do drzwi i szarpnęła silnie klamką, i w tym momencie zabłysło światło.

Ujrzała Zwidlicza szarpiącego za klamkę, usiłującego otworzyć drzwi.

Zamaskowanego nie było w pokoju.

Następnie zobaczyła jak Zwidlicz odstąpiwszy parę kroków w tył, całą siłą rzucił się na drzwi, które pod tym uderzeniem z głośnym trzaskiem otwarły się. Zwidlicz wybiegł szybko z pokoju.

Pobiegła szybko w ślad za nim, lecz reporter już znikał w szalonym pędzie po schodach.

Zwidlicz wybiegłszy na ulicę, przez szeroko otwartą bramę, rozglądnął się bacznie wokoło. Wschodzący dzień pozwalał mu widzieć słabo zarysowane kontury domów. Ruch uliczny jeszcze się nie zaczął. Światła były już pogaszone. Po lewej stronie domu notariusza, znajdował się wolny plac, niczym niezabudowany.

Przeszukał go powierzchownie, przyświecając sobie ręczną latarką. Na placu stały w równych rzędach poukładane cegły. Prawdopodobnie ktoś zamierzał tu budować. Wytężając słuch i bystro rozglądając się na wszystkie strony obiegł wokoło długie rzędy cegieł. Zamierzał właśnie odejść, gdy spostrzegł w głębi czarną budkę, którą słusznie uważał za skład narzędzi mularskich. Rzucił w tą stronę snop światła elektrycznego.

— Co to? Czy dobrze widział, czy może padł ofiarą złudzenia, zdawało mu się, że jakiś czarny cień zniknął szybko za budką.

Zbliżył się szybko, lecz z ostrożnością do budki i okrążył ją dokoła. Nie zobaczył nikogo.

Począł powątpiewać, czy rzeczywiście coś widział. Mimo to miał nieokreślone uczucie, że Maks tu jest. Świecił latarką na wszystkie strony, lecz światło jej w pomieszaniu z budzącym się dniem nie pozwalało mu dokładnie widzieć wszystkiego. Postępował dalej w kierunku, gdzie spodziewał się znaleźć, przyczajonego Maksa. Nagle usłyszał bardzo wyraźnie odgłos potrąconego kamyka. Pobiegł szybko w tym kierunku trzymając w pogotowiu rewolwer. Latarkę zgasił. Mógł już orientować się doskonale w coraz więcej budzącym się dniu. Miał już pewność, że ścigany tu się ukrywa. Podczas biegu usłyszał szybko oddalające się kroki, które biegły w kierunku stojących cegieł. Zobaczył ciemną sylwetkę męską.

— Stać! — zawołał głośno. — Stać, bo strzelam!

Nie otrzymał odpowiedzi. Zobaczył tylko, że ścigany znikł za cegłami. Pobiegł za nim jak mógł najszybciej, lecz już nikogo nie zobaczył.

Nagle usłyszał za sobą głośny chichot. Odwrócił się szybko z rewolwerem gotowym do strzału.

Spostrzegł ściganego jak biegł szybko naprzełaj przez plac.

Wystrzelił. Bez skutku. Ścigany zniknął w mrokach kończącej się nocy.

— Co to ma znaczyć? — pomyślał.

Nagle tknięty jakąś myślą, błyskawicznie pobiegł do domu i sadząc olbrzymimi skokami po schodach omal nie wpadł na biegnącego korytarzem notariusza, roznegliżowanego z przerażoną twarzą.

— Panna Korecka? — zapytał Zwidlicz ochrypłym ze zmęczenia głosem, szybko pracując piersią.

— Zniknęła, — odparł notariusz pobielałymi z przerażenia wargami. — Obudził mnie huk i . . .

Zwidlicz nie słuchał słów notariusza, lecz jak burza zbiegł pędem po schodach przesadzając po kilka stopni naraz.

Na ulicy zwrócił się w prawym kierunku i biegł szybko naprzód.

Ubiegł może ze dwieście metrów i zatrzymał się na chwilę przed szeroką bramą prowadzącą na podwórze jakiegoś domu stojącego obok.

Pchnął silnie wrota, które się natychmiast rozwarły i skoczył do stojącego w pogotowiu auta.

Pochylony nad kierownicą z rozwianym włosem, gdyż kapelusz spadł mu z głowy podczas biegu, zwrokiem utkwionym przed siebie mknął mijając zakręty i puste jeszcze o tej porze ulice z błyskawiczną szybkością.

Szalona ta jazda trwała już dwadzieścia pięć minut, gdy Zwidlicz z głośnym zgrzytem zatrzymał auto.

Znajdował się w tej chwili na skraju wąskiej brukowanej ulicy. Po lewej stronie wznosił się wysoki mur, który biegł niemal przez całą długość tejże. Po prawej, stało kilka kamienic jedno- i dwupiętrowych, oświetlonych złotymi promieniami wschodzącego słońca.

W pośrodku, pomiędzy kamienicami widać było jednopiętrowy domek, z poszarpaną fasadą i podziurawionym dachem krytym blachą. Okna były silnie okratowane. Szeroka brama, znaczyła się na tle brudnych i postrzępionych murów ciemną plamą. Dom robił wrażenie opuszczonego składu z węglem. Przekonanie to potwierdzał stary zardzewiały szyld umieszczony nad drugą bramą znajdującą się w miejscu wolnym, między domkiem a obok w oddaleniu jakich czterech metrów wznoszącą się dwupiętrową kamienicą.

Do tego właśnie miejsca zmierzał szybko Zwidlicz, wyskoczywszy z auta. Zatrzymał się przed wąską szparą utworzoną pomiędzy deskami i zajrzał ciekawie do wnętrza, pilnie nadsłuchując.

Nieszczególny widok przedstawił się jego oczom. Z lewej strony widać było pustą ścianę domu. Z prawej to samo. W głębi widniał nierówny błotnisty podwórzec, okolony wysokim drewnianym płotem, zabezpieczonym od góry kolczastym drutem.

Kilka sekund Zwidlicz trwał nieruchomo, po czym zdecydowanym, zręcznym ruchem wspiął się na bramę i znalazłszy się na wierzchu, jeszcze raz rozejrzał się ciekawie i nie spostrzegłszy nikogo, szybko zeszkoczył, wewnątrz.

Wyciągnął rewolwer, a przekonawszy się, że jest jeszcze dostatecznie nabity, długimi krokami, nie czyniąc najmniejszego hałasu, począł śmiało postępować naprzód.

Gdy znalazł się na skraju domku, ostrożnie wyjrzał zza węgła. Szybko obrzucił bystrym spojrzeniem podwórzec. Nie było nikogo. W pośrodku podwórca sterczała stara dębowa studnia z pompą.

Skręcił na lewo i zgiąwszy się do połowy szybko przemknął pod oknami. Zatrzymał się na stopniu drewnianym w pośrodku zupełnie wydeptanym, widocznie od długiego użycia, który prowadził do sieni domku, w tej chwili zamkniętej pojedyńczymi na dużych zardzewiałych zawiasach wiszących drzwiami.

Przywarł silnie uchem do drzwi i kilkanaście sekund nadsłuchiwał. Dobiegły go jakieś oddalone głuche odgłosy prowadzonej głośno rozmowy.

Uśmiechnął się lekko, po czym wyciągniętym z kieszeni kluczem, otworzył drzwi, śmiało uchylając i prześlizgnął się bezszelestnie do wnętrza domu.

Szeroka sień była pusta. Przeszedł jak mógł najciszej, stąpając uważnie po drewnianej podłodze, w kilku miejscach przegniłej i zbutwiałej. Po jego zdecydowanych ruchach znać było, że nie po raz pierwszy składa tajemną wizytę w tym domu. Uderzyła go silna woń pleśni, unosząca się w powietrzu, jaką się zwykle odczuć daje w nieprzewietrzonych lokalach, i zatrzymał się na moment, niezdecydowany co czynić, przed drewnianą klatką schodową, prowadzącą na pierwsze piętro.

Wszystko to było zakurzone, osnute liczną pajęczyną i niesłychanie brudne.

Z góry dobiegł go gwar licznych męskich głosów, przerywanych od czasu do czasu, głośnym śmiechem.

Wahanie Zwidlicza nie trwało długo. Zacisnął silnie usta, opatrzył jeszcze raz rewolwer, dopełniając go nabojami w miejsce poprzednio wystrzelonych i w trzech skokach nie czyniąc hałasu przesadził drewniane schody.

Sień pierwszego piętra w przeciwieństwie do parteru utrzymana była w czystości. Ściany były pomalowane na jasno. W prawym rogu stała ciężka dębowa szafa.

Z rewolwerem gotowym do strzału, Zwidlicz skradał się cicho w kierunku skąd dobiegał go coraz większy gwar męskich głosów. Zatrzymał się przed niedomkniętymi, podwójnymi drzwiami. Zajrzał ciekawie do środka, lecz szpara była tak wąską, że oprócz małego pasemka pustej przestrzeni nic nie zobaczył.

— Tęgi z niego gracz, — dobiegł go nosowy głos z wewnątrz.

— Psy gończe mają nielada orzech do zgryzienia, — mówił inny z drwiącym chichotem. Zawtórował mu śmiech innych.

Zwidlicz na razie nie mógł się zorientować ilu ludzi znajduje się w pokoju. Już miał rozchylić szerzej drzwi, narażając się na ewentualne niebezpieczeństwo, celem zaspokojenia ciekawości, gdy z kłopotu wybawił go głos, który w tej chwili mówił:

— Trzech nas, to stanowczo za dużo do pilnowania tej małej. Heski ze względu na rozbitą mordę . . . mówiącemu przerwał okrzyk wściekłości i groźny głos krzyknął:

— Ty, zezowaty szczeniaku, jak jeszcze raz odezwiesz się w ten sposób o mojej twarzy, to ci majchrem zajadę tak pod żebro, że ci nawet rodzona babka nie pomoże.

— Dobrze, już dobrze, — ciągnął przezwany szczeniakiem uspokajająco.

— Pardon Heski, nie gniewaj się. Nie w złej myśli to powiedziałem. Nie chcę z tobą zwady, tym bardziej, że jak wiesz "On" nie lubi zatargów między nami.

Przez chwilę zapanowało niczym nie przerwane milczenie, jakby to słowo magiczne "On" wypowiedziane przez "Szczeniaka" zamknęło im usta.

— Radzę ci "Szczeniaku" — pierwszy przerwał milczenie Heski, — abyś o "Nim" nie wspominał. "On" tego nie lubi. — W tym miejscu głos Heskiego zabrzmiał łagodnie niemal ojcowsko.

— Jesteś młody. Dopiero zaczynasz żyć. Więc wiedz o tym, że największym skarbem i cnotą prawdziwego złodzieja jest . . . zatrzymał się na chwilę, po czym dodał dobitnie... — umieć milczeć!

Zwidlicz widząc, że dalsze oczekiwanie może go narazić na groźne niebezpieczeństwo, gdyż nie ulegało wątpliwości, że gdyby go spostrzeżono tu w tym miejscu, gdzie banda czuła się bezpieczną, nie przeczuwając nawet, że może być komuś niepowołanemu znaną ich kryjówka, pożegnałby się z życiem. Z poprzednich wyczynów znał okrucieństwo bandy.

Nie zastanawiając się zatem wiele, tym bardziej, że z prowadzonej obecnie rozmowy, która przeszła w najzwyklejszą przyjacielską pogawędkę nic ważnego się nie dowie, postanowił działać.

Z całą pewnością wiedział teraz, że Stacha Korecka znajduje się tu pod strażą trzech z bandy.

Nie przerażała go myśl, że przeciwników jest trzech a on sam. Wiedział z góry, że zwycięstwo będzie po jego stronie, gdyż bandyci

zdezorientowani i przerażeni jego raptownym i najmniej spodziewanym wtargnięciem nie będą stawiali dużego oporu.

Pchnął zatem szeroko drzwi i z wyciągniętym rewolwerem wpadł nagle do pokoju zatrzymując się o krok od progu.

Niezwykły obraz przedstawiał się jego oczom.

Otóż pokój ten stanowił dziwny kontrast z zewnętrznym ponurym i zaniedbanym wyglądem domu. W pośrodku leżał rozpostarty szeroki dywan. Masywny dębowy stół przykryty był ciemnym drogocennym obrusem. Nakoło stołu w miękkich wygodnych fotelach siedziało trzech mężczyzn paląc papierosy i gawędząc swobodnie. Na niskiej wspaniałej kanapie leżała Stacha Korecka, widocznie uśpiona jakimś narkotykiem, gdyż ręce jej białe zawisły wolno, a powieki miała przymknięte. Przykryta była do połowy jakąś ciemną tkaniną: czymś w rodzaju drogocennej makaty. Ściany pokoju obite były gobelinami i wprost przykryte licznie zawieszonymi w różnokolorowych ramach obrazami. Najróżnorodniejsze drogocenne meble, stojące w nienależytym porządku, nadawały mu jarmaczny wygląd.

— Wszystko to pochodzi zapewne z uprzednich łupów złodziejskich, — pomyślał Zwidlicz.

Poznał nawet stary ciężki zegar ścienny, wykuty dłonią snycerza średniowiecznego, własność znanego mu, a okradzionego przed ośmiu miesiącami hr. Janusza Ruczaja.

Siedzący bandyci osłupieli na widok zjawiającego się nagle jakby spod ziemi Zwidlicza, który stojąc krzyknął gromkim i ostrym, jak stal głosem:

— Ręce do góry!

Usłuchali natychmiast. Na ich przerażonych i ogłupiałych twarzach malował się wyraz najwyższego przestrachu i grozy jakby na widok jakiegoś groźnego upiora zza światów.

— Chodźcie tu bliżej, — rozkazał twardo Zwidlicz.

Posłuszni wezwaniu, jakby zahipnotyzowani jego wzrokiem, postąpili kilka kroków naprzód z rękami wzniesionymi do góry.

— Stać! — rozkazał, gdy znaleźli się w wolnej przestrzeni pokoju.

Kilka sekund wpatrywał się w nich swym magicznym wzrokiem, po czym nagle nim, który z przerażonych opryszków mógł zorientować się co zaszło, przyskoczył do nich i ugodził pierwszego kolbą rewolweru w skroń, drugiego ściśniętą pięścią pod brodę. Obydwa runęli na ziemię ciężko jak podcięte kłody.

Natomiast trzeci korzystając z tej krótkiej przerwy z głośnym okrzykiem runął na Zwidlicza i ugodził go pięścią w czoło powyżej skroni. Cios był silny. Zwidlicz zachwiał się pod jego uderzeniem, lecz już w następnym momencie schwytali się za bary, padając na dywan. Bandyta, którego Zwidlicz widocznie nie docenił okazał się nie lada przeciwnikiem. Jak w stalowych kleszczach ściskał mu dłoń

trzymającą rewolwer. Zwidlicz obawiając się teraz, aby, który z powalonych przez niego uprzednio, nie ocknął się i przyszedł z pomocą przeciwnikowi, lewą ręką chwycił za łokieć bandytę znanym mu chwytem "jiu-jitsu" i to z taką siłą, że tenże ryknął nieludzkim głosem zwalniając uścisk rozbrojonej dłoni.

Dwoma silnymi uderzeniami kolbą w głowę pozbawił go przytomności.

Zerwał się. A był już czas najwyższy, gdyż uderzony uprzednio pięścią podnosił się potrząsając obolałą głową. Zwidlicz nie robił z nim żadnych ceregieli. Przyskoczył do niego szybko z ponownym ciosem kolby pozbawił go na długo przytomności.

Sznurami, które znalazł w małej szafeczce skrępował nieprzytomnych jeszcze i zatkawszy im usta gałgankami oderwanymi z wiszącej na ścianie makatki, ułożył ich jeden obok drugiego w ciemnym kącie pokoju.

Następnie przystąpił do leżącej Koreckiej i nawet nie przyglądając się zbytnio jej bladej twarzy wziął ją w ramiona i wyniósł na podwórze.

Sekundę zastanawiał się co czynić, którym wyjściem opuścić ten niebezpieczny dom.

Zdecydował się na tą samą bramę poprzez, którą przeskoczył.

Zatrzymał się przed bramą i ułożywszy na ziemię Koreckę, kamieniem, który znalazł, rozbił zardzewiałą kłódkę.

Podniósł leżącą i szybko nieoglądając się poza siebie pobiegł z nią do auta, obok którego stało kilku ludzi gapiąc się.

Na jego widok odstąpili, jednak z takim wyrazem twarzy jakby uważali go za rzezimieszka. Nawet jeden ze stojących ubrany w strój roboczy olbrzymiej budowy przystąpił do niego i zapytał groźnie:

— Co to znaczy?

Zwidlicz nie odpowiedział. Ułożył śpiącą na miękkich poduszkach samochodu i nim zdumiony robotnik mógł go zatrzymać szybko znalazł się przy kierownicy i z miejsca aż auto podskoczyło, pomknął błyskawicznie, zostawiając ogłupiałych gapiów.

W drodze zatrzymał się przed Komisariatem, gdzie parę minut spędził z dyżurnym przodownikiem, gdyż o tej porze kierownika nie było, po czym zajechał przed dom notariusza.

Przyzwany lekarz, przez uradowanego, na widok Stachy, notariusza po kilku minutach obudził ją z narkotycznego snu spowodowanego chloroformem.

Po upływie pół godziny, w którym to czasie Zwidlicz objaśnił notariusza o wypadku, Stacha Korecka nie mogła nic powiedzieć prócz kilku słów.

— W chwili, gdy wybiegła za Zwidliczem, jakaś ręka położyła jej mokrą chusteczkę na ustach. Straciła świadomość i obudziła się dopiero teraz w tej chwili.

— Nic zatem nie wie o porwaniu, — ozwał się szeptem notariusz do stojącego w milczeniu Zwidlicza.

— Na razie nic jej nie mówmy o tym, — rzekł również szeptem Zwidlicz. — Biedne to dziewczę ma, dość jak na początek. Obawiam się czy nerwy jej wytrzymają.

Notariusz Czekański nic nie powiedział. Zatroskanym wzrokiem spojrzał na siedzącą w fotelu Stachę.

— Czy nie mógłby pan, — zaczął po chwili notariusz z wahaniem, — powiedzieć dlaczego złoczyńcy zawzięli się na biedną dziewczynę.

— Gdybym panu mógł odpowiedzieć na to pytanie, — odparł Zwidlicz spokojnie, — Warszawa byłaby uwolnioną od Maksa . . . prawdopodobnie, — dodał.

Notariusz Czekański na sam dźwięk imienia, które było postrachem Warszawy, silnie pobladł.

— Więc to on? — szepnął pobielałymi ustami.

— Niech pan dobrze strzeże swej pupilki, — zamiast odpowiedzi ostrzegł go Zwidlicz.

— Myśli pan, że po tym co pan uczynił ponowią atak? — zapytał przerażony notariusz.

— Jestem tego pewny, — rzekł Zwidlicz dobitnie i pożegnawszy się opuścił przerażonego notariusza.

W drodze do swego mieszkania spotkał Karola Borenia, znanego niebieskiego ptaka, kochanka hrabiny Anny Kruszeńskiej.

On tylko jeden, znał niektóre ciemne sprawki Borenia. Zostawił go w spokoju, ponieważ nie do niego należało schwytanie złoczyńców. Zresztą Boreń mógł być dla niego użytecznym pod niejakim względem.

Zostawiwszy zatem przerażonego Borenia na ulicy pomknął do mieszkania.

Podczas rzeźwiącej kąpieli mruknął do siebie: — Pokpiłeś trochę sprawę. Musisz się zatem mieć teraz na baczności, — i prysnął zimnym tuszem.

## ROZDZIAŁ V.

Niezwykłe ożywienie panowało w redakcji "Kurjera Warszawskiego". Zecerzy i korespondenci biegali tu i ówdzie, żywo gestykulując. Dzwonek z gabinetu Naczelnego redaktora Jana Kamińskiego dźwięczał bezustannie wzywając któregoś z pracowników.

Motory maszyn drukarskich huczały warcząc i wyrzucając ze siebie całe masy dużych stronic które mokre jeszcze od farby rozchwytano stosami i ekspediowano. Liczne masy ulicznikow porywało po kilkadziesiąt egzemplarzy i wylatując z bram redakcji już na ulicy krzyczeli drąc się na całe gardło: — Naa . . . dzwyczaa . . . dodaa . . . Walka Maksa z reporterem. Wydarty łup. Tajemnicze porwanie.

Liczni przechodnie zakupywali dodatki i z rozgorączkowanymi twarzami czytali:

Tajemnicze porwanie. Walka naszego reportera z Maksem. Zwycięstwo reportera. Odebrany łup.

W dniu wczorajszym kurierem Kraków-Warszawa przybyła do naszego miasta młoda dziewczyna panna S. K. Ze względów na prowadzone śledztwo w tej sprawie nazwiska nie podajemy. Panna S. K., przybyła do Warszawy po raz pierwszy celem objęcia posady stenotypistki u znanego powszechnie i lubianego notariusza M. C.

Tu następował znany nam opis porwania.

Dzięki zatem interwencji naszego dzielnego i znanego reportera pana Włodzimierza Zwidlicza młoda dziewczyna uniknęła niebezpieczeństwa.

Reporter nasz, który jest na tropie Maksa i jego bandy, przekonany, że porwanie to powtórzy się po raz drugi, po pożegnaniu panny S. K. i notariusza M. C. miast udać się do mieszkania swego, auto swoje umieścił na podwórzu znanego mu właściciela domu a sam postanowił oczekiwać wypadków, których się spodziewał.

Kilka dni przedtem, dzielny nasz reporter od szeregu miesięcy zajmujący się śledztwem tajemniczego Maksa wpadł dzięki swemu wrodzonemu sprytowi i nadzwyczajnym zdolnościom śledczym na ślad dwóch członków bandy.

Przebrany mistrzowsko w strój włóczęgi postępował śladem opryszków, którzy nie przypuszczając nawet, że mogą być śledzeni kołując jednak i używając przeróżnych fastelów zacierali ślady za sobą naprowadzili nietracącego ich z oczu reportera do swej kryjówki na . . . przy ulicy . . .

Dzielny nasz reporter nie zawahał się na na moment i wtargnął z nieustraszoną odwagą do gniazda bandy.

Tu udało mu się podsłuchać z urywków prowadzonej rozmowy przez kilku zgromadzonych na pierwszym piętrze tego domu członków bandy, że w najbliższych dniach tajemniczy ich szef, którego nie znają, gdyż występuje wobec nich zawsze zamaskowany, a dokonać się mającym porwaniu jakiejś młodej dziewczyny. Nazwiska nie znali nawet najwięcej wtajemniczeni.

Z podsłuchanej rozmowy wywnioskował, że łup jakiego spodziewano się za pośrednictwem owej młodej dziewczyny miał być bardzo znaczny. Lecz w jakiej postaci przedstawiać miał się ów łup nie wiadomo dotychczas.

Jak zaznaczyliśmy dziewczyna jest uboga nie posiadająca ani bogatych krewnych ani rodziny.

Powracając zatem do chwili, gdy nasz reporter ulokowawszy swój samochód w bezpiecznym miejscu, postanowił czuwać nad bezpieczeństwem panny S. K., gdyż po wypadku, na którego trop wpadł dzięki przypadkowi, przyszedł do przekonania, że ową młodą dziewczyną jest właśnie uratowana przez niego.

Oczekiwanie na ulicy wśród nocy mglistej i chłodnej nie należało do przyjemności. Około godziny wpół do piątej rano, przemarznięty i zniechęcony stojący wciśnięty we framugę przeciwległej kamienicy reporter, wyszedł ze swego ukrycia i szybkim krokiem oddalił się w stronę umieszczonego samochodu z zamiarem udania się na spoczynek, będąc przekonany, że porwanie o ile ma się dokonać powtórnie, tej nocy nie będzie uskutecznione. W momencie jednak, gdy znalazł się przed bramą, za którą znajdował się jego samochód rozmyślił się jeszcze i postanowił przekonać się naocznie, czy panna S. K. jest w domu. Przypuszczał, że banda mogła dostać się do domu tylnym wejściem przez podwórze, niekoniecznie główną bramą. Z zamiarem zaspokojenia dręczących go wątpliwości, powrócił do bramy i już miał zadzwonić, gdy spostrzegł, że brama jest niezamknięta.

Zatem ktoś wszedł nie zamknąwszy za sobą bramy. A wiedział z całą pewnością, że brama została zamknięta przez notariusza. Zaniepokojony w najwyższym stopniu, nie wiedząc czy przybywa na czas czy za późno, gdyż ów ktoś kto wszedł mógł tam znaleźć się w chwili, gdy umieszczał samochód lub podczas kilkuminutowej jego obecności teraźniejszej.

Przyszło mu wprawdzie na myśl, że ów ktoś mógł doskonale i jego śledzić. Mógł też dziwnym zbiegiem okoliczności wejść podczas tej krótkiej nieobecności.

Pełen niepokoju wyjąwszy rewolwer z kieszeni otworzył drzwi i udał się do domu.

Tutaj jednak nie wiedział gdzie ulokowana jest panna S. K. Nie będąc jednak pewien czy istotnie było coś niebezpiecznego, nie

chciał alarmować mieszkańców na próżno, z drugiej strony obawiał się, że przedwczesny alarm mógł spłoszyć ewentualnych napastników. Postanowił zatem szybko przechodząc koło każdych drzwi nadsłuchiwać. Bo gdyby jego przypuszczenia okazały się słuszne w pokoju zajmowanym przez pannę S. K. musiał panować jakiś ruch lub coś podobnego.

W ten sposób dotarł na drugie piętro, gdzie po kilkuminutowych poszukiwaniach zatrzymał się przed lekko niedomkniętymi drzwiami przez które przedzierało się małe pasemko światła.

Zatrzymując się przed tymi drzwiami usłyszał szelest stąpających kroków po dywanie.

Nie zastanawiając się ani sekundy wpadł do pokoju.

Zobaczył wówczas pannę S. K. z zakneblowanymi ustami i przewiązaną opaską na ustach, za nią w oddaleniu trzech kroków zamaskowanego wysokiego mężczyznę, który w tej chwili wyciągał dłoń po rewolwer leżący na rogu stołu, widocznie odłożony przez zamaskowanego celem założenia knebla na ustach panny S. K.

Na jego okrzyk "Ręce do góry", zamaskowany zawahał się moment, spojrzał na leżący rewolwer i usłuchał rozkazu. Wiedział zapewne, że z naszym reporterem nie ma żartów.

W zamaskowanym reporter poznał sławnego budzącego powszechną grozę Maksa . . . i tu popełnił fatalny błąd, zaślepiony widocznie łatwym zwycięstwem.

Ze skruchą przyznał się do winy, mimo, że powinien mieć się na baczności, wiedząc z poprzednich faktów o niezwykłej zręczności i inteligencji tajemniczego Maksa, nie mając jednak siły oprzeć się pokusie zajrzeniu w twarz niebezpiecznego złoczyńcy, postąpił kilka kroków naprzód i zatrzymał się na parę sekund w bezpośredniej bliskości z wyciągniętym rewolwerem oko w oko z groźnym przeciwnikiem, który ten błąd wykorzystał pochylając się momentalnie i ugodził głową w brzuch reportera, który zdążył jeszcze wystrzelić i zachwiawszy się od niespodziewanego ciosu runął na ziemię.

Zamaskowany skorzystał z tego i umknął zgasiwszy światło i zamykając drzwi za sobą na klucz.

Podziwu godną jest zręczność i zimna krew tego złoczyńcy, który mimo niebezpieczeństwa orientował się doskonale w sytuacji.

Reporter nasz musiał mieć pecha. Gdyż po tym pierwszym błędzie, który omal nie skończył się dlań fatalnie w skutkach popełnił drugi.

Ocknąwszy się momentalnie z upadku podskoczył do drzwi i chwycił silnie za klamkę. Drzwi były zamknięte. Zakręcił kontakt. W pośrodku pokoju stała widocznie oszołomiona panna S. K., zdążywszy już uwolnić się z knebla.

Silnym pchnięciem ramienia otworzył drzwi i wybiegł szybko po schodach na ulicę, gdzie spodziewał znaleźć ślad zbiegłego.

(W tym miejscu następował znany nam opis z poprzedniego rozdziału bezskutecznego uganiania się reportera za ukazującym i znikającym cieniem człowieka).

W końcu zrozumiał reporter, że ma do czynienia z tak zwaną "zabawą w ciuciubabkę". Zastanowił się dlaczego. Jego lotny umysł nasunął mu momentalnie rozwiązanie. Dał się wywieść w pole. Tajemniczy Maks przypuszczając słusznie, że reporter wybiegnie za nim, a w domu panowała cisza, umówił zatem swego wspólnika, aby zajął reportera, a sam korzystając z jego chwilowej nieobecności wbiegnął ponownie do domu i uśpiwszy chloroformem wybiegłą na korytarz w ślad za reporterem pannę S. K., porwał i uniósł.

Pozostawiwszy zatem znikającego i jawiącego się człowieka z zamiarem upewnienia się co do swych przypuszczeń od spotkanego na schodach, zbudzonego hałasem i hukiem notariusza, że panna S. K. zniknęła . . .

(Tu następował opis wyrwania z rąk pilnujących panny Stachy Koreckiej przez Zwidlicza).

W powrotnej drodze zawiadomiony przez reportera Komisariat policji wysłał momentalnie pięciu ludzi, którzy jednak po wtargnięciu do kryjówki bandy nie znaleźli nikogo. Związani przez reportera zdołali umknąć uwolniwszy się w niewiadomy sposób, nic nie zabrawszy jednak ze zgromadzonych łupów. Znalezione przedmioty zakwestionowała, celem zwrócenia własności prawym właścicielom.

W końcu naszego ciekawego artykułu dodajemy, że reporter nasz nie współdziałał z policją, jeno na własną rękę.

Naszemu reporterowi nie zależy na sławie, lecz w chwili uniesienia dał słowo, że tajemniczego Maksa zdemaskuje sam i odda w ręce sprawiedliwości bez niczyjej pomocy.

Zaznaczył przy tym, że był już bliskim schwytania Maksa pominąwszy wyżej opisane spotkanie, przez odkrycie kryjówki, gdzie napewno Maks musiał się ukazywać, celem porozumienia się z bandą.

Postanowił zatem mieć pod ścisłym osobistym nadzorem ową kryjówkę i w chwili ukazania się tamże Maksa, śledzić go i następnie zdemaskować i oddać w ręce policji.

Jego plany zostały obrucone w niwecz, gdyż ze względu na ewentualne niebezpieczeństwo, grożące ze strony Maksa pannie S. K., uwalniając bez wahania uwięzioną od nieznanego niebezpieczeństwa.

Reporter przypuszcza, że obecnie ze względu na pomieszane szyki Maksa, grozi mu niebezpieczeństwo życia z jego strony.

Jesteśmy w oczekiwaniu nowych szczegółów z tej ciekawej sprawy, które nie omieszkamy podać natychmiast do wiadomości naszych kochanych czytelników.

Długi ten artykuł wywarł niezwykłe wrażenie na całe rzesze czytelników. Jedni z niezwykłym ożywieniem komentując jego treść, za-

chwycali się nad męstwem i sprytem Zwidlicza, drudzy natomiast ganili za lekceważenie pomocy policji i błędy popełnione przezeń, rozumując, że gdyby nie jego zuchwała fanfaronada i buńczuczna pewność siebie, banda wraz z zuchwałym hersztem tajemniczym Maksem siedziałaby dawno pod kluczem, a Warszawa uwolnioną byłaby nareszcie od dławiącej ją zmory.

Liczne głosy prasy, a szczególnie pism zazdrosnych popularności i sławy Kurjera Warszawskiego potwierdzały owe rozliczne zdania rozgorączkowanej publiczności.

Najgroźniejszy przeciwnik Kurjera Warszawskiego wydał nawet dodatek nadzwyczajny o treści godzącej w nieposzlakowany dotychczas honor reportera:

Wymysł chorej wyobraźni polującej na sensację czy też współdziałanie?

Pod tym nadrukiem wybitym tłustymi literami czytano:

Nie mamy zamiaru godzić w honor i uczciwość reportera Kurjera Warszawskiego, znanego powszechnie i sławnego z powodu swych licznych, niezwykłych sukcesów w dziedzinie kryminalistyki.

Jednak niezwykłym jest fakt, że po odkryciu kryjówki bandy Tajemniczego Maksa nie porozumiał się z władzami bezpieczeństwa publicznego, jeno zataił, czyniąc go tajemnicą własną.

To karygodne zaniedbanie, może się stać przyczyną licznych nieszczęść i zbrodni w przyszłości. Wszelka krew przelana ewentualnie spadnie na głowę tego człowieka, który z niezrozumiałych, tak dla nas, jako też i słusznie wzburzonej opinii publicznej, stał się mimowolnym wspólnikiem, budzącej powszechną grozę bandy.

Alegoryczne bowiem twierdzenie redakcji Kurjera Warszawskiego, że w chwili uniesienia dał słowo, że Tajemniczego Maksa zdemaskuje sam własnoręcznie (!) bez niczyjej pomocy (?) odda w ręce sprawiedliwości, jest nieścisłe i nie uzasadnione. Otóż reporter Włodzimierz Zwidlicz, znanym jest powszechnie ze swej zimnej krwi i wybitnej inteligencji . . .

Dziwnym jest zatem, że człowiek o takich walorach i przymiotach nagle popełnia takie głupstwo.

Nie jest naszym zamiarem uwłaszczać czci pana Zwidlicza, którego szanujemy i czcimy za jego wydajną pracę i wybitną działalność w dziedzinie kryminalistyki, jednak słusznie wraz z naszymi licznymi czytelnikami domagamy się wyjaśnień w tym kierunku.

Nie wątpimy ani na moment, że miarodajne czynniki wglądną w tą trochę zawiłą kwestię, pouczając i ewentualnie pociągając do odpowiedzialności winnego.

Nie chcemy tutaj wysuwać bijących się w oczy wniosków, że z chwilą unieszkodliwienia szajki i Tajemniczego Maksa, redakcja Kurjera Warszawskiego poniesie dotkliwą stratę z braku materiału budzącego powszechną sensacją.

Kończąc nie omieszkujemy dodać, że artykuł ten podaliśmy do wiadomości publicznej na usilne żądania naszych licznych czytelników, żądających więcej prawdopodobnych wyjaśnień.

Ohydny ten paszkwil wywarł silne podniecenie na czytających. Najróżnorodniejsze zdania wygłaszano pod adresem Zwidlicza nie szczędząc i redakcji.

Ten, którego nazwisko brzmiało na ustach licznych mieszkańców Warszawy, siedział sobie najspokojniej przy stole w swoim prywatnym mieszkaniu przy czarnej kawie i zaciągając się dymem z wonnego papierosa.

Przeczytany artykuł, nie wzruszył go bynajmniej, uśmiechnął się tylko ironicznie przymknąwszy oczy, wsparł się wygodnie na miękkim fotelu i oddał rozmyślaniom.

Natomiast naczelny redaktor Kurjera Warszawskiego po przeczytaniu tego pamfletu z wściekłą pasją wyrznął pięścią w biurko, po czym zrywając się z krzesła, począł gwałtownie biegać po gabinecie wzburzonym głosem mrucząc:

— Ohydne! Wstrętne! Jak mogli coś podobnego wydrukować? Pociągnę ich do odpowiedzialności.

Nagle tknięty jakąś myślą zreflektował się i podszedłszy do telefonu począł go nerwowo nastawiać.

Zamyślonego Zwidlicza otoczonego gęstymi kłębami dymu tytoniowego wyrwał z zadumy dźwięk dzwonka telefonicznego, który nagle zabrzmiał ostro wśród panującej ciszy, odbijając się licznym echem po pokojach.

Dzwonił naczelny redaktor Jan Kamiński w najwyższym wzburzeniu wyrzucając z siebie cały potok klątw pod adresem "Kurjera Czerwonego".

Zwidlicz wysłuchał go spokojnie w milczeniu nie przerywając jego soczystej wymowy.

— I co pan na to? — zapytał w końcu wściekłym głosem naczelny redaktor.

— Nic! — uciął krótko.

— Jak to nic?... zapytał zdumiony redaktor i zamilkł jakby mu zdumienie odebrało mowę.

Zwidlicz uśmiechnął się. Wyobrażał sobie komiczne zdumienie redaktora i szeroko otwarte usta.

— Czy pan nie rozumie? — po chwili usłyszał zdławiony głos naczelnego redaktora. — Możemy mieć nieprzyjemności ze strony... ze strony, — powtórzył widocznie krztusząc się — no jakże tam... psiakrew — zakończył i umilkł.

— Panie Redaktorze, — rzekł Zwidlicz cieplejszym tonem, — niech im pan odpisze w moim imieniu co się panu żywnie podoba.

— Jakże, mogę — odezwał się naczelny redaktor już spokojnym głosem. — Może się pan tutaj pofatyguje, — zapytał.

— Niemożliwe!

— Dlaczego?

— Zaraz udaję się do "Niebieskiego Ptaka".

— ?

Zwidlicz już miał odłożyć słuchawkę, myśląc, że redaktor odszedł, gdy dobiegł go nagle drżący głos.

— Nie...bieskiego Ptaka! Czy — czy dobrze słyszałem?

— Bardzo dobrze!

— Można wiedzieć po co?

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Są tam rozkoszne tancerki. Dobre winko. A szczególnie Rita Znamirowska. Radzę panu redaktorze zobaczyć ją. Jest rozkoszna. Jestem poprostu zachwycony jej pięknością. Może nawet dzisiaj uda mi się ucałować piękną rączkę Rity.

— Ma we mnie gorącego wielbiciela, — dodał poważnie i zamilkł.

— Życzę panu wesołej zabawy, — ryknął naczelny redaktor wściekły i Zwidlicz usłyszał trzask odłożonej słuchawki.

Nie odłożył jednak swojej. Na jego ustach igrał wesoły uśmiech. Wiedział doskonale, że naczelny redaktor zgłosi się po chwili. Rzeczywiście. Nie upłynęło jeszcze pół minuty, gdy dobiegł go cichy pokorny głos.

— Hallo?

— ?

— Hallo...??

— ?

— Jestem przy aparacie.

— Panie Zwidlicz, niech pan ze mną nie żartuje i... proszę się nie gniewać.

— Ależ... chciał przerwać Zwidlicz.

— Wiem! Wiem! Pan żartował, — mówił redaktor. — Za ile minut mam się spodziewać pana?

— Możliwe, że jutro przed wieczorem! — odparł Zwidlicz.

— Do zobaczenia, — pożegnał go redaktor i nie czekając na odpowiedź odłożył słuchawkę.

Zwidlicz parę minut trwał nieruchomo, widocznie zamyślony, po czym powoli odłożył słuchawkę, zapalił papierosa i udał się do przyległego pokoju i zatrzymał przed wiszącą dużą piłką służącą do boksu.

Sekundę wpatrywał się w piłkę. Nagłym szybkim ruchem ściągnął ze siebie wierzchne okrycie i obnażony do pasa z zaciśniętymi pięściami stał chwilę rozmyślając.

Po upływie kilku sekund rozległy się po pokoju liczne uderzenia jego pięści o piłkę bokserską.

Piętnastominutowy trening zmęczył go nieco.

Spojrzał na zegarek. Wskazywał godzinę wpół do dziewiątej.

— Najwyższy czas ubierać się, — mruknął. — Rita występuje o jedenastej.

Przeszedł następnie do garderoby, gdzie wybrał elegancki strój wieczorowy.

W godzinę później schodził wolno po schodach, wytwornie odziany. Lśniący cylinder na głowie, jasne skórkowe rękawiczki, obcisły czarny paltot, nadawały mu wygląd "dżentelmana".

Zatrzymał się parę minut przed domem, rozglądając dokoła.

Lekki zachodni wietrzyk mącił ciszę pogodnej nocy.

Ze względu na trochę wolnego czasu, jaki mu pozostawał do godziny jedenastej, postanowił pójść pieszo do Niebieskiego Ptaka.

Z rękami wciśniętymi głęboko w kieszeni paltota, pochyliwszy głowę lekko na ramiona ruszył naprzód w kierunku ulicy Marszałkowskiej.

Ostatnie wypadki stanęły mu żywo przed oczyma. Gdy wspomniał sobie fakt, że Maks był w jego mocy i tylko dzięki jego niedbalstwu umknął, — cicho zaklął pod nosem.

Czego oni spodziewają się po Stasi. Nie wypytał jej jeszcze. Może go naprowadzi na jakiś konkretny ślad. I powoli myśli jego pobiegły w innym kierunku. Rozmyślał o Ricie Znamirowskiej, nie dawno ukazującej się królowej półświatka. Od dwóch miesięcy starzy i młodzi hulacy zachwycali się młodą tancerką. Złota młodzież Warszawy traciła wprost głowę na widok tancerki.

Starzy lovelasi prześcigali się wprost w drogocennych podarunkach. Z wszystkich oczu obecnych podczas ewolucji tanecznych Rity dało się wyczytać zachwyt i szczery podziw dla jej klasycznej budowy i olśniewającej piękności. Piękna kurtyzana obojętnie przyjmowała owe wyrazy hołdu i uwielbienia.

Zwidlicz drgnął nagle na wspomnienie jej znaczącego spojrzenia, jakim go obdarzyła ostatnim razem żegnana entuzjastycznie przez licznie zebranych gości.

Wesoły uśmiech zaigrał na jego twarzy.

Rozejrzał się ciekawie dokoła.

Znajdował się w tej chwili na ulicy Brackiej.

Spojrzał na zegarek, wskazywał godzinę kwadrans po dziesiątej.

Ulicę oświecała jedna lampa elektryczna umieszczona wysoko.

W przeciwieństwie do ulic śródmieścia, ożywionych i pulsującym życiem, na tej ulicy zwykle o tej porze ruch był niewielki. Gdzieniedzie mignęła sylwetka.

W odległości jakich trzydziestu metrów za sobą spostrzegł podążających za nim trzech mężczyzn.

Szli głośno o czymś rozprawiając i żywo gestykulując.

Słabe przeczucie niebezpieczeństwa zaostrzyło jego zmysły.

Ścisnął silniej rękojeść rewolweru, trzymanego w kieszeni.

W momencie, gdy rozmawiający mieli go ominąć, jeden z nich, herkulesowej budowy runął na Zwidlicza z błyskawiczną szybkością.

Przygotowany na ewentualną napaść, momentalnie uskoczył w bok i olbrzymim zamachem prawej ręki trzymającej rewolwer ugodził napastnika między oczy tak silnie, że ów przez sekundę zachwiał się na nogach i runął w tył bluzgając krwią.

Dwaj jego towarzysze nie oczekiwali widocznie na ponowny atak ze strony Zwidlicza, a widząc upadającego towarzysza szybko umykali co sił w nogach wprost przed siebie.

Zwidlicz spostrzegł tchórzliwie umykających przed nim towarzyszów powalonego, pochylił się nad zemdlonym.

Skonstatował, że jego cios był druzgoczący. Kość nosowa napastnika była roztrzaskana. Powieki jego momentalnie obrzękły siniejąc. Krew buchająca strumieniem z ócz i z ust nie dozwalała mu zobaczyć jego twarzy.

Rozejrzał się bacznie dokoła, lecz nie spostrzegł nikogo. Wyciągnął rewolwer i wystrzelił trzykrotnie w powietrze. Skutek strzałów był natychmiastowy. Nie upłynęło dwudziestu sekund a zobaczył szybko biegnącego policjanta zaalarmowanego strzałami.

Nadbiegły policjant spostrzegłszy pochylonego Zwidlicza nad leżącym zawołał donośnie surowym głosem:

— Co się tu stało? Czy pan strzelał?

— Ja, — odparł Zwidlicz spokojnie i w krótkich słowach opowiedział zdumionemu policjantowi o napadzie, rozkazując mu jednocześnie zająć się rannym.

Policjant w pierwszej chwili nie dostrzegł twarzy Zwidlicza osłoniętej cieniem padającym od ronda cylindra, lecz w chwili, gdy reporter opowiadając co zaszło zdjął cylinder i otarł czoło z potu, słuchający go policjant krzyknął zdumionym głosem:

— Ach, to pan Zwidlicz!

Reporter nie zwrócił uwagi na wykrzyk policjanta, lecz dalej kończył spokojnie opowiadanie.

Raniony przez Zwidlicza napastnik powoli tymczasem przychodził do siebie, odzyskując przytomność.

— Zabierze go pan na posterunek i przekaże do dyspozycji sędziego śledczego pana Ignacego Malińskiego.

Policjant zasalutował i zakuwszy już przytomnego napastnika w małe ręczne kajdanki, pomógł mu podnieść się i ruszył naprzód.

W międzyczasie zebrało się kilku ciekawskich, reporter jednak nie zwrócił na to uwagi i udał się szybko teraz do kabaretu, obawiając się, że może przyjść już po pierwszym tańcu.

Zatrzymał napotkaną w drodze taksówkę i rozkazał się zawieść do Niebieskiego Ptaka.

Gdy taksówka zatrzymała się przed wejściem do Niebieskiego Ptaka, zegar na wieży kościelnej wydzwonił godzinę jedenastą.

## ROZDZIAŁ VI

Kabaret pod Niebieskim Ptakiem cieszył się olbrzymim powodzeniem. Lokal ten licznie uczęszczany przez utracjuszów mieścił się w dużej czteropiętrowej kamienicy. Był on ośrodkiem przeróżnych "Rycerzy przemysłu", dam z półświatka i marnotrawnej złotej młodzieży. Życie nocne wrzało tu jak w ulu. Wesoły śmiech, brzęk tłuczonych szklanek i kieliszków, dźwięki "jazzu", rozgłośny śpiew pijanych, rytm tańczących par w zmysłowym uścisku, oszołomiały widza. Niezliczone mnóstwo różnokolorowych lamp elektrycznych, umiejętnie przyciemnionych, oświetlało wesołe gromadki ucztujących. Towarzystwo było mieszane. Damy opatrzone licznymi klejnotami, błyskającymi migotliwie, o twarzach uszminkowanych mistrzowsko, głęboko wydekoltowane w sukniach jedwabnych kusząco, niby zdradliwe syreny, wabiły mężczyzn.

Niebaczna ofiara schwytana w nęcącą sieć tych sztucznie pięknych kobiet wyzwoliła się z pęt wówczas, gdy portfel świecił pustkami. W pułapkę nastawioną przez tych nowoczesnych wampirów, dawali się schwytać zazwyczaj niedoświadczeni młodzieńcy, stawiający swe pierwsze kroki na błyszczących posadzkach przybytku, zazwyczaj zakazanych rozkoszy.

Przy głównym wejściu stał portier w niebieskiej liberii dzierżąc w ręku złoconą długą buławę i usłusznie otwierający szerokie oszklone drzwi, wchodzącym jako też wychodzącym.

U szczytu wysokiej bramy na olbrzymich złoconych sztabach z grubsza rzeźbionych, widniał olbrzymi ptak pomalowany na niebiesko. Otoczony był aureolą świetlistą liter, składających się z małych żarówek elektrycznych, które mechanicznie w jednakowych odstępach czasu raz gasnąc drugi raz błyszcząc, rzucały szerokie pasma światła widniejące w oddali.

Napis z oświetlonych liter brzmiał:

*Kabaret pod Niebieskim Ptakiem.*

Lecz w chwili, gdy Zwidlicz wyskoczył z taksówki i podążał ku wejściu błyszczących różnokolorowymi lampionami znajdował się u samego szczytu powodzenia.

Szeleszczące banknoty i dźwięczne monety, płynęły nieprzerwanym strumieniem, napełniając kieszenie właściciela.

Pan Gustaw Nikodem Kowalski, mężczyzna w średnim wieku, olbrzymiej tuszy, z czerwoną o kilku podbródkach. dobroduszną twarzą bez zarostu, kroczył dumnie pomiędzy rzędami licznie poustawianych stołów składając na wszystkie strony wdzięczny ukłon. Dumny

był z posiadania "tego raju wszelkich rozkoszy", jak mawiał zawsze do swych licznych klientów.

Jak tylko wynikła jakaś sprzeczka lub awanturka, można było zdaleka zauważyć jego łysą czaszkę, błyszczącą niby polerowane złoto. Korpulentna połowica, pani Stefania, pokazująca w uśmiechu liczne złote plomby, "Aniołek ogniska domowego" w przekonaniu pana Gustawa, nieczęsto ukazywała się gościom.

Na pytania znajomych, dlaczego szanowna małżonka tak mało udziela się towarzystwu, pan Gustaw odpowiadał niezmiernie "uczy się", ewentualnie "spoczywa po lekcji".

Wprawdzie pan Gustaw nie wiedział dokładnie na czym polegają lekcje tego "Aniołka ogniska domowego".

Ufał swemu "Aniołowi" bezgranicznie. Jeśli mu powiedziała, że potrzebuje pieniędzy, pytał: ile? i... ukochana Stefania swym szeplenięcym głosikiem z powodu kilku sztucznych zębów, z tkliwym spojrzeniem niebieskich oczu mawiała: — Jesteś wzorem mężów, mój ty najdroższy Gucio.

Mile połechtany Gucio zaokrąglał zazwyczaj żądaną sumę, aby choć po części odwdzięczyć się za miłość drogiej Stefanii.

Zwidlicz, który znał doskonale państwa Kowalskich, po złożeniu wierzchnego okrycia w garderobie, wolnym krokiem wszedł na ogólną salę.

Pan Gustaw Kowalski stojący nie opodal dysputował głośno z młodzieńcem, widocznie zblazowanym. Blada i zmięta twarz młodzieńca była ożywiona. Właśnie miał zamiar coś powiedzieć. Otworzył usta o wąskich bladych wargach, gdy gospodarz jak mógł najszybciej na swych pulchnych krótkich nóżkach podbiegł do wchodzącego Zwidlicza.

— Ach! Pan Zwidlicz. Jakże mi przyjemnie. Jakże miło. — Jego piskliwy głos wyrażał prawdziwą radość.

Wśród licznych ukłonów i komplimentów, przeprowadzał pan Gustaw swego gościa, do zarezerwowanego stolika.

Miejsce zajęte przez Zwidlicza okazało się doskonałym. O trzy kroki od stolika widniała dość duża scena, w tej chwili zasłonięta ciężką purpurową kurtyną.

Ze swego miejsca miał całkowity widok na salę. Wyciągnął papierośnicę i zapalił.

— Butelkę szampana! — rzekł do dyskretnie stojącego kelnera, oczekującego na zlecenie.

Kelner w ukłonie szybko oddalił się.

Zwidlicz rozejrzał się ciekawie dokoła.

Sala była wprost natłoczona licznymi gośćmi.

Lekki szmer rozległ się na widok wchodzącego Zwidlicza.

Spostrzegł tu licznych znajomych kłaniających się i zapraszających gestami do towarzystwa.

Oddawał ukłony z lekkim uśmiechem, kłaniając się nawzajem kobietom.

Oczy prawie wszystkich kobiet wpatrzone były w niego z zachwytem.

Wesoły śmiech, rozgłośna rozmowa, przycichły nagle. Spojrzenia wszystkich zwróciły się na Zwidlicza, postępującego wolno w ślad za rozmownym panem Gustawem.

Ubrany wytwornie zwracał powszechną uwagę swą wybitną indywidualnością. Charakteryzowało go swobodne, lecz doskonałe zachowanie.

Nie gardził kobietami, jednak płeć piękna nie odgrywała w jego urozmaiconym licznymi przygodami życiu żadnej roli.

Po kilkakrotnej wymianie wzajemnych ukłonów, sięgnął za smukłą szyjkę butelki i napełnił srebrzystym płynem kryształowy kielich.

Powoli i ze smakiem wychylił kielich do połowy. Następnie odstawił go i otarł serwetką usta.

Kilka sekund rozkoszował się wypitym szampanem. Z na wpół przymkniętymi powiekami, obserwował obecnych. Gdzieniegdzie spostrzegał jeszcze zainteresowanie jego osobą, powoli jednak przemijające. Zabawiający powracali do swych przerwanych z ukazaniem się Zwidlicza poprzednich tematów.

Widocznie nie zobaczył nikogo, ktoby mógł zająć jego uwagę choć chwilowo, gdyż wzrok błądzący po licznych twarzach zatrzymał się na parę sekund w zwisającej kurtynie.

Wypuszczał z ust kłęby dymu tytoniowego i oderwawszy spojrzenie od kurtyny, obserwował je.

Miało się wrażenie, że cała uwaga Zwidlicza pochłonięta była, unikającymi wysoko obłoczkami dymu.

Bynajmniej. Reporter mimo tej niepozornej zabawki ani przez sekundę nie opuszczał spojrzenia z bladego młodzieńca siedzącego naprzeciw, przy trzecim z rzędu stoliku.

Blady młodzieniec również nie spuszczał wzroku z twarzy reportera. Jego zwiędła twarz miała w sobie coś drapieżnego. Ubrany był z elegancją w ciemny marynarkowy strój. Biała jedwabna chustka, wychylająca się dyskretnie z bocznej kieszonki, harmonizowała doskonale z krawatem i dużą perłą przepiętą przez krawat. Na wąskich długich palcach błyszczało kilka pierścieni.

Pozornie prowadził ożywioną dysputę z siedzącym w pobliżu starszym panem przyciszonym głosem.

Mimo prowadzonej rozmowy, Zwidlicz wiedział, że blady młodzieniec nie opuszcza zeń wzroku. Udawał jednak, że tego nie spostrzega. Wytężył słuch z zamiarem pochwycenia choćby jakiegoś słówka z prowadzonej rozmowy lecz bezskutecznie. Gwar i dźwięki muzyki nie dozwoliły.

Zwidlicz powoli opuścił wzrok, zagasił papierosa i jakby dopiero teraz zobaczył siedzącego młodzieńca, spojrzał mu otwarcie w oczy.

Młodzieniec pod wpływem przenikliwego wzroku Zwidlicza, lekko zadrżał, co nie uszło jego uwadze.

Kilka sekund napawał się Zwidlicz pomieszaniem bladego młodzieńca, po czym całą jego uwagę pochłonęła scena.

Kurtyna, powoli wznosząca się do góry, ukazywała ciekawym oczom wspaniałą dekorację.

Kulisy umiejętnie poustawione, przedstawiały niski taras, wspaniałego pałacu wschodniego, otoczonego smukłymi palmami. W pośrodku tarasu stało bajecznie kolorowe corso kwiatów w kształcie serca. Mimo jesiennej pory widniały tam róże, hiacynty, goździki, bratki, piękne astry, puszyste piwonie i wiele różnych kwiatów. Brzegi tego olbrzymiego serca obramowane były łańcuchem złożonym z pięknych białych róż.

Oszołomiająca woń tego mnóstwa przeróżnych zapachów, na chwilę odurzyła Zwidlicza.

Na sali panowała ogólna cisza. Na wszystkich twarzach widniał zachwyt i zaciekawienie.

Wśród ogólnej ciszy, zabrzmiały nagle czarodziejskie tony zrazu przygłuszone, po czym coraz głośniejsze skocznej melodii wschodniej, wywołując dreszcz emocji w duszach słuchaczy.

Gdy skoczna melodia dosiągnęła kulminacyjnego punktu, olbrzymie serce otwarło się, jakby pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki i oczom rozemocjowanych już widzów ukazała się niby Venus a Milo, atrakcja wieczoru, clou sezonu, primabalerina Rita Znamirowska.

Z promiennym uśmiechem, ruchami greckiej bogini, postąpiła naprzód kilka kroków, gdy nagle wśród chwilowej ciszy, spowodowanej nagłym ukazaniem się wieszczki, rozległ się jeden okrzyk podziwu i zabrzmiały frenetyczne niemilknące oklaski.

Liczne uprzednio przygotowane kwiaty, posypały się różnokolorowym deszczem, spływając do stóp cudnej piękności artystki.

Zachwycone, duże oczy artystki przyjmowały te liczne hołdy z rozradowanym wyrazem. Zaróżowiona ze wzruszenia piękna twarz była upojona triumfem.

Wdzięcznym ukłonem podziękowała za wyrazy uwielbienia, po czym w takt nieustającej muzyki, poczęła wykonywać rytmiczne ruchy. Jej klasyczna kibić o smukłych kształtach, zdawała unosić się w powietrzu. W szalonym zmysłowym rytmie wirowało piękne ciało, wywołując dreszcz pożądania. Z roziskrzonym wzrokiem wpatrywali się mężczyźni w tańczącą artystkę.

Nawet Zwidlicz, umiejący tak doskonale panować nad sobą, znalazł się pod urokiem, jaki wionął od czarującej Rity Znamirowskiej.

Zachwyconym wzrokiem śledził jej zgrabne i umiejętne ruchy. Czując zbliżający się koniec pierwszego numeru skinął na stojącą na

uboczu dziewczynę z kwiatami, która skwapliwie zbliżyła się do stolika z koszyczkiem. Rzucił jej niedbale banknot dwudziesto-złotowy i wybrał jedną szkarłatną różę.

Wybraną różę położył na stoliku.

Muzyka, która teraz przeszła w szybkie i rozgłośne tempo, urwała nagle. Zmęczona artystka przestała tańczyć, wdzięcznie pochylając się w ukłonie. Niemilknące brawo i okrzyki bis rozległy się donośnie. Ponowny strumień kwiatów spłynął na scenę.

Zwidlicz ujął swą różę i rzucił w ślad za innymi kwiatami. Rita Znamirowska, kłaniając się z czarującym uśmiechem, zdawała nie spostrzegać niemego hołdu Zwidlicza.

Niemilknące bis brzmiało nadal.

Zwidlicz spoglądał na artystkę w milczeniu. Nagle, czy to złudzenie, czy mu się przewidziało, że oczy artystki zalśniły, rzucając przelotne spojrzenie na niego, a zgrabna kibić przegięła się w ukłonie.

W duszy każdego mężczyzny tkwi pewna doza zarozumiałości. Zwidlicz nie należał pod tym względem do wyjątków. W zamiarze przekonania się, czy ukłon i spojrzenie, przeznaczone były dla niego, spojrzał szybko poza siebie. Przez moment, mile połechtany, musiał przyznać, że był w błędzie.

Poza nim siedziało kilku młodych oficerów, gorąco oklaskujących. Rozgłośne bis płynęło od ich stolika.

Odwrócił się zatem, przekonany, że padł ofiarą złudzenia i spojrzał na scenę.

Wzrok Zwidlicza zetknął się z utkwionym weń wzrokiem Rity Znamirowskiej.

Przez sekundę wpatrywała się w Zwidlicza znacząco, po czym zgrabnym ruchem dłoni, podjęła leżącą u stóp różę.

Nie wierzył swoim oczom. Podjęta róża była szkarłatnej barwy.

Rita Znamirowska kilkanaście sekund upajała się widocznie wonią róży, przytykając ją do swych ślicznych usteczek.

Wzrok artystki szukał spojrzeniem ócz Zwidlicza.

Zetknęły się ich spojrzenia ponownie. Następnie artystka ze względu na niemilknące bis, uniosła się w ponownym tańcu.

Trzymaną w rączce różą zakreślała w powietrzu rozliczne koła co chwilę przykładając do ust.

Zwidlicz śledzący ruchy artystki, upewnił się, że Rita Znamirowska wyróżnia go, mimo tak licznie natłoczonych przed sceną wielbicieli.

Na moment ogarnęło go coś w rodzaju dumy. Wkrótce myśl co go tu przywiodła wyeliminowała to krótkie uczucie. Już bez entuzjazmu, zimnym wzrokiem spojrzał na Ritę. Artystka spostrzegła tę nagłą przemianę. Na moment uśmiech znikł z jej pięknej twarzyczki. Wykonała dziki zwrot w tańcu. Kuszące ciało zawirowało w zawrotnym tempie.

Powoli ruchy zmieniły się i Rita z jeszcze więcej czarującym uśmiechem wykonując zgrabny łuk pochyliła się w stronę stolika, przy którym siedział Zwidlicz i celnym szybkim ruchem, rzuciła trzymaną różę.

Róża zakreślając purpurowe pasmo w powietrzu, ugodziła Zwidlicza w czoło i odbiwszy się legła obok butelki szampana.

Zawahał się na ułamek sekundy. Spojrzał na artystkę. Bystro patrzyła na niego nie ustając w tańcu.

Uśmiech rozjaśnił poważną twarz Zwidlicza. Oczy zabłysły. Delikatnie ujął różę, przyłożył do ust i pochyliwszy się złożył ukłon.

Rita Znamirowska obserwująca bystro Zwidlicza, odpowiedziała leciuchnym skinieniem głowy i zakończyła taniec.

Kurtyna zapadła.

Ponowne oklaski, były jeszcze głośniejsze od poprzednich. Sala wprost drżała.

Nie przywiodło to jednak artystki.

Po kilkuminutowej przerwie, nastąpił duet taneczny Dolly Sisters. Zwidlicz parę minut przyglądał się ewolucjom tanecznym, gdy nagle poczuł czyjś wzrok spoczywający na nim. Szybko odwrócił się. Zobaczył jasne szare oczy, utkwione w siebie. Znał tego człowieka. Lecz nie mógł sobie dokładnie uprzytomnić, kto on. Jego ostre jak stal spojrzenie, przeszywało do głębi. Ubrany był w strój wieczorowy. Poważna twarz była nawet sympatyczna. Szpakowaty włos zaczesany miał do góry. Wysokie gładkie czoło, znamionowało wybitną inteligencję.

Siedział samotny.

Widocznie oczekiwał kogoś. Napoczęta butelka wina stała przed nim, połyskując wysmukłą szyją. Dwa nakrycia leżące na stole świadczyły o tym.

Zwidlicz mając doskonałą pamięć fizjognomii ludzkich, daremnie się wysilał. Nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć. Był jak najpewniejszy, że tego człowieka gdzieś widział i to w jakiejś ważnej okoliczności.

Tymczasem ten, który na chwilę zapanował całkowicie nad myślami Zwidlicza, powoli odwrócił wzrok na lewo i powstał żywo.

Zwidlicz powiódł za jego spojrzeniem i zobaczył zbliżającą się szybko do stolika nieznajomego Ritę, poprzedzoną szmerem podziwu i uwielbienia.

Artystka przechodząc nie spojrzała na Zwidlicza ani razu. Nieznajomy skłonił się głęboko przed artystką. Podała mu dłoń, którą ujął swobodnie i złożył na niej przelotny pocałunek.

Usta nieznajomego poruszyły się kilkakrotnie. Widocznie coś szeptał do Rity.

Podsunął miękki fotelik i zajął swe miejsce. Artystka odwróciła na moment głowę i wzrok jej spotkał się z ciekawym spojrzeniem Zwidlicza.

Podniosła zaciśniętą dłoń do ust i sekundę trzymała znacząco. Spojrzał na małe zgrabne paluszki pokryte wprost pierścionkami i w tym momencie dojrzał swym sokolim wzrokiem na jeden ułamek sekundy odkrytą dłoń Rity.

Rozglądnął się szybko wokoło. Nikt nie spostrzegł tego ruchu artystki.

Na rozwartej dłoni widniał kawałeczek złożonej kartki białego papieru.

Nawet blady młodzieniec, nadal od czasu do czasu obserwujący bystro Zwidlicza, nie zauważył.

Nieznajomy, żywo rozprawiający teraz z Ritą, pochłonął ponownie całą uwagę Zwidlicza.

Zmrużył lekko oczy. Ktoby teraz patrzył na Zwidlicza odniósłby wrażenie, że drzemie.

W chwili, gdy znajdował się naprzeciw nieznajomego, obserwujący go, blady młodzieniec powstał od stolika i wolno skierował się ku wyjściu. Teraz Zwidlicz, dojrzał prawie niedostrzegalny ruch palcem wskazującym, jaki wykonał szybko i nie oglądając się, wolnym krokiem zniknął w drzwiach wyjściowych.

Zwidlicz, który w chwili dawania tego niedostrzegalnego znaku spojrzał szybko na towarzysza Rity i dostrzegł błysk zadowolenia w szarych oczach nieznajomego.

Gdyby Zwidlicz nie podejrzewał pewnego kontaktu między nieznajomym a bladym młodzieńcem, nigdyby nie dostrzegł, że sygnał był przeznaczony dla towarzysza Rity.

Paliła go ciekawość dowiedzenia się kim jest ten człowiek, który go tak intryguje. Łajał się w duchu za tak silne zainteresowanie osobą tego człowieka. Wszak przyszedł tutaj z innym zamiarem.

Rozmyślania jego przerwał pan August, który ze swym jowialnym uśmiechem, zatrzymał się nagle przed stolikiem.

— Panie Zwidlicz, — rzekł cicho.—Jeden z moich dobrych klientów pan Rudolf Pankie, naczelny dyrektor i właściciel kilku fabryk maszyn do szycia prosi pana jak najuprzejmiej o natychmiastowe przybycie do swego gabinetu. Najwidoczniej jest czymś wyprowadzony z równowagi. Zaszło coś nieoczekiwanego. Kelner, który zjawił się na dźwięk dzwonka z jego gabinetu, zobaczył go bladego z jakimś papierem w ręku. "Proszę zawołać gospodarza" — rzekł do kelnera wzburzony. Kelner pobiegł natychmiast po mnie. Gdy przybyłem do gabinetu, mój szanowny gość był spokojny. "Niesamowite rzeczy dzieją się w pańskim lokalu" — rzekł do mnie. Na moje zapytania nie dał odpowiedzi.

— "Proszę sprowadzić jakiegoś wywiadowcę z Urzędu śledczego", — powiedział do mnie, nie wyjaśniając po co i w jakim celu. Pan rozumie byłem przerażony. Policja w tym lokalu! Oznacza to mo-

ją ruinę! Błagałem go aby zaniechał skandalu. Nie chciał nawet o tym słyszeć. — "Co mnie obchodzi pański lokal", — krzyczał z pasją. — "Jeśli mi pan nie sprowadzi, zatelefonuję sam". Wówczas jako jedyna deska ratunku, przyszedł mi pan na myśl. Powiedziałem mu o panu. Parę sekund wahał się. "O ile zechce tutaj przybyć niezwłocznie zgadzam się" — rzekł do mnie. Wybiegłem jak najszybciej, — zakończył pan August.

Twarz jego zazwyczaj czerwona była w tej chwili purpurową od widocznego wzruszenia. W jego małych oczkach widniał strach pomieszany z niepokojem. Złożył ręce jakby do modlitwy.

Zwidlicz słuchając go w milczeniu, nie opuszczał wzroku z twarzy towarzysza Rity.

— Kto jest ten pan — rzekł do pana Augusta, nie dając mu odpowiedzi.

—Gdzie? — zapytał pan August, przerywając i chciał się obejrzeć.

— Proszę się nie odwracać, — szepnął ostro Zwidlicz. — Obserwują nas. Siedzi w towarzystwie Rity Znamirowskiej.

— To gruba ryba, — rzekł gospodarz z widocznym szacunkiem w głosie. — Pan Norbert Bokunda, prezes syndykatu cukrowego.

— Bardzo bogaty — dodał.

Wystarczyło to Zwidliczowi. Znał tego pana. Uśmiechnął się w duchu na myśl, że nie mógł go sobie przypomnieć. Podobizna prezesa syndykatu Norberta Bokundy, niejednokrotnie zdobiła szpalty dzienników. Osobiście nie był mu przedstawionym nigdy.

— Panie Zwidlicz, — przerwał jego zadumę pan August błagalnym tonem. — Czy może pan pójść ze mną. Obawiam się, że dyrektor Pankie ześle mi na kark policję. Proszę...

— Chodźmy — przerwał reporter sucho powstając.

— Jakże panu jestem wdzięczny, — rozpływał się pan August w podziękowaniach, nie szczędząc komplimentów. — Tylko pan jest jedynym człowiekiem co może uspokoić go i rozegnać burzę. Nie wiem co się stało. Z góry jednak jestem przekonany, że pan zagadkę rozwiąże. Och ja...

Przerwał. Spostrzegł, że reporter go nie słucha.

Zwidlicz miast podążać za panem Augustem, zatrzymał się przed panem Norbertem Bokundą i wręczył mu jakiś mały prostokątny kartonik.

Pan Bokunda zmierzył reportera zimnym wzrokiem i cedząc wolno słowa rzekł:

— Omylił się pan, to nie ja zgubiłem tę fotografię.

Rita Znamirowska spoglądając na Zwidlicza z zaciekawieniem spojrzała na przedmiot trzymany w jego ręku.

Zwidlicz obserwujący ją nieznacznie, dostrzegł, że zadrżała na widok fotografii.

— To ja zgubiłam, — zawołała wesoło, biorąc z rąk Zwidlicza fotografię.

— Gdzie pan to znalazł, — zapytała swobodnie, odwracając fotografię. Na drugiej stronie można było spostrzedz, drobnym kobiecym pismem napisaną dedykację.

Tekst dedykacji brzmiał:

*Nori! Twoja do zgonu, — Rita.*

W prawym rogu dolnym widniała data 8 października. Roku nie było.

— Sądziłem, że to pańska własność, — rzekł Zwidlicz chłodno, zwracając się do Bokundy, nie udzielając artystce odpowiedzi, co było niegrzecznością z jego strony. — Byłem na tyle niedyskretny, że przeczytałem dedykację. Przypuszczałem, że odnosi się może do pana prezesa.

— Omyliłem się, — dodał.

— Nie szkodzi! — odparł Bokunda wesoło. — Jesteśmy wszyscy omylni. Napoleon też omylił się pod Austerlitz.

Zwidlicz, który przypuszczał, że Bokunda wybuchnie gniewem na jego nietakt, zdziwił się, słysząc jak wesoło przyjmuje ten bądź nieprzyjemny incydent.

— Bardzo mi przykro, — zaczął...

— Mnie zaś przyjemnie, panie Zwidlicz, — przerwał Bokunda. — Pozwala mi poznać sławnego reportera.

Powstał i nastąpiło ogólne zapoznanie.

— Nie odmówi nam pan swego towarzystwa — odezwała się przymilnie Rita.

Nie zdążył odpowiedzieć.

Bowiem pan August, który przybiegł do reportera i był mimowolnym świadkiem tej sceny, widząc na co się zanosi, porwał Zwidlicza gwałtownie za rękaw.

— Później pan usiądzie, — szepnął gwałtownie. — Ratuj mnie pan. Oby nie było za późno.

— Niezmiernie jestem państwu wdzięczny za miłe zaproszenie, — rzekł Zwidlicz. — Chwilowo jednak muszę odmówić łaskawemu zaproszeniu. Obecny tu gospodarz ma do mnie pilną sprawę.

— Ależ proszę się nie krępować — odparł Bokunda. — Nie wychodzimy jeszcze.

— Zatem, będę państwu służył swoją skromną osobą za chwilę.

— A teraz przepraszam — i szybkim krokiem oddalił się za wzburzonym panem Augustem, który ująwszy reportera pod ramię, trzymał kurczowo. Obawiał się, aby reporter znów mu się gdzieś nie zawieruszył.

Do gabinetu zaszli już bez wypadku.

Pan August puszczając ramię reportera, zapukał nieśmiało w drzwi gabinetu oznaczonego numerem pięć.

Głucha cisza była jedyną odpowiedzią.

Parę sekund nadsłuchiwał, wahając się co czynić.

Zapukał ponownie, lecz już gwałtownie.

Odgłos rozległ się głucho po pustym w tej chwili wąskim korytarzu. Słychać można było, gdzieniegdzie dochodzący brzęk kieliszków i głośnych rozmów, dobywających się z wewnątrz sąsiednich gabinetów.

Purpurowa twarz pana Augusta była w tej chwili śmiertelnie blada. Małe szparki ócz, rozszerzone były przerażeniem.

Zwidlicz, spokojnie przyglądał się gospodarzowi.

Nagle tknięty jakąś myślą, podskoczył do drzwi gabinetu, ujął za klamkę. Niezamknięte drzwi otwarły się szeroko, ukazując oczom wchodzących niezwykły, przerażający widok.

Upiornie blada twarz Rudolfa Pankiego patrzyła na wchodzących szklistym zimnym wzrokiem. Jego duże ręce leżały bezwładnie na stoliku. W piersi tkwił sztylet wbity po rękojeść.

Rudolf Pankie, naczelny dyrektor i właściciel fabryk maszyn do szycia, nie żył.

Pan August na ten przejmujący pełen niemej grozy widok, krzyknął przeraźliwie i byłby umknął, gdyby nie reporter.

Upiorny widok wstrząsnął Zwidliczem również do głębi. Jednak reporter przyzwyczajony już do tego rodzaju widowisk, opanował się szybko.

Gdy spostrzegł, że przerażony gospodarz może swym krzykiem wywołać niepotrzebną panikę, schwycił go szybko za ramię i położywszy rękę na ustach, rzekł do niego przyciszonym ostrym jak stal głosem:

— Milcz idioto! Swym głupim krzykiem wywołasz niepotrzebny popłoch.

— No, uspokójże się durniu! — krzyknął mu do ucha, widząc, że gospodarz stara mu się wyrwać.

Nie szczędził pod jego adresem niezbyt pochlebnych epitetów.

Pan August opanował się. Widocznie spokojna twarz reportera, jego ostry zimny głos, a szczególnie ból zmiażdżonego w żelaznym uścisku ramienia, podziałały na pana Augusta orzeźwiająco.

Na jego śmiertelną bladą twarz, powoli powracał żywy rumieniec.

Zwidlicz spostrzegł tą zmianę i zwolnił z ucisku ramię gospodarza, odejmując równocześnie dłoń od jego pobladłych jeszcze ust.

— Zamordowany, — jęknął głucho pan August. — W moim lokalu. Co za skandal. Opinia mego raju zachwiana na zawsze.

Współczucie ni żal, nie miało dostępu do zdegenerowanej duszy kupca. Nie obchodził go fakt, że człowiek bogaty w pełni sił żywotnych postradał w tej chwili życie, jego interesował stracony zysk.

Zwidlicz odwrócił się ze wstrętem od niego.

— Niech pan natychmiast zawiadomi Urząd śledczy i zadzwoni do sędziego Malińskiego. Numer telefonu znajdzie pan w spisie abonentów, — rzekł rozkazująco.

Pan August spojrzał na szerokie muskularne plecy reportera i szybko oddalił się celem spełnienia poleceń, nic nie odrzekłszy.

Po jego odejściu, Zwidlicz szybko stąpając ostrożnie, aby nie zatrzeć ewentualnych śladów, podszedł do zamordowanego.

Na stoliku prócz jednej wypróżnionej do połowy butelki szampana, dwu kieliszków, karafki ze sztucznym kwiatem, nie znajdowało się nic więcej.

Bystrym okiem obrzucił podłogę dokoła. Prócz rozciągniętego dywanu nic nie zobaczył. Całym umeblowaniem gabinetu był mały prostokątny stół i cztery zbite czerwonym aksamitem krzesełka.

Pochylił się pod stół i zajrzał ciekawie.

Obok lśniącego lakierowanego bucika zamordowanego, spostrzegł leżący mały ołóweczek z błyszczącą skówką.

Szybko podniósł ołóweczek i nie spojrzawszy nań schował do kieszeni spodni.

Poza tym nie dojrzał nic ciekawego.

Wyprostował się.

Krew powoli jeszcze dobywająca się z rany, dowodziła, że zamordowano go zaledwie przed kilkunastu minutami.

Zadany cios był umiejętny. Ręka godząca musiała być wprawiona w tego rodzaju rzemiosło.

Rękojeść sztyletu była drewniana, gładka. Takich sztyletów, fabrykuje się tysiące.

Ostrożnie podszedł do zamordowanego i odchylił delikatnie poły fraka.

Biały gors koszuli wraz z pikową kamizelką powalane były krwią, która w niektórych miejscach już zakrzepła. Miękkie siedzenie stołka zalane było krwią. Leżący dywan również zbryzgany był cieknącą ze stołka krwią.

Sięgnął ręką do spodniej kieszeni fraka. Była pusta. W kieszonce kamizelki widniał złoty łańcuszek z drogocenną diamentową dewizką.

Odstąpił krok na bok i sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Portfelu, którego się spodziewał, nie było.

Gwizdnął cicho.

— Czyżby zwykły złodziejaszek zakradł się i popełnił morderstwo rabunkowe, — pomyślał.

Spojrzał jeszcze raz ciekawie na stół.

Bystry jego wzrok spostrzegł w zaciśniętej lewej dłoni zamordowanego wystający kawałek białego papieru.

Zastygła dłoń ściskała kurczowo ów papier.

W pierwszej chwili nie spostrzegł wystającego papieru. Widocznym był od tyłu.

Ujął delikatnie zimną dłoń, z niejakim wysiłkiem rozchylił martwe palce.

Zobaczył małą zmiętą kartkę papieru, zapisaną ręcznym drobnym pismem. Najwidoczniej pisała kobieta. Pisany był atramentem.

Rozpostarł przed oczyma kartkę i przy świetle małej lampki elektrycznej zwisającej u sufita, spojrzał na pismo.

Cichy okrzyk zdumienia wyrwał się z jego ust.

Treść pisana była w języku francuskim.

Znać było niewyrobiony charakter. Ogólnie podobne było do pisma kobiety. Pisząca nie znała dokładnie języka francuskiego. Słowa były poprzekręcane, lecz treść zrozumiała.

Zwidlicz język francuski znał doskonale.

Przekładając na język polski czytał:

*Pieniądze trzeba natychmiast. Sygnału oczekujemy. W przeciwnym razie umrzesz dzisiaj. Nie potrzeba uwiadamiać policję. Nie ma sensu. Jesteś strzeżony. Jak tylko uwiadomisz, zginiesz.*

Podpisu nie było. Zwidlicz jednak domyślił się kto mógł posłać podobną treść.

Jedynie drobne pismo kobiece, zdezorientowało go trochę. Jaka kobieta mogła pisać podobną treść.

Sekund kilkanaście trwał nieruchomo.

Nagle uderzył się w czoło i omal nie krzyknął z radości.

— Tak to musi być to, — szepnął jedynie cicho. — Tylko ona.

Drzwi się otwarły, przerywając ten interesujący monolog.

— Zawiadomiłem jak pan rozkazał, — odezwał się cicho wchodzący gospodarz.

Twarz jego była już spokojna. Pogodzić się musiał już ze swym losem.

Zatrzymał się nieśmiało na progu i przyglądał ciekawie reporterowi.

— Pogodził się pan już z tym tragicznym zajściem — rzekł Zwidlicz.

— Cóż, nie zabiję się z rozpaczy, — odparł gospodarz. — Żonę, którą uwiadomiłem, wyperswadowała mi wszystko.

— Jest to najmądrzejsza kobieta pod słońcem, — dodał pan August z przekonaniem.

— O tak! Pańska żona jest mądrą osóbką. Nie godzien pan jest takiego skarbu.

— Sądzi pan, — zawołał uradowany gospodarz.

— Teraz już wierzę, że w mej Stefci posiadam nieoceniony skarb, — paplał dalej gospodarz. — Powiem, co pan o niej sądzi. Będzie uradowaną. Nieraz dużo rozmawia ze mną o panu. Jest panem zachwycona. Podziwia pański spryt i odwagę — zamilkł.

Jego krótki oddech stał się szybki. Cierpiał widocznie na astmę. Zaniósł się od kaszlu.

— Wie pan co, — ciągnął po chwili nieśmiało. — Jutro pewnie mój lokal będzie zamknięty. Mam do pana wielką prośbę...

Zawahał się i spojrzał pytająco na Zwidlicza. Lecz reporter nie odezwał się ani słowem. Nie zachęcał go.

Nie wiadomo czy słyszał, o czym mówił gospodarz.

Wzrok reportera błądził po podłodze gabinetu.

Nagle pochylił się i przyglądał kilkanaście sekund krawędzi dywanu.

Zdziwiony wielce gospodarz spojrzał w tym kierunku. Zobaczył, że spod krawędzi dywanu wystaje coś błyszczącego.

Zwidlicz szybkim ruchem dłoni podniósł ten przedmiot i oczom gospodarza ukazała się złota bransoleta damska.

Schował ją prędko do kieszeni.

— Ani słówka nikomu o tym gospodarzu, — rzekł dobitnie.

Gospodarz skinął głową.

— Cóż to za prośbę miał pan do mnie? — zapytał reporter uprzejmie.

Twarz gospodarza rozjaśniła się.

— Więc jak już mówiłem lokal mój zapewne policja zamknie na jakiś czas i...

— Uspokoję pana pod tym względem, — przerwał Zwidlicz. — Policja nie zamknie pańskiego lokalu.

— Doprawdy? — nie dowierzając swym uszom zapytał gospodarz.

— Już ja się o to postaram, — upewnił go Zwidlicz.

— Jakże panu jestem wdzięczny, — zawołał uradowany gospodarz. — Nie wiem teraz czy mam dokończyć swą prośbę — dodał z wahaniem.

— Mów pan śmiało.

— Przypuszczałem, że będę miał nieco czasu, na wypadek zamknięcia lokalu. Zamiarem więc moim było zaprosić pana na jutro wieczór aby ucieszyć moją Stefcię.

— Teraz pan zmienił ten zamiar?

— Obawiam się, że nie będę miał czasu. A pan może nie zechciałby sam na sam...

Urwał z wahaniem.

— Właśnie, że chcę! — zawołał reporter. — Jutro o ósmej odwiedzę twą szanowną małżonkę. Możesz ją uprzedzić.

— Dziękuję panu bardzo — zawołał uradowany pan August, rzucając się impulsywnie w stronę reportera.

— Proszę stać na miejscu spokojnie! — krzyknął reporter. — Zatrze pan ślady, któż potem...

Szelest otwieranych drzwi przerwał dalszy ciąg słów reportera.

Na progu ukazał się starszy przodownik Urzędu śledczego. Za nim postępowało dwóch wywiadowców policyjnych.

Starszy przodownik Juliusz Cisielski znał reportera. Złożył zatem ukłon reporterowi i rzekł:

— Widziałem na dole sędziego śledczego, który za chwilę przybędzie. W jego zatem obecności przeprowadzi się wstępne dochodzenie.

— Czy zdążył pan wyrobić już zdanie, kochany reporterze, — zabrzmiał suchy głos. W otwartych drzwiach stał sędzia Maliński, przenikliwym wzrokiem rozglądając się dookoła.

Wyciągnął dłoń na powitanie.

— Po części panie sędzio, — odparł reporter spokojnie, ujmując podaną dłoń sędziego.

— Jestem zatem spokojny co do przebiegu śledztwa, — rzekł sędzia patrząc z zadowoleniem w jasną twarz Zwidlicza.

— Przecenia pan stanowczo moje skromne siły — odparł reporter.

— Więc skromnie, może opowiesz mi krótko, co o tym sądzisz i co o tym wiesz, — poprosił sędzia i ostrożnie przeszedł na przeciwną stronę gabinetu.

Spojrzał na zamordowanego, dotknął rękojeść sztyletu, zaglądnął pod stół, przyjrzał się kieliszkom i zwróciwszy twarz w stronę oczekujących w milczeniu zapytał, patrząc na st. przodownika, Cisielskiego.

— Czy jest z wami lekarz?

— Nie panie sędzio. Nie wiedziałem dokładnie o co chodzi. Pan sędzia może być spokojnym. Jak tylko zobaczyłem zamordowanego, posłałem jednego z moich ludzi po lekarza. Przypuszczam, że nadejdzie niedługo, — odparł jednym tchem, prawie wyrzucając ze siebie te słowa st. przod. Cisielski.

— Dziękuję — rzekł sędzia.

Następnie zwracając się do reportera, rzekł:

— Słucham pana, kochany reporterze.

— Proszę zająć jedno z tych krzeseł, — dodał wskazując przed siebie.

— Niemiłe tu towarzystwo, ale cóż robić.

Zwidlicz zajął spokojnie wskazane krzesło przez sędziego i głosem przyciszonym, aby nie wszyscy słyszeli, mówił:

— Siedziałem od godziny przeszło w kabarecie, zachwycając się uroczą Ritą Znamirowską. Zjawił się gospodarz przed trzema kwadransami z prośbą, że jego klient pragnie się ze mną widzieć w jakiejś sprawie. Wysłuchałem opowiadania gospodarza. Zatrzymałem się jeszcze parę minut przy stoliku zajmowanym przez Norberta Bokundę. Od chwili, gdy gospodarz przyszedł do mnie, do chwili, gdy znaleźliśmy się przy drzwiach gabinetu upłynęło niespełna dwadzieścia minut. Gdy na dwukrotne pukanie ze strony gospodarza nikt nie odpowiedział, otworzyłem drzwi. Pankie już nie żył. W gabinecie nie było nikogo. W korytarzu panowała cisza. Służba nawet nie kręciła się. W są-

siednich gabinetach zabawiano się nadal. Zamordowano go zatem nie czyniąc hałasu.

Przystąpiłem szybko do wstępnego śledztwa. Jak osądziłem z pozycji zamordowanego, musiał znać mordercę. Cios był zadany z wielką wprawą z przodu. Nie zdążył nawet krzyknąć. Ostrze sztyletu przebiło serce. Mordercą musiał być młody mężczyzna. Świadczy o tym siła uderzenia i zręczność z jaką zadano śmiertelny cios.

Znaleziona kartka w zaciśniętej dłoni zamordowanego każe przypuszczać, że morderstwa dokonał Tajemniczy Maks, aczkolwiek nie własnoręcznie. Uczynił to ktoś z jego bandy.

Z drugiej jednak strony, śmiało mógł tego morderstwa dokonać ktoś inny, z zamiarem, że zbrodnia zostanie zaliczona na rachunek Maksa.

W zbrodni tu wmieszana jest kobieta. Mam niejasne jeszcze przeczucie co do osoby tej kobiety.

Pojutrze podam panu sędziemu szczegóły, — zakończył reporter i pokazał małą kartkę papieru. Przemilczał o znalezionej bransolecie.

Sędzia Maliński, ani słowem nie przerywał opowiadania reportera. W milczeniu wziął podaną kartkę. Obejrzał ją kilkakrotnie na wszystkie strony.

— Ten kawałek jest wycięty z większego arkusza. Gatunek najzwyklejszy. Takich wyrobów używają wszędzie, — mówił sędzia.

Wzrok jego padł wiernie na pismo.

Westchnął cicho.

— Ocho! — mruknął, — po francusku. Niedbałe pismo kobiety. Powiedziałbym nawet, że ręka pisząca ten list nie znała dobrze francuskiego.

I sędzia Maliński zagłębił się w czytaniu treści i przekładaniem na język polski. Znał zatem francuski język.

Po kilkunastu minutach spojrzał na Zwidlicza i rzekł: — Czytał pan to już. Nie będę zatem tłumaczył panu treści.

Zwidlicz skinął głową i rzekł do sędziego:

— Czy mogę prosić o zatrzymanie tej kartki panie sędzio. Jest mi koniecznie potrzebną. Oddam panu wraz z sprawozdaniem pojutrze.

Sędzia nie odpowiedział. Zamyślił się.

— Dobrze dam panu, — rzekł po chwili i podał kartkę. Podaną kartkę reporter schował do portfelu.

— Nie potrzebny jestem już panu? — zapytał.

— Na razie nie, — odparł sędzia i podał mu rękę. Zwidlicz wyszedł.

Sędzia Maliński przystąpił do przeprowadzenia wstępnego śledztwa.

## ROZDZIAŁ VII

Zwidlicz przystanął na korytarzu. Chwilę coś ważył w myślach.

Obok niego przemykali się goście, powracający do domu.

W głębi spostrzegł stojących kilku kelnerów, omawiających zapewne wiadomy im fakt zabójstwa.

Powoli podszedł do nich.

— Który z panów obsługiwał gabinet numer pięć, — zapytał głośno. Spojrzenia wszystkich skierowały się na niego. Przerwali rozmowę.

— Ja! — rzekł jeden spośród nich przystępując do Zwidlicza.

Był to jeszcze młody człowiek, lecz zniszczony bezsennymi nocami. Robił wrażenie śpiącego. Ubrany był w smoking. Biały gors koszuli był pomięty. Twarz chuda, szczupła, anemiczna. Oczy jasne patrzyły uczciwie.

— Co to była za kobieta siedząca w towarzystwie pana Pankie'a? — zapytał reporter i sięgnął ręką do kieszeni, błyskając nęcąco przed oczyma kelnera banknotem dwudziesto-złotowym.

Oczy kelnera spojrzały chciwie na banknot. Parę sekund zastanawiał się. Po jego bladej twarzy znać było wyraźnie, że prowadzi jakąś wewnętrzną walkę.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że widziałem kobietę w towarzystwie pana Dyrektora Pankie'a, — odparł w końcu z żalem spoglądając na dwudziestozłotówkę, która znikała w kieszeni reportera.

— Nie widział pan żadnej kobiety? — zapytał Zwidlicz ponownie, trzymając rękę w kieszeni.

— Nie! — odparł stanowczo kelner.

Ten człowiek nie kłamie, pomyślał Zwidlicz.

— Dlaczego pan podał dwa kieliszki do gabinetu.

— Pan Dyrektor rozkazał.

— Nie widział pan nikogo, ktoby wchodził do gabinetu numer pięć między godziną wpół do pierwszej a pierwszą po północy?

Wyrazista twarz kelnera skupiła się ponownie.

— Nie! Nie widziałem nikogo, — odparł krótko.

— Niech pan sobie dokładnie przypomni, — nalegał Zwidlicz. — To jest bardzo ważne.

— Nie mam sobie czego przypominać, — mówił, — gdyż pamiętam doskonale. Siedziałem właśnie na krześle obok kaloryferu i drzemałem, gdy nagle zabrzmiał dzwonek. Spojrzałem na tablicę. Dzwonił ktoś z gabinetu numer dwanaście.

Wszystkie te gabinety obsługuję ja sam. Jest ich dwadzieścia jeden. Spojrzałem na zegarek, była godzina dwadzieścia minut po dwunastej jak uciął. Podskoczyłem do gabinetu numer dwanaście.

Siedzącej tam pani rozsypał się sznur pereł. Mężczyzna, który siedział obok dał mi dziesięć złotych i kazał pozbierać perły. Pozbierałem i położyłem na stole. Pani policzyła.

"Brakuje czterech pereł", — rzekła, skończywszy liczyć. Zacząłem poszukiwać. Znalazłem dwie. Więcej mimo skrupulatnych poszukiwań nie mogłem znaleźć.

Gdy oświadczyłem pani, że nie mogę znaleźć, wybuchła gniewem: "proszę szukać dalej", zawołała wściekła. Pochyliłem się posłusznie i szukałem parę minut, przeszukując dywan cal po calu. Podniosłem dywan. Poprzestawiałem stołki. Usunąłem stół. Dwóch pereł nie znalazłem. "Nie mogę nigdzie znaleźć, łaskawa pani" — rzekłem. Nic nie odpowiedziała. Spojrzała na towarzysza.

Ja tymczasem spojrzałem ponownie na zegarek. Była godzina za pięć minut pierwsza. Zląkłem się. Tak długo zajęło mi poszukiwanie. Mógł ktoś dzwonić a mnie nie było. Powinienem był zawołać chłopca do tego. Znałem pana Kowalskiego, wydaliłby mnie na miejscu. Już miałem przeprosić i odmówić dalszych poszukiwań, gdy pani powiedziała do mnie uprzejmie: — "Pomyliłam się mój drogi. Są wszystkie perły".

Następnie jej towarzysz dał mi dwadzieścia złotych ze słowem: "Masz tu jeszcze za fatygę". Podziękowałem. "Jakby cię pytał kto coś tu robił, żebyś nie mówił nikomu", — dodał towarzysz za mną.

Odwróciłem się, powiedziałem że nikomu nie powiem i ukłoniwszy się wyszedłem.

— Tabliczka, gdy na nią spojrzałem...

— Dobrze, — przerwał Zwidlicz. — Wierzę panu. Masz pan tu dwadzieścia złotych. Lecz trzymaj teraz język za zębami. Nikomu nie wspominaj nawet, żeś mi o tym mówił. Rozumiesz?

— Rozumiem proszę pana.

— Nawet swoim kolegom. Powiesz pan im, że cię pytałem o gabinet numer pięć. No i co tam chcesz jeszcze.

— A teraz powiedz mi pan jeszcze, czy nie znasz tej pani i pana z gabinetu numer dwanaście? — zapytał reporter.

Sekundę wahał się.

— Znam, — odparł krótko.

— ?

— Mężczyzną był pan Karol Boreń, kobietą pani hrabina Anna Kruszeńska.

— Dziękuję panu.

Reporter oddalił się wolno.

Znajdując się już na schodach prowadzących na ogólną salę, zawołał raz jeszcze stojącego kelnera, który teraz otoczony był kolegami.

Na głos reportera przybiegł szybko.

— Powiedz mi pan, czy państwo są jeszcze? — spytał Zwidlicz.

— Są. Lecz już nie w gabinecie. Pan Boreń przed pół godziną uregulował mi rachunek i widziałem, że wszedł na ogólną salę, na dół.

— To wszystko, — rzekł reporter i zeszedł do ogólnej sali.

Sala do połowy już opustoszała. Wszystkie podejrzane osobistości wymknęły, zapewne na widok wchodzącej policji.

Prawdopodobnie wieść i tutaj już zdążyła dotrzeć. Wszystkie twarze na jego widok odwróciły się. Ciekawe spojrzenia zwróciły się na niego. Kilku znajomych podbiegło ku niemu. Zakręcił się przed nimi zgrabnie na pięcie i zniknął w głębi budki telefonicznej.

Połączył się z redakcją.

Przyciszonym głosem zdał pokrótce relacje o zdarzeniu. Przemilczając niektóre punkty, które uważał za stosowne nie podawać jeszcze do wiadomości ogólnej.

Po piętnastu minutach wyszedł.

Wesoły uśmiech zaigrał na jego ustach.

Zdążył spostrzec jeszcze szybko odskakującego Karola Borenia. Podsłuchiwał.

— Nie wiele musiał słyszeć, — pomyślał reporter.

— Od niejakiego czasu jesteś zbyt ciekawy panie Boreniu, — rzekł reporter z ironią.

— Wszyscy są ciekawi, — odparł gniewnie Karol Boreń. — Nie ja jeden, — i wskazał spojrzeniem kilku panów stojących nie opodal.

— Wkrótce gazety zaspokoją wszystkich, — rzekł reporter, zwracając się do stojących i przeszedł się obok nich na drugi koniec sali.

Na scenie stał aktor przebrany na błazna i wygłaszał trywialne dowcipy.

Słuchacze co chwilę wybuchali głośnym śmiechem. I tu spostrzec można było przeładowaną elektrycznością atmosferę, Siedzący obserwowali spod oka nadchodzącego reportera.

— Nareszcie pan jesteś, — usłyszał obok dźwięczny głosik.

Szybko spojrzał w tę stronę.

Mówiła Rita Znamirowska.

— Zapomniałem o niej, — pomyślał.

— Długo jakoś zatrzymał pana gospodarz, — odezwał się Bokunda.

— Stał się mały wypadek. Nie sposób było mi przyjść wcześniej, — usprawiedliwiał się reporter.

— Dobrze, żeś pan o nas nie zapomniał, — zawołała Rita wymownym gestem zapraszając do zajęcia miejsca.

Reporter usiadł.

Dwie godziny upłynęło mu wesoło. Pan Norbert Bokunda okazał się bardzo wesołym towarzyszem. Zwidlicz poczuł do niego nawet sympatię. Był to bardzo inteligentny człowiek. Można z nim było prowadzić rozmowę o wszystkim, zaczynając od zwykłych plotek wielkomiejskich, kończąc na głębokiej filozofii.

Norbert Bokunda był światowcem. Władał umiejętnie kilkoma językami. Zwiedził szmat świata. Żadne wydarzenia ważniejsze nie były mu obce.

Czas zatem spędzony w towarzystwie tego człowieka Zwidlicz zaliczył do pięknych chwil w życiu.

Pan Norbert Bokunda spojrzał na zegarek.

— Wpół do czwartej. O dwunastej mam jutro ważną konferencję. Bardzo mi przykro, ale muszę państwa zostawić samych, — rzekł powstając.

Po wyjściu Norberta Bokundy Zwidlicz szepnął cicho do Rity. Głos jego drżał. Wypili wino.

— Karteczka, czy... czy mogę ją jeszcze otrzymać...

— Nie, — odparła Rita spoglądając na reportera dziwnym wzrokiem.

Mimo oszołomienia, szampanem i bliską obecnością młodej pięknej kobiety, dostrzegł to spojrzenie.

— Dlaczego pani patrzy na mnie tak dziwnie.

Milczała.

— Ponieważ jesteś pan pierwszym, który uczynił w mej duszy olbrzymie spustoszenie, — szepnęła namiętnie i podsunęła swą wąską rączkę.

Zwidlicz ujął dłoń pięknej artystki. Jakiś rozkoszny fluid przeszedł po jego ciele. Dotknięcie ciepłej dłoni młodej dziewczyny podziałało na niego, jak odurzające wino.

Przez chwilę nie mógł się opanować chęci przygarnięcia do artystki i porwania ją w swe krzepkie ramiona.

Zadowolił się ściśnieniem dłoni. Odwzajemniła mu tym samym.

— Prosił pan o kartkę, — szepnęła przymilnie artystka. — Prawda?

— Tak, — odparł drżącym od ogarniającej go coraz więcej namiętności.

— Będzie leżała na mojej nocnej szafce. Niech pan przyjdzie to sobie ją weźmie.

— Kiedy? — zapytał głucho.

— Teraz.

— Nie znam adresu.

— Zawiozę pana moim autem.

Ponownie wpadła mu chęć porwania jej w ramiona.

— Jadę, — zdołał jedynie wykrztusić.

— — — — — — — — — — — —

Mniej więcej w tym samym czasie w jednym z olbrzymich domów przy ulicy Nowej, w dużej komnacie bogato umeblowanej zabawiało się liczne towarzystwo. Dziwne to było towarzystwo, ani jednej kobiety. Sami mężczyźni.

Było ich tutaj siedmiu. Jedna flaszka monopolowej wódki "wyborowej" stała dumnie na szerokim stole. Siedm małych kieliszków stało obok flaszki, na kryształowej podstawie.

Jak na tak liczne towarzystwo stanowczo jedna tylko flaszka wódki nie wystarczała.

Obecni siedzący naokoło stołu ubrani byli w nowe garnitury marynarkowe. Ich stroje fabryczne, raziły z gustownym urządzeniem komnaty.

Siedzieli w najgłębszym milczeniu.

— Stanowczo on się opóźnia, — rzekł jeden spośród obecnych.

Głos jego zabrzmiał donośnie wśród tej ciszy, jaka panowała dokoła.

Mówiącym był Szczeniak. Towarzysze jego byli to sami notoryczne złodzieje i zbrodniarze poszukiwani przez władze.

— Może i lepiej, że się opóźnia, — rzekł Heski. — Na pewno nie przepuści płazem waszej głupoty. — Spojrzał znacząco na dwóch innych siedzących obok siebie, których zwisające twarze były blade.

— Nie nasza to wina, że ten diabeł jest taki zręczny, — rzekł ochrypłym głosem jeden z nich.

— Radzę ci Grucho inaczej się przed nim bronić! On nie żartuje, — rzekł ojcowskim tonem Heski. Uważał się bowiem wobec nich za starszego.

W tej chwili światło zgasło. Nikt się jednak nie poruszył. Zapanowały nieprzeniknione ciemności. Widocznie spodziewali się tego. Słychać było tylko ich oddech.

Nagle w ciemności rozległ się szmer jakby działającego mechanizmu i stłumiony dywanem odgłos kroków.

Szmer ucichł i światło zabłysło ponownie.

W pośrodku komnaty o trzy kroki od zebranych stał wysoki mężczyzna zamaskowany.

Ubrany był w czarny obcisły paltot zapięty pod szyją. Kaszkiet miał głęboko zaciśnięty na uszy.

— Grucha i Kogut niech wstaną, — rzekł dziwnym jakby sztucznym głosem. Najwyraźniej zmieniał głos.

Wezwani podnieśli się natychmiast.

— Nie wykonaliście mego zlecenia, — zaczął tym samym głosem. — Wiecie jaka kara grozi za nie wykonanie polecenia.

Twarze ich i tak blade teraz posiniały ze strachu. Jednemu z nich nawet włos zjeżył się na głowie.

Zamaskowany patrzył na nich groźnie. Ostry wzrok błyszczał jak z tygrysa.

— Kościelec i Piegowaty, — zawołał.

Wymienieni powstali natychmiast posłusznie. Mimo, że nie poczuwali się do żadnej winy, twarze ich przybladły.

Zatem zamaskowany budził w tych ludziach wyzutych ze wszystkich uczuć ludzkich lęk i grozę.

Był sam jeden. Nawet broni nie miał w rękach, które trzymał założone na piersiach. Dłonie były pokryte ciemnymi rękawiczkami.

Ich było siedmiu ludzi zdecydowanych na wszystko, nie wahających się z narażeniem życia popełnić najgorszą zbrodnię, jednak przed tym jednym człowiekiem drżeli ze strachu, wstrzymując poprostu oddech.

Straszna była władza tego człowieka.

Wiedział o tym, że się go lękają. Kilkanaście sekund napawał się widocznym lękiem z tych wyrzutków społeczeństwa.

— Na dzisiaj daruję wam karę — zwrócił się do stojących w najwyższym strachu do Gruchy i Koguta. — Otrzymacie jednak po dwadzieścia rzemieni.

Po pierwszych słowach zamaskowanego ich bydlęce twarze rozjaśniły się. Lecz gdy usłyszeli o rzemieniach, wykrzywili się boleśnie.

Nic jednak żaden z nich nie odpowiedział.

— Kościelec wymierzy karę Kogutowi. Grucha dostanie od Piegowatego.

Szybko w milczeniu przystąpili do wymierzenia kary.

Grucha i Kogut poddali się wymierzonej karze ze stoickim spokojem.

Przez cały czas trwania tej dziwnej egzekucji, nie padł ani jeden okrzyk tak z ust skazańców jak i innych.

Zamaskowany przyglądał się w milczeniu. Jego straszne oczy zdały się rozkoszować tym ohydnym widowiskiem.

W niespełna piętnaście minut egzekucja dobiegła końca.

— Na miejsca, — rozkazał zamaskowany.

Potulnie, jak owieczki zajęli swe miejsca, siadając z widocznym cierpieniem, malującym się na twarzach zbitych.

— Wiedzcie, że wszystkiemu winien przeklęty reporter, — odezwał się zamaskowany, patrząc na zbitych.

Głuchy okrzyk wściekłości wyrwał się z ich ust.

Coś w rodzaju uśmiechu przemknęło po twarzy zamaskowanego.

— Dzisiaj z nim możecie wyrównać rachunek. Oddaję wam go.

Wszyscy spojrzeli ciekawie na zamaskowanego.

— Heski i wy dwaj, udacie się pod tym adresem i wykonacie to co tutaj napisane. Jest tu też adres. Umiem dobrze płacić. Tutaj macie na zadatek. — I rzucił im sporą paczkę zmiętych banknotów pięćdziesięciozłotowych wraz z kartką. Wszystko to wyjął z kieszeni palta.

Jak dzikie zwierzęta z radosnym pomrukiem rzucili się na pieniądze.

— Reszta zrobi to co tutaj napisane, — i odbyła się ta sama scena.

Parę sekund trwał zamaskowany w milczeniu. Następnie podszedł do kontaktu i zgasił światło.

Gdy po chwili znów zabłysło zamaskowanego nie było w pokoju.

— — — — — — — — — — — —

Trzymając Ritę Znamirowską pod ręką, reporter powoli wchodził po schodach do buduaru artystki.

Upojona woń białych bzów drażniła jego czułe nozdża.

Drogę odbywali w milczeniu.

Rita utkwiła w roziskrzonych oczach Zwidlicza, pełne obietnic spojrzenie swych przepięknych oczu.

Buduar urządzony iście z królewskim przepychem, był cały niebieski. Harmonizował z kabaretem w którym urocza artystka występowała.

Piękne szerokie łoże królowało w tym królestwie szczęścia i niewysłowionych rozkoszy, którymi mogła obdarzyć cudna władczyni tej krainy baśni i czaru.

Rita pozostawiła na moment oszołomionego Zwidlicza i znikła w przyległych drzwiach.

Zwidlicz, który widocznie po raz pierwszy znajdował się w podobnym raju, stał niezgrabnie rozglądając się ciekawie wokoło.

Przyglądał się właśnie obrazowi, przedstawiającemu polującą Dianę, gdy cicho bezszelestnie przystąpiła do niego czarująca gospodyni.

Odziana była w przewiewny muślin. Jej posągowo piękne kształty uwydatniały się wyraźnie.

Zwidlicz już zupełnie oszołomiony porwał ją w ramiona i okrył licznymi pocałunkami.

Wyrwała mu sie lekko i zwinnie z ramion i wskazała znacząco na palto.

Nieprzytomnym wzrokiem spojrzał na siebie. Prawie, że podświadomie rozebrał palto i porzucił niedbale na niebieski puszysty dywan.

Rita tymczasem położyła na stoliku nocnym białą kartkę papieru.

— Oto kartka o którą prosiłeś, — rzekła drżąca.

Podjął leżącą kartkę i nic czytając, schował do kieszeni.

— Nie dobry! Nie czytałeś nawet, — szepnęła cicho.

— Poco czytać, gdy mam ciebie w całej krasie wiosennej piękności, — odparł namiętnie i objął miłośnie nie opierającą się Ritę.

Nie przypuszczał nawet, że Rita w tej chwili ocaliła mu życie.

Ludzie czekającej w mroku ulicy, klnąc i złorzecząc oddalili się szybko do swych kryjówek.

— — — — — — — — — — —

Zaszłe ostatnio tajemnicze wypadki wyczerpały Stachę Korecką do tego stopnia, że na kategoryczne żądanie lekarza musiała zatrzymać się dni kilka w łóżku.

Troskliwa opieka lekarska, dobrotliwe zabiegi notariusza, nie były zdolne rozpogodzić jej zmarszczonego czoła.

Czuła, że jej spokój uleciał z chwilą wstąpienia na bruk warszawski.

Utraconą równowagę ducha, mogło powrócić rozwiązanie zagadkowych zamachów, których padła ofiarą.

Aczkolwiek zapobiegliwy notariusz otoczył ją ciepłą atmosferą prawie, że ogniska domowego, spełniając wszelkie jej możliwe życzenia, silił się nawet na odgadnięcie niewypowiedzianych przez młodą dziewczynę prośb, jednak na zapytanie, czy mógłby rzucić jakieś światło na tło tej ponurej dręczącej ją zagadki, zbywał ją monosylabami, upewnieniami, że padła ofiarą omyłki, itd.

Nie wierzyła. Nurtująca ją bezustannie ciekawość połączona ze świadomością dalszego niebezpieczeństwa, odbierały sen ze znużonych powiek.

— Dlaczego ja jestem sama na świecie? — myślała z rozrzewnieniem wspominając tych, którzy mieli rodziny. — Któż mnie może bronić? Co chcą od niej? Nikomu przecież nie uczyniła żadnej krzywdy.

Wspomniała nagle Zwidlicza. Oczami rozgorączkowanej wyobraźni, zobaczyła wyłaniającą się z mroków zapadającej szybko nocy władczą postać reportera.

Bledziutka twarzyczka pokryła się delikatnym rumieńcem.

Jakieś rozkoszne ciepło przeniknęło Stachę na widok tej zjawy. Przystojna twarz Zwidlicza zdawała się uśmiechać do niej przyjaźnie.

Przez chwilę miała wrażenie, że w uśmiechu tym kryje się obietnica opieki nad jej utrapioną duszyczką.

Wkrótce jednak przekonała się, że padła ofiarą złudzenia i halucynacji.

— Dlaczego nie przyszedł uspokoić ją? — Czuła, że tylko on jeden mógł przywrócić jej zdrowie i pocieszyć udręczoną duszyczkę. Jego wyniosły chłód, jasny wzrok, metaliczny głos działał na nią kojąco.

Wszak on dwukrotnie uratował ją od niebezpieczeństwa. Nie mogła mu nawet podziękować. Odszedł bez słowa.

Żachnęła się niecierpliwie na łóżku.

Z jakiegoż powodu miał się nią interesować więcej niż dał tego dowody. Była dla niego obcą dziewczyną. Biedną, samotną. Nie miała żadnej pozycji w świecie towarzyskim. Dzięki życzliwości notariusza, mogła zapracować na swe utrzymanie.

Nie miała w sobie kultu i nie znała mistrzowskiej sztuki kokietowania mężczyzn. Była dziewczyną wychowaną na wsi. Wiedziała o tym, że była ładną. Mówiono jej to wszędzie. Mówiło jej zwierciadło, gdy rozczesywała swe złociste włosy. Mówiły jej o tym spojrzenia, jakie rzucali na nią spotykani mężczyźni.

Powiedział nawet o tym Zwidlicz.

Lecz jakże chłodno o tym mówił. Słuchając go miała wrażenie, że zupełnie innej dziewczynie mówi.

Czuła jednak, że tylko on jeden miał prawo mówić o niej w ten sposób. W chwili, gdy mówił o jej piękności miała wrażenie, że słucha jakiejś czarodziejskiej melodii. Jeszcze brzmiał w jej uszach jego melodyjny, dźwięczny głos.

Zarumieniła się po białka swych dużych oczu.

Uświadomiła sobie fakt, że za dużo jej myśli błądzą wokoło Zwidlicza. O żadnym mężczyźnie nie myślała nigdy w ten sposób. Wogóle mało ją interesowała płeć brzydka.

Czyżby obudziło się w jej serduszku drzemiące dotąd uczucie miłości? — Nie! To niemożliwe, — zaprzeczał rozum. — Nie kocham go. Jestem tylko wdzięczną za oddaną przysługę. Nie mogę go kochać.

Sam przyznał, że zainteresował się nią w chwili nudów, jako ładną dziewczyną, spotkaną po raz pierwszy. Musiał nadskakiwać każdej ładnej napotkanej dziewczynie. Teraz ona mu się podoba. Jutro inna. Lecz co do niej, to się grubo może pomylić. Nie należy do tych naiwnych, które rzucają się w objęcia pierwszemu napotkanemu, przystojnemu mężczyźnie.

Uspokoiwszy się tym postanowieniem przymknęła oczy i próbowała usnąć choćby na chwilę.

Ciche pukanie wyrwało ją z niespokojnej drzemki. Otworzyła oczy. W pokoju panowały ciemności.

— Kto tam? — spytała głośno.

— Przyniosłem pani trochę ożywczych winogron, — usłyszała głos notariusza.

— Proszę wejść, — rzekła.

W otwartych drzwiach zobaczyła notariusza, w świetle bijącym z korytarza.

W ręku trzymał kilka pakuneczków i kilka przepięknych białych róż.

— Ależ tu ciemno — zawołał na progu.

— Czy można zaświecić? — zapytał.

— Jeśli pan łaskaw, proszę.

Przekręcił kontakt i podszedł szybko do stołu, gdzie ułożył pakuneczki.

— Udało mi się zakupić tych kilka skromnych róż, aby urozmaiciły skromne królestwo pięknej władczyni. — rzekł wesoło, podając wiązankę róż, zarumienionej Stasi.

— Stajesz się pan szefie, pochlebcą, — zawołała Stacha z czarującym uśmiechem, biorąc z jego rąk piękne róże i przytknęła je do swej twarzyczki.

Kilka sekund upajała się ożywczą wonią.

Notariusz Czekański zabawił u Stachy niespełna godzinę.

— Jutro rano pozwolę sobie złożyć ponowną wizytę — rzekł powstając. — A teraz proszę nie myśleć o niczym tylko starać się usnąć. Sen jest pani bardzo potrzebny.

Wyszedł.

Stacha, która podczas obecności notariusza, spróbowała kilka winogron, napoczęła dwa ciastka, leżała teraz spokojnie.

Puściła wodze sennym marzeniom i powoli usnęła z uśmiechem na ustach. Marzyła widocznie o rzeczach przyjemnych.

Pokojówka, która cicho zapukała do jej pokoju nie słysząc odpowiedzi z jak największą ostrożnością otworzyła drzwi i rzuciwszy spojrzeniem na śpiącą Stachę zgasiła światło i cicho, bezszelestnie. zamknęła drzwi przekręcając klucz.

Wyjęła go z zamku i oddaliła się do swego pokoju.

W całym domu panowała niczym niezmącona cisza.

— — — — — — — — — — — — — —

Zegar kościelny wydzwonił w tej chwili godzinę wpół do piątej nad ranem.

Ulicą na której stał dom notariusza w najgłębszym milczeniu posuwało się czterech mężczyzn.

Zatrzymali się przed główną bramą domu notariusza.

— Piegowaty, — rzekł jeden z nich cicho, — bierz się do roboty. To tu.

Wezwany przystąpił cicho do drzwi i kilka minut manipulował przy zamku.

— Psiakrew! — zaklął cicho. — Ktoś tu wetknął amerykański zatrzask.

— Nie potrafisz? — zapytał drugi.

— Byłem i na to przygotowany, — mówił Piegowaty. — Mam tu ze sobą specjalny instrumencik.

— Już zrobione, — rozległ się cichy szept Piegowatego w niespełna pięć minut.

— Dobra! Zostaniesz tu. Będziesz uważał, aby nas kto nie nakrył. Staniesz sobie na drugiej stronie.

— Reszta za mną, — rozkazał.

Trzy sylwetki ludzkie zniknęły we wnętrzu domu notariusza.

Przyświecając sobie ręczną ślepą latarką elektryczną, posuwali się ostrożnie wzdłuż sieni.

— Krzywy, — rozkazał przywódca, — zostaniesz tutaj.

— A bacz pilnie! — dodał ostrzegawczo.

— Majcher! Idziemy!

Zgasiwszy światło, które mogło ich zdradzić, stąpając cicho po dywanie rozciągniętym na schodach pięli się na górę.

Bez wypadku doszli na drugie piętro.

Tu zatrzymali się i zabłysło światło ręcznej latarki.

— Przygotuj chloroform — rozkazał przywódca, w którym poznajemy przy świetle ręcznej latarki, opryszka przezwanego Kościelcem.

— Zrobione, — odparł cicho Majcher.

— Klawo. Przytrzymaj mi latarkę. Zobaczę raz jeszcze jaki numer pokoju.

Wyjął z kieszeni małą kartkę papieru rzuconą przez zamaskowanego. Pismo było maszynowe. I po raz drugi czytał przy świetle latarki:

*Stacha Korecka. Dom notariusza Maurycego Czekańskiego. Drugie piętro. Pokój oznaczony nr. 8. Użyć chloroformu. Uśpioną przynieść do gabinetu. W komnacie czekać rozkazów. "Maks".*

— Szukaj numeru ośm, — rozkazał Kościelec, chowając kartkę do kieszeni i skierował się cicho za Majchrem, który oświetlając napotykane drzwi po drodze liczył: sześć, siedm...

— Jest ósmy numer, szepnął do ucha Kościelcowi.

— Na wypadek trzymaj w pogotowiu rewolwer, — rozkazał Kościelec i położył rękę na klamce.

— Psiakrew! Zamknięte. Piegowatego musisz zawołać. Nie mam narzędzi.

— Ale ja mam, — odparł Majcher i wyciągnął z kieszeni zagięty wytrych.

— Więc otwórz.

W kilkanaście sekund drzwi były otwarte.

Zatrzymali się na progu nadsłuchując. Doleciał ich głęboki miarowy oddech.

— Śpi, — szepnął Kościelec. — Dawaj chustkę i chodź za mną ostrożnie. Ale świeć. Widzę łóżko.

Jak duchy podsunęli się bezszelestnie ku łożu.

Kościelec podniósł rękę w której trzymał chustkę, gdy nagle śpiąca postać, uniosła się i z błyskawiczną szybkością ugodziła go

straszliwym ciosem w szczękę. W tym momencie zabłysło światło.

Przerażonym oczom włamywaczy ukazał się młody ubrany mężczyzna z drwiącym uśmiechem na twarzy z rewolwerem skierowanym w ich stronę.

— Ręce do góry! — zawołał ostro przyciszonym głosem.

Ze zmartwiałej dłoni Majchra wypadła latarka i podniósł obie ręce wysoko do góry.

Kościelec, który otrzymał silny niespodziewany cios, padł niefortunnie na trzymaną w ręku chusteczkę przepojoną chloroformem i spał. Obok jego dłoni leżał rewolwer.

Mężczyzna udający śpiącego zeszedł z łóżka i podniósł rewolwer.

— Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada, — rzekł cicho.— Chcieliście uśpić ofiarę, tymczasem ofiara was uśpi.

Wyciągnął chusteczkę spod ust Kościelca i nie spuszczając z oka stojącego Majchra z palcem tkwiącym na cynglu podszedł do niego.

Przyłożył mu szybko chustkę do ust.

Obydwu uśpionych związał sznurami, które miał widocznie w tym celu przygotowane, a ręce skuł na dodatek kajdankami.

Związanych z zakneblowanymi ustami ułożył na dywanie.

Wszystko odbyło się w jak najgłębszej ciszy.

Następnie wziął ręczną latarkę porzuconą przez Majchra i wyszedł z pokoju.

Powoli z największą ostrożnością schodził po schodach.

— Jest ich pewnie kilku, — mruknął do siebie. — Szkoda, że tego drugiego nie zapytałem.

Machnął ręką.

— Na pewno by mi nie udzielił informacji albo rozmyślnie skłamał, — pomyślał i postępował cicho nadal.

Gdy znalazł się na ostatnim stopniu, przyskoczył do niego jakiś cień i usłyszał szept:

— Co się stało? Gdzie drugi? Czy to ty Majcher?

Zamiast odpowiedzi otrzymał silny cios w głowę kolbą rewolweru. Twardą musiał mieć czaszkę. Nie upadł. Krzyknął tylko wściekle i strzelił.

Przygotowany na to zwycięzca Majchra i Kościelca wskoczył szybko w bok i wystrzelił dwa razy.

Napastnik jęknął głucho i słychać było jak ciężko runął na dywan.

W domu dał się słyszeć niezwykły ruch. Zabłysło światło.

Krzywy leżał martwy w kałuży krwi. Otrzymał obydwa strzały w głowę.

Zwycięzca był to młody człowiek średniego wzrostu o wyrazistej twarzy.

— Co się tu stało? — usłyszał pytający głos. W negliżu szybko zstępował po schodach wyrwany ze snu notariusz.

W ręku trzymał rewolwer.

— Ach to pan! — zawołał notariusz i podbiegł szybko do stojącego.

— Ponowny napad panie Soltoń? — zapytał gorączkowo.

Soltoń Tadeusz był agentem z Urzędu śledczego.

W kilku słowach wyjaśnił notariuszowi całe zajście.

— Teraz zatelefonuję do Komisariatu aby zaaresztowali tamtych dwóch i uprzątnęli ciało zabitego, — zakończył Soltoń.

Udali się z notariuszem na górę. W drodze spotkali zbudzonego odźwiernego.

— Niech pan zamknie bramę i pilnuje aby kto niepowołany nie wtargnął — rozkazał mu notariusz.

Odźwierny poszedł spełnić rozkaz.

— — — — — — — — — — —

Odległy huk wystrzałów rewolwerowych zbudził śpiącą Stachę. Usiadła na łóżku przerażona.

Szybko zadzwoniła na pokojówkę.

Zaspana pokojówka, niezupełnie ubrana wbiegła do pokoju Stachy, otwierając drzwi kluczem.

— Julio co się tu stało? — zapytała przerażona Stacha.

— Niewiem dokładnie panienko, — odparła pokojówka drżącym głosem. — Mnie też zbudziły strzały. Już miałam wyjść, gdy pani zadzwoniła. Porwałam klucz i przybiegłam.

— Więc zamykasz mnie na klucz?

— Pan notariusz kazał.

Stacha nie pytała więcej, opadła bezsilnie na poduszki. Była pewną, że te strzały są w związku z nią.

Julia trzęsąc się ze strachu usiadła na krześle obok łóżka Stachy i milczała.

Z milczenia wyrwało ją pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zapytała wylękła pokojówka.

— Przychodzę was uspokoić, — odezwał się notariusz.

— Co się stało? — zawołała Stacha do wchodzącego notariusza.

Notariusz namyślał się chwilę, czy powiedzieć o wszystkim.

Uznał za stosowne, że tak będzie lepiej. Wkrótce opowiedział o zajściu.

— Więc dlatego przeniósł mnie pan do tego pokoju, — zawołała Stacha, wysłuchawszy opowiadania. A ja byłam zła na pana. Polubiłam tamten pokoik, mimo przykrych wspomnień. Jakże ja się panu odwdzięczę, — i oczy Stachy zaszkliły się łzami.

— Nie moja to zasługa, — rzekł notariusz.

— A czyja? — zapytała Stacha przez łzy.

— Pana Zwidlicza.

— Gdy przywiózł tu panią, po raz drugi, powiedziałem mu, że obawiam się innych zamachów. Zostawił mnie nic nie mówiąc. Teraz rozumię. Nie chciał mówić wobec innych. Obawiał się aby nie podsłuchano. Chociaż ja ręczę za swą służbę. Zły na niego, namyślałem się długo co czynić. Nie bardzo sobie życzyłem aby policja gospodarowała w mym domu.

Po przeczytaniu dzienników przyszedłem do przekonania, że będzie lepiej, gdy zawiadomię policję o tym. Miałem właśnie zamiar to uczynić, gdy nagle, nie pukając nawet, wszedł do mego gabinetu jakiś mężczyzna.

Był to właśnie agent bezpieczeństwa.

Zwidlicz w porozumieniu z Urzędem śledczym przysłał go dla ochrony pani w największej tajemnicy.

Reporter słusznie przypuszczał, że ponowią atak na panią. Dał zaś dyspozycję agentowi aby panią przenieść do innego pokoju. Agent zaś miał pozostać w miejscu pani, — zakończył notariusz.

Dzięki zatem sprytowi pana Zwidlicza została pani uratowana po raz trzeci.

Twarz Stachy, gdy słuchała opowiadania notariusza, pokryła się szkarłatnym rumieńcem.

— Więc znów Zwidlicz, — pomyślała i podziękowawszy notariuszowi cichym głosem położyła się zamykając oczy.

Notariusz i pokojówka cicho wyszli z pokoju.

Stacha została sama.

## ROZDZIAŁ VIII

Szczegóły nowych zbrodni, napełniające całe szpalty pism, wstrząsnęły do głębi opinią publiczną.

Dodatki nadzwyczajne sypały się na przerażonych mieszkańców Warszawy jak z rogu obfitości.

Gorączkowy ruch panował po Komisariatach i Urzędach bezpieczeństwa publicznego.

Przechodnie po szerokich ulicach miasta snuli się jak cienie. Na ich przygnębionych i skupionych twarzach nie rozjaśniał beztroski uśmiech.

Oddziały policyjne zasilono nowymi ludźmi. Warszawa miała wygląd jak podczas ostrego pogotowia.

Tam gdzie podczas spokojnych dni stał jeden policjant, dzisiaj pełniło straż trzech, czterech stróżów bezpieczeństwa.

Konni policjanci co parę minut przebiegali ulice.

Bezsilność policji była jawna.

Wzburzona opinia publiczna, domagała się kategorycznych zmian w szeregach policji.

Naczelny Komendant wojewódzki gryzł palce w swej bezsilności. Postarzał się o kilka lat.

W Urzędzie śledczym panowała głucha cisza.

Tajemniczy Maks stał się wizją potworną, wcielonym szatanem. Odbierał sen z powiek kilku tysięcy ludzi.

Ogólne naprężenie zwiastowało straszliwą burzę.

Czuć było w powietrzu wybuch wulkanu.

Sędzia śledczy, Maliński, mizerniał w oczach. O godzinie ósmej rano siedział już w biurze i może po raz setny przeglądał akta sprawy Tajemniczego Maksa.

O wpół do dziewiątej zjawił się u niego Tadeusz Soltoń.

Sędzia w milczeniu wysłuchał opowiadanie o nocnych wypadkach.

— Proszę nic jeszcze nie rozgłaszać, — rzekł po ukończeniu opowiadania Soltonia. — Aresztowanych przesłucham natychmiast.

— Czy wie kto już może o tej sprawie? — zapytał sędzia.

— W jak najgłębszej tajemnicy odbyło się aresztowanie. Zakazałem wszędzie rozgłosu. Notariusz przyrzekł dopilnować również aby z jego domu wieść nie przedostała się przedwcześnie, — rzekł Soltoń.

— Dobrześ pan uczynił, — rzekł sędzia. — Wspomnę o panu tam gdzie potrzeba. Agent pokraśniał z radości.

— Czy zawiadomił pan o tym pana Zwidlicza.

— Próbowałem. Nie ma go w domu.

— Nie szkodzi.

Agent powstał.

— Niech pan zaczeka w poczekalni. Po przesłuchaniu zawołam pana.

Solton złożył ukłon i wyszedł.

Czekał dwie godziny, na powtórne wezwanie.

— Nowa kryjówka pusta, — rzekł sędzia do niego. — Na razie nie mam dla pana żadnych poleceń. Proszę udać się nadal na swój posterunek. Jak tylko zajdzie coś nowego zawiadomisz mnie pan nie zwracając uwagi na porę.

Agent wychodząc spotkał w drzwiach wchodzącego reportera Zwidlicza.

Zwidlicz powiedział mu kilka słów i wszedł do gabinetu sędziego śledczego.

— Witam pana, — rzekł sędzia. — Nie spał pan. Wygląda pan źle.

Rzeczywiście przystojna twarz Zwidlicza wyrażała straszliwe wyczerpanie.

— I pan nie lepiej wygląda ode mnie — odparł reporter zmęczonym głosem.

— Gdybym wiedział, że pan nie spał, nie fatygowałbym go, — ciągnął sędzia. — Śledztwo w sprawie Pankiego ukończyłem o piątej rano. Spałem dwie godziny. Pan widocznie nie spał nawet godziny.

— I co pan znalazł na miejscu? — zapytał sędzia, przeskakując na inny temat.

— Nic ciekawego. Mówili prawdę. Zamaskowany wchodził i wychodził ukrytymi drzwiczkami, otworzonymi za pomocą elektrycznego mechanizmu.

Nikogo nie zastaliśmy w kryjówce. Wyczerpujące szczegóły zdążyłem już zapodać memu dziennikowi. Myślę, że tym uda się zaspokoić choć po części wrzenie. Wieść o zamordowaniu Pankie'a poruszyła wszystkich. Jest ogólne podniecenie. Za kilkanaście minut będą czytali nowy dodatek nadzwyczajny, — sennym głosem mówił Zwidlicz.

— Bardzo dobrze. — Sędzia zatarł ręce. — Ten nowy żer może ich uspokoi. Na tamtych czterech wydałem już rozkazy aresztowania. Spodziewam się, że niedługo ich nakryją.

— Spodziewałem się tego. Podałem więc i to do wiadomości publicznej. Ostrzegnie to wprawdzie opryszków, lecz publiczność będzie uspokojoną.

— Zatem niech pan idzie do domu wyspać się, — rzekł sędzia, żegnając uściskiem dłoni reportera.

— — — — — — — — — — — —

Pokrzepiony na siłach ożywczym snem, wyskoczył Zwidlicz z łóżka.

Zimna kąpiel i kilkunastominutowa gimnastyka postawiły go silnie na nogi. Mógł z powodzeniem nie spać dwie noce z rzędu.

Zegar wskazywał godzinę piątą po południu.

Postanowił udać się do Stachy Koreckiej.

Po upływie pół godziny pukał do jej pokoju.

— Proszę! — dobiegł go miły głos z wewnątrz.

Otworzył drzwi. Przy stole ubrana w narzucony szlafroczek, z głową wspartą na dłoniach siedziała Stacha Korecka.

Nie spojrzała na wchodzącego.

— Czy nie przeszkadzam? — zapytał zatrzymując się na progu.

Na dźwięk jego głosu Stacha poderwała się szybko. Jej bladą twarzyczkę pokrył śliczny rumieniec.

— Ach przepraszam! — wykrzyknęła zażenowana. — Myślałam, że to pokojówka Julia.

— Proszę niech pan wejdzie dalej. Nie spodziewałam się pana, — dodała wyciągając dłoń na powitanie.

Ujął jej zimną dłoń i złożył lekko pocałunek.

— Proszę usiąść, — szepnęła jeszcze wzruszona.

Podsunął sobie wygodny fotel i miał zamiar usiąść, gdy Stacha rzekła nieśmiało:

— Nie uważa pan, że tu trochę za gorąco. Tam jest wieszadło, — wskazała dłonią na stojące w rogu pokoju wieszadło.

— Chyba, że się panu bardzo spieszy, — dodała już śmielej.

— Nie jest mym zamiarem przeszkadzać pani długo, — rzekł.— Jednak może wizyta moja potrwa jakieś pół godziny.

— Ależ ja jestem panu bardzo rada, — zawołała Stacha żywo. — Wcale mi pan nie przeszk... urwała zmieszana i spojrzała w czarne oczy Zwidlicza.

Zwidlicz spojrzał na nią po raz pierwszy z zaciekawieniem.

— Co za niezwykle piękne dziewczę — pomyślał.

Jakiś wiośniany słoneczny czar wiał od niej. Oczy lazurowe były w tej chwili podobne oczom załęknionej gazeli. Cerę miała prześliczną. Zaróżowiona w tej chwili stała przed nim w całej krasie swej czystej piękności. Jej dziewicza postać tknęła jakimś przyrodzonym urokiem.

— Jakże pani piękna! — szepnął cicho w zachwycie patrząc na Stachę.

W tej chwili spostrzegł się, że popełnił głupstwo. Z największą przyjemnością zapadłby się pod ziemię, gdyby to było możliwe.

Stacha na te słowa, momentalnie zmieniła się. Rozkoszny uśmiech znikł z jej twarzyczki. Rozchylone lekko usteczka zacisnęły się. Swobodna postać wyprężyła się sztywno.

— Czy pan przyszedł po to aby mi to powiedzieć? — zapytała chłodno.

Zwidlicz umiejący panować nad sobą w różnych krew w żyłach mrożących sytuacjach, stał teraz przed młodą dziewczyną, jak żak schwytany na gorącym uczynku.

Nie wiedział jak wybrnąć z przykrego położenia.

Wybawiła go z kłopotu Stacha.

— Niechże się pan rozbierze z palta, — rzekła szytwno. — Pot widnieje na pańskim czole.

Szybko zdjął palto, zawiesił na wieszadle, jakby tym odruchem chciał uzyskać swą utraconą równowagę.

Gdy siadł na fotelu, był już dawnym Zwidliczem. Chłodnym, wyniosłym, lecz niezwykle uprzejmym.

— Ostatnio byłem bardzo zajęty, — zaczął spokojnie. — Nie miałem chwili czasu, aby odwiedzić panią. Pragnę usłyszeć z pani ust kilka szczegółów, któreby może pomogły, choć po części wyjaśnić tło zagadkowych zamachów.

— Proszę niech pan pyta, — wtrąciła Stacha.

— Czy ma pani jakich nieprzyjaciół?

— Nie!

— Majątku pani nie ma. Może ktoś z bliskich pani osób ma jakiś majątek, który przypada na panią?

— Nie!

— Proszę sobie dobrze przypomnieć, — nalegał.

— Nie mam żadnych krewnych wogóle, — odparła stanowczo

Zamyślił się głęboko.

— Może jednak jest jakiś krewny lub dobry znajomy, o którym pani nawet nie przypuszcza, że ma chęć uszczęśliwienia panią majątkiem. Proszę dobrze się zastanowić nad odpowiedzią. To bardzo ważne!

Widział w jej oczach wielki wysiłek duchowy. Długo myślała.

— To niemożliwe, — rzekła wreszcie.

— Chyba, że... dodała i urwała.

— Co? — zapytał porywczo. — Proszę nic nie ukrywać. Dla pani może to być błahostką. Dla śledztwa nić przewodnia.

— Ależ nonsens! Coś podobnego, — szepnęła jakby do siebie.

Wpił się chciwie swym przenikliwym wzrokiem w jej twarzyczkę. W tej chwili był reporterem.

— Zmarły mój ojciec, — zaczęła cicho, a oczy jej zaszły łzami na to wspomnienie, — mówił mi, że przed jakich może dwudziestu

kilku laty wyemigrował do Ameryki jego brat Zygmunt. — Ogarniające ją wzruszenie nie pozwalało jej mówić. Urwała.

Zwidlicz słuchał w milczeniu. Widząc jej wzruszenie, nic się nie odezwał, czekał aż zacznie sama mówić ponownie.

Rzeczywiście po niedługiej chwili opanowała się całkowicie i głosem spokojnym, nie zdradzającym nawet poprzedniego wzruszenia ciągnęła dalej:

— Jak panu już wspomniałam brat mego ojca, a mój stryj Zygmunt Korecki, wyemigrował przed laty do Ameryki. Od chwili jego wyjazdu nie dał znaku życia o sobie. Nic o nim nam nie było wiadome. Ojciec sądził, że zginął. W przeciwnym bowiem razie dałby znać o sobie.

Ja również jestem tego pewna. Poza tym nic mi więcej nie wiadomo. Powiedziałam panu już wszystko, — zamilkła.

— Mam niejasne przeczucie, że tutaj właśnie będzie sedno sprawy, — szepnął do siebie. Stacha słyszała ten szept.

— Tak pan sądzi, — wtrąciła zdumiona.

— Za dwa dni dowiem się wszystkiego, — odparł. — Wyślę kablogram do nowojorskiej policji. O ile stryj pani jest lub był w Ameryce z tego źródła dowiem się na pewno. Mamy nawet tam naszego korespondenta, może mi oddać nieocenione usługi. Może w ten sposób uda mi się wpaść na trop zbrodniarza. Wprawdzie nie obiecuję sobie dużo po tym. Nie mogę poniechać żadnej nadarzającej się sposobności.

Wiem z podsłuchanej rozmowy, że spodziewają się za pośrednictwem pani bogatego łupu. Lecz nie jestem pewny o co tu chodzi, czy o pieniądze, czy coś innego.

Śledztwo prowadzę nadal, na wszystkie strony. Albo zginę, albo uwolnię Warszawę od szatana siejącego strach i grozę powszechną,— zakończył nie podnosząc wcale głosu przy ostatnich słowach. Patrząc na niego zdaleka można było pomyśleć, że prowadzi zwykłą salonową rozmowę.

— Wierzę, że pan doprowadzi sprawę do końca, po tym wszystkim co pan już uczynił, — powiedziała Stacha wysłuchawszy pilnie jego słów.

— Zobaczymy, — rzekł Zwidlicz. — Wiele mam danych, których jeszcze nie zdążyłem stwierdzić, a które mogę jeszcze zużytkować.

Stacha spojrzała na niego. Był takim jakim go widywała w sennym marzeniu.

Na twarz jej wystąpił ciemny rumieniec.

Spojrzał na nią ciekawie. Domyślił się, że może za długo trwa jego wizyta, powstał z zamiarem odejścia.

— O ile panu nigdzie się nie spieszy, to może pan zje ze mną razem kolację. Może w towarzystwie pana będę miała większy apetyt?

— rzekła Stacha pochylając głowę. Oczy przysłoniła ciemnymi rzęsami.

Zwidlicz zawahał się. Ukradkiem spojrzał na zegar.

Dochodziła godzina siódma. Mam jeszcze czas, pomyślał. Zresztą pani Stefania może poczekać.

Stacha spostrzegła to jego wahanie.

— Może nie w porę, moje zaproszenie, — zapytała chłodno.

— Ależ z przyjemnością przyjmuję, — jąkał Zwidlicz, siadając z powrotem.

Stacha zadzwoniła na pokojówkę.

Gdy weszła pokojówka, rozkazała jej przygotować kolację na dwie osoby natychmiast.

W niecałe piętnaście minut kolacja była gotowa.

Podziwiał w duchu jej harmonijne i zręczne ruchy. Jakże elastyczną jest jej postać, myślał śledząc jej poruszenia z zachwytem.

Zapomniał o tym, że mu się spieszy do pani Stefanii Kowalskiej. Nie wspomniał nawet o Ricie Znamirowskiej.

W tej chwili czuł się nad wyraz uszczęśliwiony. Był w jak najradośniejszym nastroju.

Jego burzliwe życie, obfitujące w podniecające momenty, nigdy nie było tak radosne, jak w chwili obecnej.

Czuł tu jakąś miłą przytulną atmosferę, która działała kojąco na duszę.

Miał wrażenie, że znajduje się w tej chwili na rozsłonecznionej Riwierze. Bowiem wiośniany urok jaki wionął od postaci dziewicy, działał jak pogodny błękit nieba południowego.

Usiedli do kolacji.

Smakowite potrawy spożywali w milczeniu, obserwując spod oka jedno drugiego.

Stachę bawiła myśl, że ukarała go za jego zuchwałość.

W duchu ucieszyła się, że Zwidlicz jest teraz innym.

Maniery wielkiego światowca, zrównoważony chłód, swobodne i opanowane jego ruchy, wszystko to czyniło go innym od mężczyzn jakich spotykała w swym krótkim życiu.

Siła i męskość biła z jego jasnej powabnej twarzy.

Chwilami była nawet onieśmielona jego obecnością. Silny charakter, żelazna wola tego niezwykłego człowieka, spływały na nią ożywczo.

Pewność jego obecności pozwoliły jej zapomnieć o wszystkich trapiących ją niepokojach. Jakiś dziwny fluid wionął od niego.

Jednak mimo tych spostrzeżeń, całą siłą woli panowała nad sobą, aby mu nie okazywać, że interesuje ją więcej niżby sobie tego sama życzyła.

Żwidlicz nie przerywał panującego milczenia ani słowem. Wolał milczenie. Palił go jeszcze wstyd na wspomnienie okrzyku jaki mu się wyrwał mimo woli.

Wprawdzie Stacha była wesoła i towarzyska lecz zachowanie jej cechowała pewna powściągliwość.

Uraził ją zatem swym postępowaniem. Nie była z tego rodzaju kobiet, których bawią hołdy mężczyzn. Była dziewczyną o szlachetnej duszyczce.

Postanowił sobie solennie w duchu, że postara się swój błąd naprawić dziesięciokrotnie w przyszłości.

Nie wiedział w jakiej formie wyrazi jej swą skruchę i poprawi ten nietakt, czuł jednak, że z powziętego zamiaru wywiąże się.

— Jest pan niezwykle milczący, — rzekła Stacha swobodnie, przerywając milczenie, które już teraz stawało się naprawdę dręczące.

— Nie chciałbym urazić pani ponownie, — odparł spokojnie.

— Już zapomniałam, — zawołała wesoło.

— Wie pan co, — dodała. — Pan notariusz Czekański ma w swoim salonie fortepian. Oddał go do mojej dyspozycji. Mam ochotę zaśpiewać. Dobrze?

— Bardzo będę rad. Słuchanie śpiewu pani sprawi mi na pewno niewysłowioną przyjemność, — rzekł Żwidlicz uszczęśliwiony.

— Tylko bez komplimentów, — rzekła i pogroziła mu figlarnie małym paluszkiem.

Była w tej chwili rozkoszną. Anielska wesołość biła z jej jasnej twarzyczki.

— Chodźmy, — dodała i pociągnęła go za rękaw jak rozkapryszone dziecię.

Żwidlicz akompaniował. Stacha stanęła obok fortepianu i swym dźwięcznym głosem zaśpiewała.

Głos jej zrazu przyciszony z każdą chwilą nabierający pełnego brzmienia, zabrzmiał w uszach zachwyconego Żwidlicza jak niebiańska melodia.

Jakże cudownym był ten głos, który płynął czarodziejsko, upajając Żwidlicza. Metaliczne dźwięki drżały w powietrzu.

Żwidlicz jak w sennym rozmarzeniu wodził palcami po klawiszach.

Tak dźwięcznego i silnego śpiewu nie słyszał nigdy. Słowicze tony działały na niego jak upojona woń kwiatów.

Stacha z lekko zarumienioną twarzyczką, przymknąwszy powieki prawie bezwiednie wsparła swą kształtną dłoń o krawędź fortepianu, wyglądała jak promienna bogini z bajki.

Śpiewała "Marzenie" Schumana.

Żwidlicz zasłuchany patrzył na nią jak w ekstazie. Jej przecudownego śpiewu, zdolny był słuchać całymi godzinami.

Podziw pomieszany z zachwytem malował się na jego twarzy.

Stacha, powoli, zakończyła swój prześliczny śpiew. Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie dźwięki cudnej melodii, gdy Zwidlicz rzucił się szybko ku Stasi i ująwszy jej drobną rączkę złożył na niej długi pocałunek.

— Jestem oczarowany, — szepnął drżącym głosem. — Cudny śpiew pani wyrył w mej duszy niezatarte piętno.

Stacha patrzyła na Zwidlicza zmieszana. Nie próbowała nawet wyrwać swej dłoni. Czuła się w tej chwili najszczęśliwszą na świecie. Jego szczery podziw i zachwyt oszołomił ją.

Zwidlicz wkrótce opanował się. Stacha delikatnie wysunęła dłoń z jego ręki.

Parę minut spoglądali na siebie w milczeniu.

Wzruszona pierś Stachy falowała szybko. Serce waliło jak młotem. Położyła dłoń na piersi chcąc stłumić jego przyspieszone bicie.

Cała drżała niczym niestłumioną radością. Z głębi serca wyrywał się radosny triumfalny hymn. Hymn radości i szczęścia.

Kochała Zwidlicza.

— — — — — — — — — — —

Pani Stefania Kowalska z na pół przymkniętymi powiekami spoczywała na szezlongu.

Jej pulchna prostolinijna twarz miała sentymentalny wyraz.

Nawet pan Gustaw, głowa domu, nie wiedział o tym że jego ukochana Stefcia jest wielce romantyczną osóbką.

Potrafiła całymi godzinami marzyć o miłosnych przygodach. Była przekonaną, że kiedyś do jej monotonnego życia, wtargnie jakiś piękny młodzian i uwiezie w krainę wiecznego słońca i miłości. Ułudna ta mrzonka, która początkowo była tworem jej wybujałej wyobraźni, sennym marzeniem, w końcu nabrała cech pewności, niczym nie zachwianej.

Przekonana zatem, że niespodzianie zjawi się zuchwały uwodziciel, poczęła przygotowywać się aby mu dorównać.

Wiedziała, że nie jest inteligentną, że nie ma znajomości życia towarzyskiego, że brak jej kultury.

Podczas jednej z nocy spędzanych przeważnie samotnie i w marzeniach, powzięła stanowcze postanowienie uzupełnić wszystkie braki.

Wszak jej kochany Gucio, nie odmówi pieniędzy na edukację.

W wyniku tych marzeń i rozmyślań, od dwóch lat pobierała lekcje.

Chodziła do konserwatorium. Uczęszczała na lekcje tańców. Miała kilka profesorów. Jeden pouczał ją jak zachowywać się w wytwornym towarzystwie. Drugi wtajemniczał w dziedzinę sztuki oddziaływa-

nia na mężczyzn. Inny doskonalił w umiejętnym używaniu kosmetyków.

Najlepiej jednak pani Stefania czuła się w obecności niedawno przyjętego nauczyciela obcych języków.

Albowiem Alfred Nicew był w oczach pani Stefanii typ ze wszech miar uzdolnionym młodzieńcem. Jego blada twarz miała w sobie tyle tajemniczości. Jak on umiejętnie umiał udzielać lekcje. Zaledwie dwa miesiące upłynęło a pani Stefania już umiała przepisywać po francusku. Wprawdzie nierozumiała jeszcze co jej nieraz dyktuje, składając słowa po literze, jednak uroczy Alf upewniał, że nawet sama się nie spostrzegnie a język francuski będzie znała lepiej od polskiego.

A to co mówił Alf było prawdą. On nie umiał kłamać. Jego ciemne oczy miały w sobie tyle dziwnego uroku.

Ach jak ona uwielbia czarne oczy.

Pulchną rączką przesunęła po płowych włosach.

Dziwny grymas coś w rodzaju uśmiechu wykrzywił twarz pani Stefanii, rozchylając silnie ukarminowane usta.

Marzyła.

Z przyjemnych marzeń wyrwało ją brutalne wtargnięcie z roześmianą twarzą pana Augusta.

— Kochana Stefciu, — krzyczał uradowany już od progu. — Pan Zwidlicz jest na dole.

Wyrwana w tak niecny sposób z wędrówek duchowych po nieznanych krainach szczęścia i rozkoszy, pani Stefania zerwała się jakby tknięta iskrą elektryczną.

Już otwarła ukarminowane usta, chcąc zastrofować pana Augusta, lecz na dźwięk imienia sławnego reportera zaniechała poprzedniego zamiaru. Głosem przebijającym radością, jednak z małą wymówką ofuknęła pana Augusta.

— Ile razy mam ci mówić, że człowiek dobrze wychowany, puka do drzwi, gdy ma zamiar złożyć wizytę damie. Ty się nigdy nie nauczysz dobrych manier towarzyskich.

Pan Gustaw ze smutnie zwieszoną głową stał bezradnie przed ukochaną Stefcią.

Pani Stefania na widok skompromitowanego Gucia rzekła już cieplejszym tonem mentorskim:

— No nie masz się tak czym przejmować. Ja też odrazu się nie nauczyłam. A mężczyźni zawsze dłużej muszą się nauczać.

Okrągła twarz pana Augusta rozjaśniała się.

Ciche pukanie, które się w tym momencie rozległo, podziałało na nich jak zimny tusz.

Jak puszczona nagle sprężyna, podskoczyła pani Stefania i wydawszy cichy okrzyk, potoczyła się do stojącego w kącie salonu zwierciadła.

Pan Gustaw podskoczył do drzwi i otworzył na całą szerokość.

— Proszę panie Zwidlicz, proszę! Czekamy.

Wszedł reporter. W ręku miał małą wiązankę kwiatów.

Usłużny pan Gustaw pomógł mu zdjąć wierzchne okrycie.

Pani Stefania z zażenowaną minką, podeszła lękliwie do reportera i podała różową pulchną rączkę.

Zwidlicz złożył szarmański ukłon i ujmując ciepłą rączkę pani Stefanii rzekł swym dźwięcznym głosem:

— Zawsze zachwycająca i młoda jak świeża brzoskwinia. — Jednocześnie wręczył trzymaną w ręku wiązankę kwiatów poczerwieniałej z radości pani Stefanii.

— Jest pan nadzwyczaj uprzejmym dla mnie, — rzekła cicho szepleniąc.

— Och ten nędzny hołd jest niczym w porównaniu do tego, jaki pani winna otrzymać.

— Może pan łaskawie usiądzie, — wtrącił pan August. — Zaraz każę podać kolację. — Złożywszy ceremonialny ukłon wyszedł.

Podczas kolacji pani Stefania paplała nieustannie.

Zwidlicz powoli umiejętnie naprowadzał ją na temat, który go najwięcej interesował.

W pewnym momencie pani Stefania zapytała:

— Był pan w Monte Carlo?

— Dwa dni, — odparł.

— Prawda jak tam musi być uroczo. Morze, słońce, kwiaty, wieczna wiosna. Jak ja bym tam chciała być! Ach! — I pani Stefania głośno westchnęła.

— Nic trudnego. Takiemu skarbowi, jakim jest pani dla pana Gustawa, mąż nie odmówi kilkuset złotych. Tylko...

Zwidlicz przerwał rozmyślnie.

— Tylko?... powtórzyła pani Stefania gorączkowo.

— Trzeba znać język francuski, — rzekł.

— To wszystko? — zapytała pani Stefania radośnie.

— Tak.

— Wobec tego niedługo będę mogła wyjechać.

— ?

— Pan nie wie. Uczę się języka francuskiego. Pan Alfred Nicew udziela mi lekcji.

Reporter znał Nicewa. Przypomniał sobie natychmiast bladego młodzieńca z Niebieskiego Ptaka

Patrzył jednak na panią Stefanię z niedowierzaniem.

— Pan nie wierzy, że się uczę? — zapytała widząc niedowierzanie w jego oczach.

Milczał.

Pani Stefania powstała od stołu i przeprosiwszy reportera, jak mogła najszybciej podążyła do przyległego pokoju.

Wkrótce powróciła niosąc przed sobą cały plik czystych i zapisanych arkuszy papieru.

— Proszę oto dowód, — rzekła dumnie, kładąc przyniesiony plik papierów przed reporterem.

— Ależ ja pani wierzę. Szkoda było fatygi.

— Nic nie szkodzi. Niech pan przeglądnie. Powie mi pan co o tym sądzi. Czy nie prędko się nauczę.

Reporter od niechcenia przerzucał zapisane arkusze.

Nagle drgnął.

Na wierzchu leżał arkusz papieru. Druga połowa była niecała. Znać było, że tam wycięto prostokątny kawałek.

Poprosił panią Stefanię o atrament. Widział, że w salonie go nie ma.

Pani Stefania wyszła skwapliwie wypełnić prośbę reportera.

Wyciągnął szybko kartkę znalezioną w martwej dłoni Pankie'a i przymierzył.

Pasowała akuratnie.

Porównał pismo. Było identyczne.

Aczkolwiek, przygotowany był na to, gwizdnął jednak cicho przez zęby.

Weszła pani Stefania. W ręku miała mały ciemny kałamarzyk z atramentem.

— Oto jest atrament, — powiedziała i postawiła na stole.

— Dziękuję. Doszedłem do wniosku, że pani wkrótce nauczy się francuskiego. Trzeba się tylko nie zniechęcać.

— Ależ ja lekcje francuskiego uwielbiam. — I zawołała. — Pan Alf jest doskonałym nauczycielem. Bardzo mnie nawet lubi. Wczoraj podczas lekcji wyciął sobie nawet kawałek dyktatu, na pamiątkę. Dyktował mi, a ja pisałam. Był zachwycony postępem. Mówił, że...

— O której godzinie, udziela pani lekcji, — przerwał reporter.

— Przychodzi o godzinie czwartej popołudniu. Zwykle wychodzi o ósmej. Zawsze zostaje na podwieczorek. Pan go nie zna. On jest taki wesoły, dowcipny. On...

— Bardzo mi było przyjemnie, — przerwał znowu Zwidlicz, znudzony rozwlekłą gadaniną pani Stefanii. — Czas mój jest ograniczony. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

— Wszyscy mężczyźni są jednakowi, — rzekła pani Stefania. — Bez względu na porę, zawsze mają sprawy do załatwienia. Pan Alf też tak mówi, jak go nieraz chciałam zatrzymać dłużej.

— Do widzenia zatem, — dodała żegnając reportera. — Może pan jutro przyjdzie o szóstej. Pan Alf też będzie.

Pan Alf nie przyszedł, ani jutro, ani w dni następne.

Bowiem nazajutrz o godzinie jedenastej przed południem Władysław Noran, agent Urzędu śledczego wszedł do poczekalni trzeciej klasy na stacji w Katowicach. W poczekalni było kilka osób. W głębi przy stoliku siedział młody komiwojażer z ciemnymi okularami na nosie i krótką bródką. Do niego właśnie podszedł agent. Położył mu rękę na ramieniu i suchym urzędowym tonem rzekł:

— Alfredzie Nicewie! Aresztuję pana w imieniu prawa pod zarzutem dokonania zbrodni morderstwa na osobie śp. pana Pankie'a, — i pobladłemu komiwojażerowi nałożył zręcznie zimne kajdanki.

## ROZDZIAŁ IX

Stacha Korecka zatrzymała się przed zwierciadłem. Była już całkowicie ubrana. Dłuższy czas spoglądała na swe odbicie.

Uśmiechnęła się.

Zadowolona ze swego zewnętrznego wyglądu szybkim krokiem wyszła z pokoju.

Na korytarzu natknęła się na notariusza Czekańskiego.

— Właśnie miałem zamiar dowiedzieć się — rzekł notariusz, — jak pani spędza czas. Czy zdrowie polepszyło się.

Spojrzał na Korecką badawczo.

— Widzę, że z przebytych wzruszeń nie pozostało śladu, — mówił. — Wygląda pani świetnie. Naprawdę jestem tym szybkim powrotem do zdrowia zdumiony.

W oczach jego widniał szczery podziw.

— Tylko pańska dobroć, — rzekła Stacha stojąca przed notariuszem, — niezwykła troskliwość dopomogły do mego szybkiego wyzdrowienia. Czuję się tak doskonale, a w powietrzu taka miła pogoda, że postanowiłam się przejść po ludnych ulicach Warszawy.

— Nie wiem czy przechadzka może być bezpieczna? — wtrącił notariusz z powątpiewaniem w głosie.

— Ależ jest pan bardzo przeczulony pod tym względem. Cóż mi może grozić w biały dzień pośród kilku tysięcy ludzi. Nie! Naprawdę. Przesądza pan, kochany szefie. To absurd.

— Nie chcę być złym prorokiem, — rzekł wcale nie zbity z tropu notariusz. — Ludzie, którzy na panią zagięli parol są zbyt zuchwali. Dużo wiem o nich i...

— Naprawdę przeraża mię pan, — przerwała Stacha. — Cóż więc mam robić, aby użyć przechadzki w biały dzień. Otoczyć się armią policjantów. Tożby to zakrawało na komedię.

Zamilkła, zaciskając silnie drobne usteczka.

Notariusz spoglądał na zniecierpliwioną i podenerwowaną Stachę z tkliwością.

— Proszę się znów tak zbytnio nie przejmować tym co powiedziałem, — mówił po chwili. — Jestem pesymistą, mimo, że wszyscy twierdzą przeciwnie. Zresztą mam wolną godzinkę. O ile pani pozwoli będę pani z przyjemnością towarzyszył.

— Ależ z radością zgadzam się, — zawołała Stacha wesoło, już zupełnie uspokojona.

— Biegnę zatem ubrać się. Będę za dwie minuty z powrotem.

Szli właśnie w dół Alei Ujazdowskich. Stacha spojrzała mimo woli na przejeżdżający piękny powóz.

W powozie siedział Zwidlicz, a obok młoda kobieta cudnej urody.

Stacha na ten widok stanęła jak wryta. Twarz jej pobladła śmiertelnie. Byłaby upadła, gdyby nie podtrzymał ją notariusz.

— Co się stało? — zawołał przerażony.

— Nic nadzwyczajnego, — szepnęła drżącym od silnego wzruszenia głosem. — Zrobiło mi się nagle słabo.

— Teraz już mi lepiej, — dodała po chwili. — Ale chodźmy już do domu.

— Zawołam dorożkę, — rzekł notariusz i nie czekając na odpowiedź, krzyknął donośnie na nadjeżdżającą taksówkę.

W drodze powrotnej Stacha przyszła już na tyle do siebie, że nawet ośmieliła się zapytać notariusza:

— Widział pan przejeżdżający ten piękny powóz, w chwili gdy mi się tak nagle zrobiło słabo, — i chciwie spojrzała na notariusza.

Chciała mieć pewność, czy czasem nie padła ofiarą złudzenia. W czystej dziewiczej duszy ozwał się krzyk. Krzyk niewysłowionego bólu. Bowiem jej miłość, podeptana została w okrutny sposób. Uważała się teraz za najnieszczęśliwszą istotę pod słońcem. Zadane pytanie rzuciła raczej instynktownie, wiedząc jednak, że wzrok ją nie mylił.

Notariusz namyślał się chwilę z odpowiedzią, spoglądając ciekawie na jej mieniące się od silnego wzruszenia twarzyczkę.

— Widziałem, — odparł nareszcie z wahaniem, nie dodając nic ponadto.

Dalszą drogę odbyli w milczeniu.

Notariusz odprowadziwszy Stachę do pokoju rzekł:

— Jeszcze jest pani nazbyt słabą aby odbywać spacery. Łatwo ulega pani wzruszeniom. A lekarz zakazał jak najusilniej. Potrzeba pani kilku dni spokoju. Proszę się położyć i o niczym nie myśleć.

— Jest mi już znacznie lepiej, — rzekła swobodnie całą siłą woli panując nad sobą aby nie upaść. — Był to tylko chwilowy zawrót głowy. Teraz już czuję się doskonale.

Mówiła nieprawdę. Nogi najwyraźniej drżały pod nią.

Notariusz zauważył to. Podsunął szybko miękki fotel. Usiadła ciężko odrzucając się w tył na szerokie oparcie.

Podziękowała mu skinieniem głowy.

Pierś jej falowała szybko. Notariusz milczał.

— Co to za kobieta jechała w powozie? — zapytała nagle. — Jest bardzo piękna. Podziwiam jej bogaty strój.

Notariusz zawahał się nad odpowiedzią. Stacha dostrzegła to wahanie. Dziwny ból uczuła w okolicy serca.

— Pan jej nie zna? — nalegała siląc się na swobodny ton.

Udało się.

Notariusz uspokojony swobodą Stachy, myśląc że omylił się w przypuszczeniach, jakoby Stacha na widok Zwidlicza jadącego w towarzystwie młodej kobiety, zasłabła nagle, rzekł:

— Jest to najpiękniejsza gwiazda na horyzoncie warszawskim, primaballerina występująca w kabarecie pod Niebieskim Ptakiem, Rita Znamirowska. Mężczyźni całej stolicy szaleją za nią. Jechała w towarzystwie swego nowego faworyta, wybranego spośród wielu mężczyzn sławnego niemniej od niej... urwał zmieszany.

Spostrzegł się bowiem, że rozgalopował się za daleko w swych szczegółowych wyjaśnieniach.

— Dlaczego pan nie kończy, — podjęła spokojnie Stacha, — reportera Zwidlicza chciał pan powiedzieć. Poznałam go doskonale. Nie znałam tylko towarzyszki. Przyznam, że ma dobry gust. Ona jest rzeczywiście cudowną.

Pytałam jedynie przez prostą ciekawość, — dodała jakby na usprawiedliwienie.

— Pan wie, że kobiety są nadzwyczaj ciekawe. Ja do wyjątków nie należę.

Wprowadzony już całkowicie w błąd notariusz przez to dziewczę, które nigdy w życiu nie skłamało, począł się szeroko rozwodzić na temat życia nocnego Warszawy. Przedstawiał go oczom Stachy bardzo jaskrawo i swobodnie. Przemilczał jedynie o ujemnych szczegółach nie chcąc demoralizować jej czystej duszy.

W swych objaśnieniach, doprowadził do tego, że Stacha zapomniała prawie o wszystkim, słuchając go z niekłamaną ciekawością.

Wszystko to było dla niej takie nowe, a tak zajmujące, że ośmieliła się zaproponować mu wspólną wycieczkę do Niebieskiego Ptaka.

Teraz dopiero spostrzegł się notariusz, że fantazja i barwne przedstawienie faktów, uniosły go za daleko.

— Jakże mógł on, człowiek doświadczony, starszy wiekiem naprowadzać to niewinne dziewczę na złą drogę. Strofował się w duchu, za swą głupotę. Jakże mógł zapomnieć o tym, że to dziewczę które nigdy w życiu nie widziało nic ciekawego, zapragnie poznać naocznie wszystkie szczegóły, które jej w swej krasomówczości opisał tak barwnie i podniecająco. Wszak i ona mogła mieć duszę żądną ciekawych widowisk i silnej emocji.

Rozpacz jego nad błędem, który popełnił z pobudek czysto intymnych, mając na celu odwrócenie ponurych myśli, które molestowały ustawicznie, dręcząc biedną dziewczynę, była prawdziwą.

— Co on jej teraz powie? W jaki sposób wyprowadzi z błędu, — myślał z goryczą. — Zresztą poprowadzi ją. Ukaże jej to życie w całej nagości. Odstraszy ją to raz na zawsze. Jej szlachetna natura, wrodzona duma, podniesie bunt na widok ogólnej demoralizacji cechują-

cej życie nocne Warszawy. Tak będzie najlepiej. Potem jej wszystko wytłumaczy.

Stacha przez cały czas rozmyślań notariusza, nie odezwała się ani słowem. Myślała o Zwidliczu. Czuła do niego żal. Żal za to, że zawiódł jej pierwsze uczucie miłości w tak okrutny sposób. Z zadumy wyrwał ją głos notariusza.

— O godzinie wpół do 8-mej przyjdę po panią. Pójdziemy do teatru. Po przedstawieniu uczynię zadość prośbie pani. Pójdziemy do Niebieskiego Ptaka.

— Dziękuję, — odparła Stacha, trochę pomieszana. Wspomniała sobie o tym, że ten człowiek bądź co bądź zupełnie obcy wykonywał jej wszystkie prośby, nie szczędząc pieniędzy. Dbał o nią jak ojciec. Zawstydziła się. Cóż mu ona dała wzamian. Nawet jeszcze nie tknęła się pracy, po którą przyjechała. Już chciała odmówić, wymawiając się bólem głowy, gdy wspomniała Zwidlicza. Tak musi go jeszcze zobaczyć w towarzystwie artystki. Spojrzy mu prosto w oczy. Uda, że ją to nic nie obchodzi. Będzie się bawić, śmiać, tańczyć. Notariusz mówił, że tam tańczą. Tak, choć tyle się zemści na nim za podeptaną miłość.

Powstała szybko z fotelu i zrzuciła płaszcz. Spojrzała na stojącego notariusza. Uśmiechnęła się do niego czarująco.

Notariusz zmieszał się na chwilę, na ten niespodziewany widok.

Niezręcznie sięgnął do kieszeni i wyjął złoty zegarek.

— Jest godzina wpół do siódmej, — rzekł drżącym głosem. — Za godzinę będę gotów, — i wyszedł.

Stacha po wyjściu notariusza, panująca doskonale nad sobą, teraz nie widząc potrzeby pofolgowała sobie.

Padła przed łóżkiem na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Długo tłumione uczucie serdecznego bólu, znalazło ujście w cichym gwałtownym łkaniu.

Cała boleść udręczonej duszy uwydatniła się w rzewnym płaczu.

Łzy cicho bezszelestnie, niby drobne diamenty, spływały powoli na miękką tkaninę, okrywającą łóżko.

Zegar wydzwaniał monotonnie kwadrans.

— — — — — — — — — — —

Zwidlicz, opuściwszy panią Stefanię Kowalską, schodził powoli ze schodów.

Na ulicy skinął na stojącą obok taksówkę.

Położył rękę na klamce drzwiczek, gdy usłyszał za sobą dźwięczny głos Rity Znamirowskiej.

— Gdzie ci tak śpieszno? Nie będziesz na przedstawieniu?

Odwrócił się szybko i ujął wyciągniętą dłoń Rity, otulonej puszystym futrem.

— Mam bardzo pilną sprawę do załatwienia, — rzekł łagodnie ale stanowczo. — Na występ twój dzisiaj nie przyjdę.

Złożył pocałunek na trzymanej przez cały czas dłoni i miał zamiar wsiąść do taksówki.

Położyła mu miękko dłoń na ramieniu.

Odwrócił się ponownie.

— Czekam na ciebie jutro o czwartej po południu. Odbędziemy wspólną przejażdżkę, — szepnęła cicho patrząc mu miłośnie w oczy.

Zadrżał. Jak dziwnie ta kobieta umiała oddziaływać na jego zmysły.

— Przyjdę, — rzekł cicho i szybko wskoczył do taksówki, pozostawiając na miejscu Ritę zdumioną niezwykłym jego zachowaniem.

Wolno weszła do kabaretu.

Zwidlicz udał się do sędziego śledczego. Zabawił tam około godzinę. W wyniku rozmowy jaką miał z sędzią śledczym, aresztowano nazajutrz Alfreda Nicewa pod zarzutem dokonania zbrodni morderstwa, na osobie naczelnego dyrektora Pankie'a.

O godzinie trzy kwadranse na dwunastą przed północą, był w swym mieszkaniu.

Na stole leżał zapieczętowany list w szarej kopercie.

Spojrzał na adres. Pismo było maszynowe. Przeczytał wyraźnie: *Do Pana Włodzimierza Zwidlicza w/m.*

W lewym rogu u dołu widniał dopisek: "b. pilne".

Szybko podjął kopertę, obejrzał dokładnie i rozerwał.

We wnętrzu znalazł małą ćwiartkę zwykłego białego papieru zapisaną również pismem maszynowym.

Czytał:

— *Jeżeli nie poniechasz natychmiast wtrącania się w nieswoje sprawy zginiesz. Policja ma dość swych psów gończych. Niech się więc uganiają. To ich obowiązek. Wiesz dobrze, że słowa dotrzymuję.*

*"Maks".*

Zadzwonił na gospodynię.

— Kto przyniósł ten list? — zapytał wchodzącą.

— Jakiś posłaniec! Widziałam go po raz pierwszy.

— Kiedy?

— Była może godzina dziewiąta.

— Dziękuję.

Obejrzał jeszcze raz starannie kopertę i kartkę papieru, ostrożnie trzymając w palcach.

— Widocznie mój "Maksiu" w opałach, jeśli grozi. Lęka się.

Machnął ręką z drwiącym uśmiechem i schował kopertę do szufladki biura w celu przeprowadzenia później badania daktyloskopijnego.

Ziewnął głęboko i udał się na spoczynek.

Nazajutrz o godzinie jedenastej był już całkowicie ubrany. Po śniadaniu wziął się do przeglądania nadeszłych listów i czytania dzienników.

Szpalty pism wciąż były przepełnione sensacyjnymi szczegółami licznych zbrodni tajemniczego Maksa.

Znudzony odłożył dzienniki. Ubrał palto, wdział kapelusz i wyszedł na miasto.

Spacerowym krokiem przemierzał ulice Warszawy. Myśli plątały mu się ustawicznie. W uszach brzmiał jeszcze cudowny głos Stachy. Obraz jej uroczej postaci wyrył mu się w duszę głęboko. Jego zwykła równowaga opuściła go. Widział jej lazurowe oczy spoglądające nieśmiało, niekiedy nawet jakby z wyrzutem. Podziwiał w duchu jej dziecięcą niemal naturę, pełną naiwności.

Zatrzymał się na skraju chodnika. Wyciągnął papierośnicę. Była pusta.

Rozglądnął się szybko za kioskiem z papierosami. Wzrok jego padł na stojącą sylwetkę wysokiego mężczyzny, stojącą w cieniu rzucanym przez szeroki płócienny daszek umieszczony nad olbrzymim oknem wystawowym.

Znał stojącego. Był to Karol Boreń. W innym wypadku nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie fakt że obok niego stało jakieś ciemne indywiduum i mówiło coś długo.

Karol Boreń stał przed wystawą przyglądając się ciekawie umieszczonym za oknem błyszczącym samochodom.

Przechodzący przechodnie, nie zwrócili nawet uwagi, aby elegancko ubrany pan, mógł prowadzić rozmowę z niechlujnie odzianym włóczęgą.

Reporter jednak znał tego rodzaju wybiegi, mające na celu wprowadzić w błąd niepożądanych świadków.

Był jak najpewniejszy, że Karol Boreń prowadził bardzo ożywioną dyskusję z oberwanym indywiduum.

Wszedł szybko do sieni obok stojącej kamienicy, niechcąc być zauważonym przez Borenia.

Stał tak kilkanaście minut, gdy ciemne indywiduum powoli oddaliło się w stronę Placu Trzech Krzyży.

Reporter zastanawiał się nad tym, kogo mu wypadało śledzić.

Przypuszczał, że ciemne indywiduum doniosło o czymś Karolowi Boreniowi. Spełniwszy zatem polecenie uda się do swej kryjówki. Idąc więc za tym oberwańcem mógł natrafić na ślad nowej kryjówki.

Z drugiej zaś strony ciekawym był co pocznie Karol Boreń po rozmowie z włóczęgą. Zapewno kuje się tu coś niedobrego. Chociaż Karol Boreń był zręcznym przeciwnikiem i nie łatwo było trafić na

ślad jego nikczemnych knowań, reporter wiedział o nim jednak więcej niż on mógł przypuszczać.

Rozumowania te przebiegły szybko w głowie Zwidlicza, podczas prowadzonej rozmowy indywiduum z Karolem Boreniem.

Nie ulegało bowiem kwestii, że włóczęga mówił a Karol Boreń słuchał tylko nic nie mówiąc.

Stał niezdecydowany co czynić. Tymczasem włóczęga oddalał się coraz dalej. Karol Boreń stał jeszcze parę sekund, po czym szybko począł się oddalać w tym samym kierunku co oberwaniec.

To zadecydowało.

Zwidlicz począł się posuwać ostrożnie unikając starannie możliwego odkrycia. Przed sobą miał Karola Borenia, a o kilkadziesiąt kroków posuwającego się już teraz szybkim krokiem włóczęgę.

Swym bystrym wzrokiem zauważył, że włóczęga ostrożnie ogląda się za siebie.

Prowadził więc Karola Borenia, wskazując mu kierunek.

— Dokąd on go prowadzi? — zapytał się w duchu reporter.

Doszli w ten sposób do wysokiego domu czynszowego.

Włóczęga znikł w dużej ciemnej sieni. Karol Boreń oglądając się teraz ostrożnie na wszystkie strony, wszedł w ślad za włóczęgą.

Karol Boreń znalazłszy się w mrocznej sieni, usłyszał cichy szept:

— Proszę za mną.

Stał kilka sekund mrożąc oczy. Nareszcie spostrzegł włóczęgę idącego przed nim o kilka metrów i wstępującego na mroczne schody.

Ohydny smród jaki panował w tym domu zapierał Karolowi Boreniowi oddech. Zapach gotowanych lichych potraw pomieszany wyziewami pleśni i cuchnącymi pomyjami wylewanymi do kałuży w pośrodku małego podwórca, wszystko to czyniło powietrze nieznośnym.

— Jak tu mogą wytrzymać ludzie, — zapytywał się w duchu, słysząc pisk licznych dzieci i głos jakiś zawodzący "Czarną Nańką".

Przytknął batystową chusteczkę do ust i trzymając ją przy twarzy szybko podążał za włóczęgą.

W drodze spotykał różnych mieszkańców tej olbrzymiej kamienicy, zdających się nawet nie spostrzegać obecności eleganckiego pana.

Zdyszany i zmęczony znalazł się wreszcie w niskim małym pokoiku na poddaszu.

Urządzenie pokoiku było prymitywne. Nędzna prycza z gnijącą wiązką słomy, połamany stół, cudem trzymający się prosto na trzech nogach i podłużna zbutwiała ławka.

— Słuchaj Wypych, czy nas tu nikt nie może podsłuchać, — zapytał szeptem stojącego przy stole oberwańca.

— Na tym piąterku jo jezdem panem. Tutoj jest strych, — odparł z dumą Wypych.

— Dobrze, — rzekł Karol Boreń i podszedł w róg pokoju.

Wypych podszedł do niego i stanęli koło siebie w pobliżu.

Karol raz jeszcze rozejrzał się po pokoju, podszedł do drzwi na palcach i otworzył je szybko. Nigdzie nie dojrzał żywej duszy. Uspokojony podszedł do Wypycha i półgłosem coś długo mu przekładał.

W końcu wyciągnął kilka zmiętych banknotów stuzłotowych i wetknął w chciwie wyciągniętą dłoń Wypycha.

Nie przypuszczał nawet, że za starymi gratami porzuconymi w nieładzie na strychu z uchem przyłożonym do cienkiej ścianki z desek, całą rozmowę podsłuchał Zwidlicz.

— — — — — — — — — —

Przez resztę dnia reporter był niezwykle zajęty. Był w Urzędzie śledczym, redakcji, w Głównej Komendzie Policji i... na obiedzie w restauracji.

O godzinie czwartej odbył przejażdżkę w towarzystwie Rity Znamirowskiej. Podczas przejażdżki nie spostrzegł Stasi Koreckiej w towarzystwie notariusza. Spostrzegła jednak Rita piękną dziewczynę, która na ich widok zachwiała się na nogach. Poczuła zazdrość. Domyśliła się bowiem, że młoda piękna dziewczyna musi być znajoma Zwidlicza. Uczuła ku niej szaloną nienawiść. Nie zdawała sobie jasno jeszcze sprawy, czemu przypuszczała, że piękne dziewczę kochało Zwidlicza i mogło być przez niego kochane.

Instynktem duszy kobiecej wiedziała, że to musi być na pewno miłość. Zapamiętała sobie dokładnie szlachetne rysy twarzy młodej dziewczyny.

Spojrzała ukradkiem na Zwidlicza. Był czymś głęboko zaabsorbowany.

— Nie widział jej, — pomyślała w duchu i nie wiedząc czemu, poczuła ulgę.

Nic mu nie powiedziała. Choć paliła ją silna ciekawość, nie zapytała nawet.

Zwidlicz właśnie wtedy przemyśliwał nad podsłuchaną rozmową Karola Borenia i Wypycha.

Nie spostrzegł również dziwnego niepokoju malującego się w oczach Rity.

O godzinie siódmej opuścił artystkę.

Powracał do domu pieszo. Na Dzikiej ulicy spotkał pana Norberta Bokundę.

Rozmawiał o rzeczach banalnych przez dziesięć minut.

— Czekał pana będę o jedenastej wieczorem pod Niebieskim Ptakiem, — rzekł Norbert Bokunda i pożegnawszy się z reporterem wsiadł do stojącego obok samochodu i pojechał, skinąwszy mu jeszcze ręką przyjaźnie.

W kilkanaście minut potem zatrzymał się przed drzwiami swego mieszkania.

Zajmował trzypokojowe mieszkanie urządzone gustownie i ze smakiem jak przystało na szanującego się kawalera.

Mieszkanie jego miało dwa wejścia. Jedno oddane było do użytku stale mieszkającej u niego starej gospodyni Praksedy. Stara Praksia kochała go jak syna. Od dawnych lat prowadziła jego gospodarstwo domowe, stale narzekając i głośno lamentując na niego.

—Jeszcze zabiją go gdzie, — mawiała stale do starego odźwiernego, jednocześnie mającego dozór nad małym gazeciarzem Zwidliczu.

W duchu modliła się zawsze za szczęśliwy powrót ulubieńca, gdy wybierał się na jaką eskapadę nocną.

Rezydowała w małym pokoiku schludnie i czysto utrzymanym, oddanym do jej własnego użytku.

Wyjście do pokoiku gospodyni prowadziło na tylne schodki, biegnące do bramy podwórzowej.

Zaś wejście główne ze schodów frontowych prowadziło do pokoju Zwidlicza. Pokoik gospodyni oddzielony był wąskim przedsionkiem od mieszkania Zwidlicza. Tędy zatem jego zacna gospodyni podawała mu potrawy, gdy miał ochotę spożywać w domu.

Zwidlicz żywił się więcej poza domem, co nieraz zacną matronę przyprowadzało do rozpaczy. Dumna nieraz była z ugotowanych potraw. Już cieszyła się myślą, jak to ją pochwali "zawadiaka", tak go nazywała, gdy właśnie wtedy nie przychodził do domu.

Z rozpaczy musiała sama zjeść przygotowane potrawy, nie mając sposobności pochwalenia się swą sztuką kulinarską.

Zwidlicz powoli sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął mały kluczyk, którym otworzył amerykański zatrzask, umieszczony dość wysoko w drzwiach.

Ujął za klamkę, gdy nagle wzrok jego padł na wyraźny odcisk szerokiego obcasa męskiego widniejący na progu.

Pochylił się i dotknął go palcami. Ślad był mokry.

Ktoś jest w jego mieszkaniu. Musiał wejść niedawno... Tak bowiem wskazywał na to ślad.

Sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął błyszczący rewolwer. Odsunął bezpiecznik i z palcem na cynglu, lewą ręką otworzył szybko drzwi.

Nie wszedł. Rozmyślnie zatrzymał się przed progiem.

Nadsłuchiwał.

Z zewnątrz mieszkania nie dochodził najmniejszy szmer.

Stał przed swym mieszkaniem kilkanaście minut, trzymając w ręku gotowy do strzału rewolwer.

Martwa cisza panowała w jego apartamentach, dolatywały go jedynie odgłosy z innych części domu i stłumiony hałas uliczny.

Powoli stąpając ostrożnie z napiętymi do zenitu nerwami, wchodził do mieszkania.

W pokoju panowały ciemności.

Wytężył słuch i trzymając w prawej dłoni rewolwer, lewą błądził po ścianie w poszukiwaniu kontaktu elektrycznego.

Namacał. Już miał zakręcić kontakt, gdy nagle usłyszał obok siebie szelest, zwrócił się gwałtownie w tym kierunku i wyprężył do skoku na bok. Za późno...

Otrzymał silny zdradziecki cios w głowę. Zachwiał się od uderzenia.

Instynktownie poczuł, że cios się powtórzy. Błyskawicznym ruchem podniósł dłoń trzymającą rewolwer i już miał pociągnąć palcem za cyngiel, gdy otrzymał drugi cios w rękę. Rewolwer upadł na podłogę.

W ciemności nic nie widział. Szybkim ruchem rzucił się na podłogę. Zawinął szeroko rękami. Prawa dłoń pochwyciła nogę ludzką.

Schwytał ją jak w kleszcze i szarpnął silnie ku sobie.

W następnym momencie walczył już z przeciwnikiem, który rzucił się na niego, zwinnie wyrywając nogę.

Walka odbywała się w milczeniu. Zwidlicz był silnym mężczyzną. Sztukę mocowania znał doskonale. Lecz przeciwnik dorównywał mu pod każdym względem.

Z niezwykłą szybkością stosował odchwyty.

Podczas tego drzwi, które przy wejściu Zwidlicz otworzył, zatrzasnęły się, nie dozwalając mu dostrzec przeciwnika.

Zwidlicz widząc, że tą drogą nie upora się z groźnym napastnikiem, postanowił zastosować skuteczną zawsze metodę jiu-jitsu.

Pochwycił go szybko za łokieć, ręki i ścisnął pulsujący nerw stawowy.

Usłyszał cichy jęk i przeciwnik jego wyrwał mu się zręcznie z rąk, odrzucając się w bok.

Podniósł się błyskawicznie i zakręcił kontakt.

W pośrodku na dywanie stał spokojnie zamaskowany mężczyzna, trzymając w ręku rewolwer.

Nie strzelał jednak.

— Na co czeka? — pomyślał Zwidlicz i szybko pochylił się i pociągnął za dywan.

Zamaskowany stracił równowagę i przewrócił się na podłogę.

Zwidlicz już leżał na nim, trzymając silnie rękę uzbrojoną w rewolwer.

Silnymi nogami oplótł ciało napastnika spłaszczając je stopami. Uczynił tzw. nożyce.

Zamaskowany wyrywał mu się z nadludzką siłą. Szarpał się w tym stalowym uścisku jak tygrys. Zwidlicz czuł opuszczające go siły.

Rozumiał, że z chwilą, gdy zamaskowany osiągnie przewagę nie zawaha się ukrócić dni jego życia. Wiedział, że ta walka jest dla niego kwestią życia lub śmierci. Splecione stopy powoli ześlizgiwały się. Nogi mu drętwiały. Nadmiernym wysiłkiem udało mu się zgiąć kiść dłoni zamaskowanego. Napastnik czując zbliżającą się niechybną zgubę z chwilą, gdy Zwidliczowi uda się wyrwać mu rewolwer, z potworną siłą szarpnął ręką... bezskutecznie.

Zwidlicz giął dłoń napastnika z olbrzymią siłą omdlewających dłoni. Nadmierny wysiłek wyczerpał go do tego stopnia, że czuł zawrót głowy. Otrzymany cios dokuczał mu straszliwie.

Rozpaczliwe szamotanie się zamaskowanego słabło z każdą chwilą. Zwidlicz odczuwał to z niekłamaną radością.

Pokrzepiony myślą, że przeciwnik słabnie, wytężył ostatecznie swe siły i... z załamanej dłoni zamaskowanego wypadł rewolwer.

Podniósł go szybko. Miał teraz przewagę.

— Koniec Tajemniczego Maksa się zbliża, — wyrywał mu się szept triumfalny.

Podniesiony rewolwer skierował lufą na leżącego przeciwnika. Nogi, które mu już odmawiały posłuszeństwa opadły bezwładnie. Był tak słaby z nadmiernego wysiłku, że ledwie mógł utrzymać rewolwer w drżącej ręce.

Lecz nie tylko on tak osłabł. Poczuł bowiem w chwili, gdy jego zmęczone nogi zwalniały uścisku, słabnące ciało zamaskowanego, który legł bezwładnie, ciężko dysząc.

Bezwładne ciało napastnika przygniotło swym ciężarem jedną nogę Zwidlicza. Próbował ją wyciągnąć. Nadwątlone siły nie podołały zadaniu. Legł również zmęczony ciężko obok pokonanego przeciwnika.

Mimo straszliwego zmęczenia i silnego bólu głowy od otrzymanego ciosu, czuł, że wyczerpanie ustępuje prędko.

Szarpnął silnie nogą. Udało mu się. Noga była wolną. Przeciwnik leżał nadal, ciężko dysząc.

Podniósł się na kolana. Klęczał u nóg przeciwnika. Spojrzał na jego twarz. Szeroka maska trzymała się nadal. Czapka głęboko nasunięta na czoło nie pozwalała zobaczyć nawet pukla włosów.

— No, Maks, koniec z tobą, — rzekł Zwidlicz. — Przerach... nie dokończył. Otrzymał błyskawiczne uderzenie nogą w brzuch. Tak go to nagle zaskoczyło, że nie zdążył nawet wystrzelić.

Zamaskowany podniósł się z nieprawdopodobną szybkością i olbrzymim susem znalazł się przy drzwiach.

Ręka jego spoczęła na klamce. Zwidlicz strzelił, mimo, że nie mógł złapać oddechu. Bowiem cios nogą w brzuch przyprawił go o duszności.

Kula zamiast ranić uciekającego utkwiła ponad jego głową w ścianie wyrywając małą szczerbę.

Strzelił ponownie... na próżno. Zamaskowanego nie było już w pokoju. Wszystko to stało się w przeciągu niecałej sekundy.

Gdy drzwi zamknęły się za uciekającym Maksem, Zwidlicz próbował powstać. Mimo czynionych nadludzkich wysiłków nie udało mu się to.

W tym momencie zdołał sobie uprzytomnić niespodziewany atak zamaskowanego.

Wyczerpanie i bezwład były symulacją. Gdy on Zwidlicz dobywał ostatnich sił by wyrwać napastnikowi rewolwer, tenże widząc, że mu się to uda, a przeczuwając swą zgubę, użył podstępu.

Znał Zwidlicza. Wiedział, że nie będzie strzelał do bezbronnego. Uczuł w tej chwili lekki podziw dla niezwykłych zdolności tego potwora, który z wyrafinowaną zimną krwią, umiał zapobiegać ewentualnej zgubie. Doszedł do wniosku, że unieszkodliwienie, schwytanie tak groźnego przeciwnika będzie go jeszcze dużo trudu kosztować.

Zaczerpnął silnie oddechu i powstał.

Podbiegł do drzwi i w pierwszym impulsie... lecz poniechał tego zamiaru.

— Taki człowiek nic nie pozostawia na rzecz przypadku, — pomyślał i zawrócił.

Spotkał się oko w oko z przerażoną gospodynią. Za drzwiami usłyszał liczne głosy.

— Proszę powiedzieć ciekawskim, że nic się nie stało, — rzekł do gospodyni. — Czyściłem rewolwer i wystrzelił dwukrotnie.

Posłusznie poszła spełnić polecenie. Wiedziała, że to jest nieprawdą. Znała go jednak dobrze.

Zwidlicz tymczasem wypoczywał kilkanaście minut w fotelu rozmyślając.

— Po co on tu był? — myślał — Czego szukał, że nie zawahał się sam narazić na niebezpieczeństwo.

Spojrzał na biurko.

Nieład jaki tam panował, wyjaśnił mu cel wizyty zamaskowanego. Znać było czynione poszukiwania.

Wstał. Podszedł do biurka i długo przyglądał się porozrzucanym papierom na stole.

W międzyczasie powróciła gospodyni i spoglądała na Zwidlicza z tkliwością.

Wolno postąpił ku niej i objąwszy ramieniem lekko uderzył dłonią po plecach.

— Nie martw się — szepnął do niej, — wszystko będzie dobrze.

— Ile razy już mi pan to mówi, — odparła również cicho. — A zawsze to samo, — i potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

— Czy podczas mojej nieobecności nie nadszedł jakiś list, — zapytał.

— Tak! — odparła. — Może przed czterdziestu minutami.

— Gdzie jest?

Położyłam go na biurku.

Podskoczył szybko do biurka i przewrócił gorączkowo wszystkie papiery.

— Nic nie ma, — krzyknął.

— Musi tam być, — powiedziała gospodyni stanowczo.

Wszystko przeszukał ponownie, zaglądnął nawet pod biurko... bezskutecznie... listu nie było nigdzie!

Miał odpowiedź na dręczące go pytanie.

Po wypytywaniu szczegółowym gospodyni, doszedł do wniosku, że była to odpowiedź na jego kablogram do Ameryki.

W jednej chwili zrozumiał wszystko. Tu był właśnie klucz do rozwiązania zagadki. Więc jego przypuszczenia okazały się słuszne.

Podbiegł do telefonu. Mówił z Urzędem pocztowym. Naczelnika oddziału telegraficznego nie było. Urzędnik nie mógł wydać bez zezwolenia odpisu. Odłożył wściekły słuchawkę.

Choćby się udał na policję żądając interwencji w tej sprawie niewieleby na pewno zyskał. Była to bowiem jego prywatna sprawa. Zresztą jutro zaraz o ósmej uda się do urzędu pocztowego.

Machnął ręką.

To jego chwilowe zlekceważenie miało kosztować jedno życie ludzkie więcej.

## ROZDZIAŁ X

Rozbita banda Maksa nie dobrze się czuła w nowej kryjówce, w której ulokował ich groźny herszt.

Wilgoć i smród panujący w ciasnej dziurze nie należał do przyjemności.

Najwięcej deprymująco działał na nich strach przed nęcącą wszędzie policją.

— Postanowiłem wystąpić z bandy, — rzekł Piegowaty. — Przeniosę się... na łono Abrahama, — dokończył Grucha zjadliwie.

Piegowaty spojrzał na niego z wściekłością.

— Do Krakowa, — krzyknął z pasją. — Tam...

Znów nie dokończył. Otrzymał silny cios w okolicę krzyża.

— Będziesz ty cicho... psiakrew! — powiedział rozkazująco Heski. — Nie wiesz, że swym głupim krzykiem możesz sprowadzić nam salcesonów na kark. Wiesz idioto, że dzisiaj tu węszyli.

Skonfundowany Piegowaty umilkł. Tarł ręką bolące miejsce.

Przy migotliwym świetle płonącego ogarka świecy, wyglądali odrażająco.

Ich twarze niegolone, brudne, czyniły ich podobnych raczej do dzikich zwierząt, niż do cywilizowanych istot ludzkich.

Zwiesiwszy smętnie głowy siedzieli bezwładnie, obok siebie, wpół leżąc, wpół siedząc na mokrej słomie.

— Jest już dwadzieścia po ósmej, — rzekł Heski, patrząc na niklowy zegarek.

— Może będziemy mogli wyjść pokrzepić się czym, — odezwał się nieśmiało Grucha.

— Absolutnie! On zakazał, rozumiecie! — powiedział ostro Heski.

Głuche rzężenie, coś w rodzaju westchnienia wyrwało się z piersi opryszków.

Zapadło głuche milczenie, przerywane od czasu do czasu ziekającą wodą po ścianach.

Nagle wśród tej ciszy rozległ się głuchy jakby przez tubę akustyczną głos.

Spojrzeli ciekawie w kierunku skąd się dobywał ów głos.

Na wysokości ośmdziesięciu centymetrów widniał szeroki otwór kanałowy.

Zerwali się na równe nogi. Ciemność panująca w otworze nie dozwalała im nic zobaczyć.

Tymczasem głos mówił:

— Udacie się natychmiast do Nauma. Dostarczy wam eleganckich garniturów. Jasiek was ogoli i stosownie ucharakteryzuje. Tu macie pieniądze i instrukcje co macie nadal czynić.

Jednocześnie przez otwór zleciał na ziemię cały pakunek.

Radosny pomruk wyrwał się z ust opryszków.

— Pójdziecie lewym otworem na górę — dodał jeszcze ów głos. — Stamtąd pójdziecie około dwudziestu metrów na prawo. Dopiero tym otworem można opuścić kryjówkę. Mieć się na ostrożności. Policja czuwa. Wasze rysopisy wszędzie rozesłane i widnieją prawie na każdym rogu ulicy listy gończe. Jak się wam powiedzie będziecie mogli opuścić Warszawę. Paszporty, przygotowałem dla każdego. Pieniędzy dostaniecie tyle, że przy dobrym prowadzeniu winno wam starczyć do końca życia. Więc jazda.

Głos umilkł.

W radosnym nastroju przeczytali instrukcje, przeliczyli otrzymane pieniądze i podzieliwszy się sprawiedliwie tak wyznaczonymi z instrukcji rolami jak i pieniądzmi, ruszyli na krwawe polowanie.

Woda cicho spływała po mokrych ścianach.

— — — — — — — — — — — — —

Hrabina Anna Kruszeńska nudziła się.

Leżała na kanapie i z przymkniętymi oczami o czymś myślała.

Jej ładna twarz była blada. Ubrana była w ciemną suknię. Obcisły krój uwydatniał jej ładną budowę.

Porzucona książka z rozwartymi kartkami, leżała na dywanie, widocznie porzucona.

Obok niej na niskim taburecie siedział Karol Boreń. Twarz miał ukrytą w dłoniach i milczał. Miał na sobie strój wieczorowy.

— Jestem ciekawy dlaczego ten przeklęty gazeciarz nie oddał mnie w ręce policji — odezwał się przerywając milczenie.

— Musi on mieć względem mnie jakieś plany. Nie łudzę się nawet, że on już wie o mnie więcej niżbym sobie tego życzył. Nic myśli mi nawet nie przychodzą, aby dla moich oczu oszczędzał mnie. Odbiera mi to spokój i apetyt. Czuję wszędzie jego oczy. Nie wiem, może się nawet nie mylę, jeśli powiem, że on nas wszystkich nakryje nim my zdążymy choćby upuścić trochę krwi z małego palca. Jak on piorunem oddał w ręce policji Nicewa. Chłop dyndzie ani mru mru. Zaczynam się go naprawdę lękać.

— Więc czemu nie zaniechasz wszystkiego i nie uciekamy? — wtrąciła hrabina Anna.

— Ty tego nigdy nie zrozumiesz. Nie mogę. Gdybym teraz chciał się ratować ucieczką, zgubiłoby to nas oboje niechybnie. Nie mam drogi ratunku. Fatalne "kismet" zaczyna ciążyć nade mną.

— A pułapka? — poddała.

— Ten drań ma szczęście. Zawsze upadnie jak kot na cztery łapy. Mam przeczucie, że nawet tak genialnie obmyślona pułapka, może się nie udać. Tego diabła kule wprost się nie imają. Twardą ma też skórę. Najostrzejszy nóż nie może jej przebić.

— Może się dzisiaj uda, — szepnęła hrabina.

— I w to wątpię. Jestem już naprawdę przekonany o niezwykłym szczęściu tej świni. A jednak muszę go złamać, zgubić, zniszczyć, — głos jego, gdy to mówił drżał ślepą nienawiścią. Na jego przystojnej twarzy malował się wyraz szatańskiej wściekłości.

— Ach! — jęknął błędnie, przewracając gałkami ócz z bezsilnej złości. — Gdybym go dostał w moje ręce. Za tyle bezsennych nocy, za tyle strachu, za tyle zdrowia co mnie ten... i zaklął tu wielce nieparlamentarnie... — kosztuje, zadałbym mu takie męki, że tortury stosowane w średniowieczu, byłyby w porównaniu do moich, dziecinną igraszką.

Wyglądał w tej chwili strasznie. Jego szatańska teraz twarz robiła wrażenie upiornego widma. Był okropny, tak, że hrabina Anna podniosła się szybko i położyła mu ręce na ramionach.

— Karolu, uspokój się — zawołała przerażona. — Dostaniesz go w swe ręce, choćbym miała narazić się na śmierć... a pomogę ci. Nie denerwuj się tak strasznie. Dopóki jesteś na wolności on ci nic nie może zrobić. Powinieneś nawet być zadowolony. On na pewno nic nie wie. Tylko ty sugerujesz się. Masz przecież dowód, że nie zawahał się oddać w ręce policji Nicewa... i wiele innych. Ciebie jednak zostawia w spokoju. On o tobie nic nie wie. On cię tylko tak straszy. A ty głupiutki chłopcze przybierasz to sobie do głowy zanadto. Lepiej ubierajmy się już i chodźmy do Niebieskiego Ptaka. Może się dzisiaj nam poszczęści. Patrz, jest już godzina dziesiąta. Wiesz, że on przychodzi o jedenastej.

Pod wpływem jej rozumowań uspokoił się zupełnie. Może i ma rację. On na pewno nic nie wie. Przecież o ile go znam, poluje zawsze na sensację. A cóżby to była dopiero za sensacja, gdyby mnie aresztowano, Karola Borenia, kierownika wielkiego domu handlowego, kochanka hrabiny Kruszeńskiej, "Pięknego Karolka". Zna mnie przecież całe lepsze towarzystwo Warszawy. Jestem przyjacielem osób wysoko postawionych. Tak, hrabina Anna ma rację. Muszę trochę opanować swe roztrojone nerwy. Starzeją się widocznie.

Podszedł do lustra i przyczesał swe jasne włosy.

W niespełna dwadzieścia minut potem wchodzili w różowych humorach do przybytku zakazanych rozkoszy.

— — — — — — — — — —

Notariusz Czekański cicho zapukał do pokoiku Stasi Koreckiej.

Ubrany był bardzo elegancko. Wyglądał w tej chwili jakby odmłodniał o dziesięć lat. Jego sympatyczna twarz promieniała.

On pędząc swój żywot swobodnie i beztrosko, nie mający dużo zajęcia, nigdy nie pomyślał o stworzeniu ogniska domowego. Celibat nie ciężył mu wcale, przeciwnie czuł się nad wyraz doskonale.

Od zarania swego życia nie odczuwał nigdy braków materialnych. Pełnymi haustami wychylał czarę życia.

Brał od niego co tylko mogło mu ono dać.

Nie przechodził żadnych tragedii miłosnych. Tak się już jakoś ułożyło, że dziewczęta na które zwrócił uwagę były mu zawsze powolne. Miał szczęście do kobiet. Nie kochał ich nigdy. Pożądał je i brał... Perlistym szampanem tryskało z niego chęć przeróżnych uciech. Unikał drastycznych problemów życiowych. Ze wszystkich swych przygód miłosnych wychodził zawsze zwycięsko z jeszcze większą ochotą do dalszych.

Sentymentalnym nie był nigdy. Miał taką naturę, że nie szukał specjalnych emocji. Jemu wystarczyło wszystko to co mogło zaspokoić jego zmysły.

Był ambitny. Lubiał jak na niego spoglądały oczy innych. Będąc bogatym mógł sobie pozwolić nawet na filantropię. Zepsuty nie był. Na krzywdę innych nie lubiał patrzeć. Owszem wspomagał nawet.

To, że nieraz porzucona kochanka odchodziła od niego z płaczem i złamanym sercem, przyjmował na swój sposób. Kochankom swym płacił hojnie.

Interesy materialne szły zawsze po jego myśli. Miał do tego nawet spryt. Nie będąc giełdziarzem, grał na giełdzie i... wygrywał. Nie będąc kupcem, handlował... zyskownie. Będąc notariuszem... nie prowadził prawie kancelarii.

Miał swoich kilku klientów, którym raczej dla pozorów prowadził pewne interesy.

Z życia był zadowolonym.

I w tej chwili, gdy zapukał, był też zadowolonym. Wprawdzie żadna dziewczyna nie działała tak na niego jak Korecka Stacha. Dokładnie zdawał sobie z tego sprawę, że ona zrobi gwałtowny przełom w jego beztroskim życiu. Od chwili, gdy poznał to urocze dziewczę, zakochał się w niej jak student. Nie martwił się tym wcale, cieszył nawet, że nareszcie zazna rozkoszy ogniska domowego.

Albowiem Stasi Koreckiej, biednej jego pracownicy, czynił ten zaszczyt, że postanowił ją poślubić.

Aczkolwiek przeważnie wobec innych osób uważał się za pesymistę, był jednak urodzonym optymistą.

Optymizm życia ujawniał się w tej chwili w jego promieniejącej szczęściem twarzy.

W swej zarozumiałości mawiał nawet, że Stacha Korecka już zakochała się w nim.

Przyjmowała prezenty, była dla niego nader uprzejma, nieraz nawet zawstydzona.

Zdezorientował go trochę popołudniowy wypadek zasłabnięcia Stachy.

W pierwszej chwili myślał, że nagła słabość spowodowana widokiem Zwidlicza, przejeżdżającego w towarzystwie Rity Znamirowskiej... lecz Stacha sama wyprowadziła go z błędu.

Ostatnie zamachy, których padła ofiarą, poderwały jej zdrowie. Zrozumiałym zatem było dla notariusza Czekańskiego jej nagłe zasłabnięcie.

Wprawdzie lękał się trochę ewentualnej rywalizacji Zwidlicza... lecz i to wytłumaczył sobie na swój sposób.

Bo przecież on człowiek bądź co bądź na poważnym stanowisku. przystojny, do tego bogaty, był więcej stosowną partią dla biednej dziewczyny niż Zwidlicz.

Cóż z tego, że był on sławnym. Sława to jeszcze nie wszystko. Zresztą żywot jaki wiedzie Zwidlicz, nie odpowiada takiej dziewczynie jak Stacha Korecka.

Ona potrzebuje spokoju, uciech życiowych. A to tylko on jej dać może. Co jej dałby Zwidlicz. Wieczny niepokój, udrękę i nawet niedostatek. Jego dochody nie byłyby w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb takiej dziewczyny jak Stacha Korecka.

Ona potrzebuje oprawy aby błyszczeć, olśnić wszystkich swą pięknością.

Zwidlicz jej tego nie da. W najgorszym wypadku to mógłby ją nawet uczynić wdową. Nie ulega kwestii, że wcześniej czy później zabiją go gdzieś w ciemnym zaułku.

I z wyniku tych właśnie rozumowań na swój sposób w jak najradośniejszym nastroju, stał teraz przed drzwiami pokoiku Stachy.

Nie przypuszczał nawet, że w najbliższej przyszłości ten cały gmach, który tak misternie wypracował, pryśnie jak bańka mydlana... rozbije się, dając mu w zamian gorycz.

Już nazajutrz miał runąć z obłoków optymizmu na których bujał radośnie.

— — — — — — — — — — — — — —

Wejście pokojówki wyrwało Stachę z jej bezgranicznej rozpaczy nad marną znikomością uczuć ludzkich.

— Panienka płakała? — zapytała pokojówka z współczuciem w oczach na widok jej oczu zaczerwienionych od łez.

Stacha zmieszała się.

— Tak, — rzekła nabrzękłym od płaczu głosem.

— Jaka panienka jest nieszczęśliwa, — ciągnęła pokojówka. — Taka młoda i piękna, a już narażona na tyle niebezpieczeństw.

Stacha uczuła ulgę. Pokojówka myślała, że źródłem jej rozpaczy są zamachy, których padła ofiarą.

— Dziękuję ci Julio za okazane współczucie, — powiedziała. — A teraz pomóż mi przebrać się w wieczorową suknię. Idę z panem notariuszem do teatru.

Zręczna pokojówka szybko zakrzątnęła się wokoło ubierania Stachy. Nie upłynęło jeszcze pół godziny a była gotową do wyjścia.

Podczas ubierania, myśl jej ustawicznie krążyła wokoło osoby Zwidlicza. Nie mogła pogodzić się z tym, aby on był na tyle złym człowiekiem i potrafił igrać z nią, grając niecną komedię.

Narzuciło się jej mnóstwo wątpliwości... Przecież nie zobowiązywał się względem niej niczym. Działał w jej sprawie bezinteresownie. Nie powiedział, że ją kocha. Nawet nie starał się z nią flirtować, jakby to uczynił inny mężczyzna na jego miejscu. Cóż z tego, że powiedział, że jest piękna... że głos jej jest czarujący. Wszak, gdy to mówił w pięknych jego oczach widniał szczery zachwyt. Jego dźwięczny głos miał w sobie tyle cech prawdy. Mógł nawet w ów pamiętny wieczór pocałować ją. Nie uczynił tego. Zadowolił się chwilowym przetrzymaniem jej dłoni. Jego gorący, trochę przydługi pocałunek, czuła jeszcze.

Spojrzała na wierzch swej wąskiej białej rączki, jakby miała zamiar upewnić się, czy nie pozostało śladu.

Jakże w owej chwili była szczęśliwą. Jego bliska wówczas obecność spłynęła na nią jak fluid ożywczy. Serce biło przyspieszonym tętnem trzepocąc się silnie jak ptaszyna na uwięzi. To wyrywał się okrzyk radosny... miłości. Swym instynktem duszy kobiecej czuła, że Zwidlicz ją kocha.

Jakże okrutnie padła ofiarą pomyłki. Nie kochał jej. Gdybyż było inaczej na pewno nie omieszkałby skorzystać z każdej nadarzającej się sposobności, aby być przy niej w pobliżu.

Wolał swe wolne chwile wykorzystać przy boku pięknej artystki.

Powszechnie uwielbiona, sławna Rita Znamirowska mogła mu dać wszystko, począwszy od pięknego ciała aż do upojenia triumfem z posiadania ogólnie pożądanej kobiety. Nie lada zaszczytem mogła być pewność posiadania najsławniejszej primaballeriny, na której zazdrośnie spoczywały tysiące ócz.

A cóż ja mu mogę dać, prócz gorącej miłości i szczerego oddania. Jestem biedną wiejską dziewczyną.

Ciche pukanie oderwało Stasię od ponurych myśli.

— Proszę, — zawołała swym dźwięcznym miłym głosem.

Teraz na jej pięknej twarzyczce nie było nic śladu dopiero co przeżytych silnych wzruszeń duchowych.

Na progu ukazał się promieniejący radością notariusz Czekański. Patrzył na nią z zachwytem.

Ubrana w ciemną obcisłą sukienkę, która doskonale uwydatniała jej przeczystą piękność, była cudownym zjawiskiem Madonny, która zstąpiła na ziemię po to, aby swą niebiańską pięknością oczarować, olśnić każdego. Jak świetlista aureola, promieniowały jej złociste, pofalowane włosy.

W niemej ekstazie, spoglądał notariusz na jej przejrzyste, jak pogodny błękit nieba, lazurowe oczy.

Jak wiośniana postać miała w sobie coś ze wschodzącej jutrzenki, zwiastującej słoneczny dzionek.

— Panno Stacho, — rzekł notariusz drżącym głosem. — Muszę pani powiedzieć, że jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką udało mi się spotkać w życiu.

Lekka chmurka przysłoniła białe czoło Stasi.

Notariusz zauważył to.

— Proszę nie mieć do mnie urazy za te słowa. Nie mogłem się powstrzymać od oddania należnego pani hołdu, — i na jego sympatyczną twarz wypłynął rozbrajający uśmiech.

— Stajesz się pan romantycznym, — powiedziała Stacha, wypogodziwszy czoło. — Nie spostrzegłam u pana nigdy sentymentu.

Notariusz nic nie odpowiedział, podszedł do fotelu i podjął uprzednio przygotowane futro Stasi.

W kilkanaście minut siedzieli w loży pierwszego piętra w sali dużej Opery warszawskiej.

Grano Halkę. Stacha znała treść sztuki... lecz nigdy nie była na przedstawieniu.

Odgrywająca się na scenie akcja, była odźwierciadleniem jej duszy.

Nie tragiczną miłość Halki porównywała do siebie, lecz jej cierpienia wzgardzonego uczucia.

Jeszcze więcej podziałały na nią uczucia nieodwzajemnionej miłości Janosika.

Jego śpiew wyrywający się z duszy artysty... Szumią jodły na gór szczycie... płynął niby skargą poprzez niebotyczne szczyty Tatr, pokryte wiecznym śniegiem, niby całunem niewinności.

Powstrzymując wyrywające się z piersi łkanie, cierpiąc na równi z bohaterami, ze łzami cisnącymi się do ócz, słuchała końcowej tragicznej sceny, wzgardzonej i czystej miłości Halki i Janosika.

Jak we śnie opuściła teatr. Tragedia dwojga złamanych serc wstrząsnęła nią do głębi.

Notariusz nie przerywał zadumy Koreckiej. Mimo, że sztukę znał już dobrze, jednak podziałała i na niego. Więcej może nawet niż mógł

przypuszczać. I on był zakochany. Zrozumiał teraz ból miłości.

Wsiedli w milczeniu do auta.

— Może poniechamy na dzisiaj planowanej wycieczki do Niebieskiego Ptaka, — rzekł.

Stacha drgnęła.

— Nie! — zawołała. — Właśnie teraz więcej niż przedtem mam ochotę. Po tej tragedii, czuję potrzebę rozrywki. Nie mogłabym usnąć. Jestem do głębi przejętą sztuką.

— Do Niebieskiego Ptaka, — krzyknął notariusz do szofera.

W milczeniu dojechali. Szofer zatrzymał się przed rzęsiście oświetlonym wejściem.

Elegancko ubrani panowie, wytwornie odziane kobiety znikali za oszklonymi drzwiami.

Notariusz prowadząc Stasię Korecką, zatrzymał się w garderobie. Złożyli wierzchne okrycia.

Weszli do kabaretu.

— — — — — — — — — — — —

Zwidlicz odświeżony i wypoczęty po niebezpiecznym starciu z Maksem wszedł wolno na salę do Niebieskiego Ptaka.

Czuł jeszcze lekki ból głowy od niespodziewanego ciosu, jaki otrzymał od Maksa.

Zimny okład, który mu zrobiła troskliwa gospodyni, zapobiegł spuchnięciu.

Patrząc na niego jak ze spokojem zrównoważonego gentlemana postępował między rzędami licznie zajętych stolików przechodził, niktby nie powiedział, że przed niespełna trzema godzinami toczył śmiertelną walkę.

Jego bystry wzrok błądził niby od niechcenia po twarzach licznych gości pana Augusta. Ktoby jednak pomyślał, że tylko wiedziony zwykłą ciekawością jego wzrok ślizga się po twarzach siedzących ludzi... byłby w błędzie.

Wystarczył mu ułamek sekundy, aby przeniknąć do głębi czyjąś twarz. Jego wszystkie nerwy były w największym napięciu.

W drodze natknął się na uprzejmego gospodarza. Po zwykłej wymianie grzeczności z uradowanym panem Augustem szepnął do niego cicho, tak, że tylko pan August mógł go usłyszeć.

— Niech pan się dalej śmieje. Nikt nie powinien zauważyć, że coś mówię do pana.

— Za pięć minut, jak zajmę stolik, proszę do mnie przyjść i powiedzieć głośno, tak... aby wszyscy słyszeli, że Rita Znamirowska pragnie się ze mną widzieć. — Mówił cicho, nie poruszając prawie wargami. Wzrok jego błądził po upatrzonym suficie sali.

— Proszę mówić do mnie głośno, co się panu podoba, — dodał.

Panu Augustowi nie trzeba było nawet mówić, paplał jak najęty. W końcu złożył szarmancki ukłon przed Zwidliczem i podsunął mu zgrabnie krzesło i odszedł.

Zwidlicz powoli zaczął pić ożywczy szampan. Sala była przepełniona po brzegi. Wszystkie stoliki były wprost oblężone. Spóźnieni goście odchodzili z braku miejsc.

O trzy kroki od Zwidlicza był wolny stolik. Widniała na nim kartka z napisem "Zamówiony".

Podchodzili do niego ludzie po to, aby dowiedzieć się z ust stojącego w pobliżu kelnera że stolik ten jest już obstalowany.

Wsparte na krawędzi stolika były dwa krzesełka.

— Na dwie osoby, — pomyślał Zwidlicz. — Ciekawym kto to zamówił? Musiał być to dobry klient pana Augusta, gdy nie zawahał odmówić się zajęciu go znanym Zwidliczowi, niektórym ludziom, którzy potrafili pozostawić dużo banknotów, powiększając i tak szalone zyski gospodarza.

Wkrótce inna myśl zaobserbowała go zupełnie. Spod oka obserwował siedzących naprzeciw niego trzech mężczyzn ubranych w smokingi.

Jeden robił wrażenie uczonego, drugi mógł być urzędnikiem państwowym na emeryturze, trzeci dobrodusznym ziemianinem o olbrzymim czerwonym nosie.

Wprawdzie wzrok Zwidlicza ślizgał się po przechodzących ludziach szerokim przejściem.

Nagle drgnął. Wstrzymał oddech od zdumienia.

Szerokim przejściem, prowadząc pod rękę, szedł wolno notariusz Czekański z Stachą Korecką.

Notariusz był w wesołym nastroju i oddawał liczne ukłony na obydwie strony.

Spojrzenia licznych mężczyzn biegły z zachwytem za wiotką sylwetką Stachy Koreckiej.

Ona uśmiechała się przyjaźnie do notariusza. Ze swobodą światowej kobiety przechodziła, rozglądając się ciekawie wokoło.

Na ułamek sekundy utkwiła swój wzrok w zdumionej twarzy Zwidlicza. Twarz jej lekko pobladła... opanowała się.

Zajęli miejsce przy stoliku obstalowanym. Z zazdrością spoglądali mężczyźni na notariusza.

Tak pięknej kobiety, nie było jeszcze w wesołych salonach Niebieskiego Ptaka.

Notariusz Czekański zamówił drogie potrawy i przednie wina, od czasu do czasu pytając się Stachy Koreckiej o zdrowie.

Odpowiadała mu z czarujących uśmiechem.

Siedzieli bardzo blisko Zwidlicza. Słyszał prawie słowo w słowo prowadzoną rozmowę.

Po uskutecznieniu zamówień, notariusz podniósł wzrok.

Zwidlicz złożył mu sztywny ukłon w jego stronę, nie patrząc wcale na Stasię Korecką.

Notariusz odwzajemnił się tym samym.

Zwidlicz rzucił przelotne spojrzenie na Stachę Korecką. Ukłonił się jej sztywno. Prawie niedostrzegalnie skinęła mu głową. Urocza jej twarzyczka pobladła.

Zwidlicz uczuł po raz pierwszy dziwne uczucie.

— Czyżby to była zazdrość? — zapytał się w duchu...

Nie zdążył dać sobie odpowiedzi... bowiem usłyszał obok siebie głos pana Augusta.

— Panie Zwidlicz! Oczekuje pana u siebie w garderobie nasza urocza Rita Znamirowska. Pragnie z panem pomówić.

Stosownie do życzenia reportera, mówił głośno.

Wściekłym wzrokiem spojrzał na pana Augusta.

Spojrzał szybko na Stasię. Twarz jej była śmiertelnie blada. Wzrok pełen niemego bólu utkwiła w jego twarzy.

Miał wielką ochotę grzmotnąć pana Augusta, za jego rozściągłą gadatliwość.

Wściekły był na siebie. Na wszystko dokoła. Opanował się szybko.

— Idę z panem, — rzekł spokojnie do zdumionego gospodarza jego chwilowym roztargnieniem.

Powstając kopnął nogą tak silnie gospodarza, że ten ryknął z bólu.

— Śmiejże się bałwanie, — szepnął do niego. Jednocześnie pomyślał z goryczą. — Nawarzyłem sobie piwa. Muszę teraz pić.

Wszystko to stało się tak szybko, że obserwujący tę scenę nie zdążyli nawet dokładnie zauważyć dziwnego zachowania Zwidlicza.

Potraktowany przez reportera w tak brutalny sposób, pan August uczynił grymas, który miał być podobny do uprzejmego uśmiechu.

Zwidlicz pchnął go lekko przed siebie i nie oglądając się ruszył szybko za panem Augustem, który już teraz szedł zupełnie opanowany paplając jak zwykle.

Zatrzymali się przed garderobą artystki.

— Ty idioto, — ryknął Zwidlicz ze złością zwracając się do ogłupiałego gospodarza. — Po co to było... u siebie w garderobie.

— Nie rozumiem... ja... ja... jąkał zmieszany gospodarz.

— I nie zrozumiesz, — powiedział do niego Zwidlicz z pasją.

— No, nie gniewaj się, — dodał spokojnie, — wynagrodzę ci za to. Nikomu ani słówka o tym, nawet swemu ukochanemu skarbowi... i zapukał do drzwi garderoby artystki.

Gospodarz kiwając z ubolewaniem głową na niepanującą nad swymi nerwami dzisiejszą młodzieżą i odszedł.

Zwidlicz zabawił u Rity około dziesięciu minut. Potem wyszedł i zamiast skierować się na salę, poszedł na boczne schody używane przez artystów i znikł w mrokach ulicy.

Trzej mężczyźni zaobserwowani przez Zwidlicza, siedzący naprzeciw jego stolika, prowadzili przyciszoną rozmowę.

— Grucha! — szepnął emerytowany urzędnik, który w rzeczywistości był przebranym Heskim. — Czy jesteś pewny, że trafisz? Nie zadrży ci ręka w ostatnim momencie?

— Znasz mnie przecież, — odparł również szeptem Grucha, przebrany za dobrodusznego ziemianina. — Wiesz, że trafiam w asa, bez długiego mierzenia. Na wiosnę strzelałem do jaskółek w locie.

— Heski, on mówi prawdę, — ozwał się Kościelec, ucharakteryzowany za uczonego. — Można na nim polegać. Nie jeden mistrzowski strzał padł z jego niezawodnej ręki. A ten gazeciarz ani zipnie. Grucha pamięta doskonale, odebrane cięgi za niego.

Wspomniany przez Kościelca, zgrzytnął zębami ze złością.

— Już mi ręka nie zadrży, — rzekł Grucha z szatańskim wyrazem.

Trącili się kieliszkami napełnionymi złocistym koniakiem.

Na środku stolika stała dumnie flaszka ozdobiona trzema gwiazdkami.

Do Zwidlicza siedzącego przy stoliku podszedł pan August.

Usłyszeli jak go zapraszał do garderoby Rity Znamirowskiej.

— Ocho, żeby nam tylko nie zwiał, — szepnął zaniepokojony Kościelec.

— Nie zwieje! — uspokoił Heski. — Miała dopiero jeden występ. Jeszcze ma dwa numery. Za pół godziny jest jej drugi numer. Zabawi u niej do występu. Potem powróci. Piegowaty siedzi przy wyjściu, zobaczy jakby miał zamiar opuścić.

Ponowna kolejka poprawiła ich humory.

Siedzieli w milczeniu.

Każdy zajęty był swymi interesami.

— O! — wykrzyknął cicho Heski.

Spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

Patrzał przed siebie z głową odwróconą w lewą stronę.

—Pobiegli za jego spojrzeniem.

— Co się stało? — zapytał Grucha.

— Nie patrzcie się tak głupio na nich, — ozwał się Heski, odrywając wzrok od stolika.

Przy tym stoliku siedział notariusz Czekański w towarzystwie Stasi Koreckiej.

—Ta dziewczyna, — zaczął Heski, — to moja dobra znajoma. Dwa razy otrzymałem przez nią cięgi od Zwidlicza.

— Czy to ta, którą on chce mieć? — zapytał Grucha.

— Właśnie.

— Wiecie co, mam plan, — mówił Heski. — On ją chce mieć koniecznie. Co byście na to powiedzieli, jak byśmy mu ją dostarczyli. Na pewno by się nam to dobrze opłaciło.

— Możemy spróbować, — wtrącił Kościelec.

— Więc słuchajcie! Jak nam się powiedzie z tym gazeciarzem, zabierzemy się do dziewczyny. Tutaj będzie ogólna panika. Wiecie, że mamy czekać na znak od Piegowatego. Wtedy Grucha strzeli do gagatka. Kartka mówi wyraźnie, że ma się to stać w chwili występowania Rity. Wszystkie spojrzenia będą na nią zwrócone. Nikt nie spostrzeże, jak Piegowaty podejdzie do głównego kontaktu. Na odgłos strzału zgasi światło. My zwiejemy. Podczas zamieszania nikt nas nie zatrzyma. Drogę przejdziemy w ciemności. Znamy ją doskonale. Wszyscy będą wiać aż się za nami będzie kurzyło. Z Piegowatym spotkamy się w samochodzie... lecz zamiast uciekać, porozumiemy się z nim szybko i on zaczeka ze swym samochodem, nikogo nie biorąc. Dopiero, gdy wyjdzie notariusz z dziewczyną, podjedzie po nich. Jak dwa razy dwa jest cztery, tak oni muszą skorzystać z jego samochodu. On jest sprytny. Da sobie radę między innymi samochodami. Wiem jakimi ulicami będzie musiał przejeżdżać. Na jednej z nich my już będziemy czekać. Piegowaty zatrzyma auto. Notariusz dostanie w czaszkę. Dziewczynę porywamy i... forsa jest.

— Jakie to proste i łatwe. Prawda? — zakończył Heski.

— Byczo, — zawołał wesoło Kościelec.

— Masz głowę na karku, — wtrącił Grucha z podziwem.

I towarzysze znów trącili się koniaczkiem z trzema gwiazdkami.

## ROZDZIAŁ XI

Silne wrażenie, jakiego Stacha doznała na widok zapełnionej sali, rojącej się od wyfraczonych mężczyzn i wydekoltowanych kobiet, przysłoniła głąb smutku nurtującą jej duszę.

Beztroska radość, wnikająca atmosfera bajecznie kolorowej sali, szalony rytm muzyki, pozwoliły zapomnieć o dopiero co widzianej tragedii.

Jej własna boleść przeobraziła się w senną zmorę, o której się zapomina z nastaniem pięknego poranku.

Pogodnym wzrokiem wodziła po twarzach nieznanych ludzi, po całkowitym urządzeniu. Wszystko to co ją teraz otaczało, było jej nieznanym. Każdy dostrzeżony szczegół, skupiał uwagę Stachy.

Doskonałe wychowanie, jakie odebrała od hrabiny Korczyńskiej, obecnie uwydatniło się bardzo jaskrawo oczom zachwyconego notariusza Czekańskiego.

Stacha Korecka nie wyglądała na młodą, naiwną dziewczynę zachwycającą się wszystkim z dziewiczą radością.

Podziwiał w duchu swobodne zachowanie, pewność siebie, uprzejmą wyniosłość. Stacha była w każdym calu kobietą światową. Urodzoną arystokratką. Błękitna krew, która płynęła w jej żyłach, nakazywała szacunek.

Duże jasne oczy Stachy przesuwały się powoli po kolumnach podpierających rzeźbiony sufit.

Gipsowe odlewy przedstawiły różnych bogów Olimpu.

Właśnie utkwiła spojrzenie w ciężko zwisającej kurtynie, gdy podświadomie uczuła utkwiony w siebie czyjś wzrok, który zdawał się oddziaływywać na nią magnetyzująco.

Opuściła powoli powieki i... pobladła... Zobaczyła zdumione spojrzenie ciemnych oczu Zwidlicza.

Nie chciała się przyznać do tego, że nie prosta ciekawość wiodła ją do Kabaretu. Chciała zobaczyć Zwidlicza. On był. Spodziewała się jego obecności. Jednak zobaczywszy go nagle, nie mogła powstrzymać wzruszenia. To było za silne dla jej wrażliwej natury.

Całą siłą woli zmuszała się do odzyskania poprzedniej równowagi, niezupełnie się powiodło. Na tyle uzyskała zimną krew, że mogła swobodnie rozmawiać z notariuszem.

Usiedli.

Ukradkiem obserwowała Zwidlicza. Jak ona pragnęła znaleźć się u jego boku. Wspomniała sobie moment, gdy notariusz wszedł po nią, zatrzymał się olśniony jej pięknością. Zadowolona była z tego.

Przez moment dostrzegła ten sam błysk olśnienia w oczach zdumionego Zwidlicza.

Sprawiło to Stasi niewysłowioną radość.

Ukłonił się... lecz jakże chłodnym był jego ukłon, jakiś dziwny mróz bił od niego.

Czekała na tę chwilę. Chciała go obdarzyć jednym ze swych najczarowniejszych uśmiechów.

Ostry ból przeniknął ją do głębi.

Odwzajemniła mu się pięknym za nadobne.

— Dlaczego nie przychodził powitać ich? Znali się przecież. Zdawało się jej nawet, że od dawna. Siedział samotny. Nic go przecież nie krępowało.

Tak była zaabsorbowana tymi myślami, że zupełnie zapomniała o Ricie Znamirowskiej.

Spostrzegła jak podszedł do Zwidlicza jakiś tęgi łysy mężczyzna.

Gdy usłyszała jak zapraszał Zwidlicza, zupełnie jawnie do garderoby artystki, czuła, że wszystka krew zbiegła z jej twarzy.

Wszystko poczęło wirować przed oczyma. Myślała, że zemdleje. Nadludzkim wysiłkiem opanowała się. Cierpiała teraz strasznie. Nadwątlone nerwy odmawiały posłuszeństwa.

Siedziała na pół martwa.

Z odrętwienia wyrwał ją głos notariusza.

— Niech się pani napije kieliszek wina. Jest pani bardzo blada.

Podsunął napełniony kieliszek mieniącym się kolorami tęczy szampanem.

Szybko wychyliła podane wino.

Podziałało na nią ożywczo. Niby ognistą lawą wtargnął szampan do jej żył. Rozkoszne ciepło rozpłynęło się po całym ciele.

— Proszę nalać jeszcze jeden, — szepnęła cicho.

Wypiła drugi.

Notariusz spoglądał na nią z zaciekawieniem. Nie pytał o nic. Był najpewniejszy, że się powtórzyła nic nie znacząca słabość, jakiej już raz uległa.

Zaczął opowiadać liczne anegdotki. Jak z rogu obfitości sypał dowcipami.

Śmiała się nawet... jakżeż smutnym był jej uśmiech.

Świadomość, że Zwidlicz zupełnie jawnie utrzymuje stosunki z tą... kurtyzaną, zapierała jej oddech.

Miała niczym niezachwianą pewność, że chwilowy objaw sympatii Zwidlicza był niczym innym, jak jeno zwykłą uprzejmością człowieka dobrze wychowanego.

Nie miała nawet do niego żalu. Ten dziwny splot wydarzeń postawił go na jej drodze.

Z boleścią wspomniała beztroskie chwile, spędzone u boku ojca w rodzinnej wiosce.

Zawistny los zadrwił z niej okrutnie, wystawiając pierwsze uczucie gorącej miłości na tak straszną próbę.

Czuła, że ten moment zadecydował o przyszłości.

Marzenia i sny dziewicze uleciały hen... bezpowrotnie!

Promienne dni zgasły... na zawsze... Już nigdy nie zabłyśnie dla niej gwiazda szczęścia. Do duszy jej wkradła się głucha... ciemna noc.

Nie spostrzegła wznoszącej się kurtyny. Nie widziała rozkosznych pląsów Rity Znamirowskiej. Nie słyszała hucznych oklasków witających radośnie kuszącą diwę...

Notariusz Czekański siedział jak na rozżarzonych węglach. Malujący się smutek na uroczej twarzyczce Stasi Koreckiej nie dał mu spokoju.

Mówił do niej, uśmiechał się... na próżno. Nie słuchała nawet.

Daremnie szukał sposobu, aby ją odwlec jak najdalej od tej martwoty, dziwnego odrętwienia.

Ujął silnie jej dłoń.

Ocknęła się nareszcie. Spojrzała na niego tępym wzrokiem.

— Proszę spojrzeć na scenę. Tańczy Rita Znamirowska.

Na oddźwięk tego imienia, które poprostu rozpalonym żelazem wyryło się jej w pamięci... drgnęła.

Rzuciła spojrzenie na scenę.

Obraz jaki przedstawił się jej oczom wstrząsnął nią do głębi.

Pośród wonnego kwiecia w stroju kolorowego motyla, tańczyła Rita Znamirowska.

Rytmiczne poruszenia skrzydeł, zdały unosić piękną artystkę. Muzyka grała czarowne tango.

— Ależ ona jest śliczna, — szepnęła do notariusza.

— Wszyscy mężczyźni szaleją za nią, — dodał.

Spojrzała szybko na stolik, przy którym widziała Zwidlicza.

Stolik był pusty.

— Czeka na nią w garderobie, — pomyślała z goryczą.

Rzeczywistość zadała kłam jej przypuszczeniu.

W tej chwili właśnie Zwidlicz powrócił.

Przystojna jego twarz była spokojna. Nie spojrzał na Stachę ani razu.

Siedział zwrócony do niej profilem, który ostro zarysowywał się na ciemnym tle ściągniętych ciemnych portier zwisających po bokach sceny.

Piękna artystka płynęła w zmysłowym tańcu.

Na sali panowała ogólna cisza. Wszystkie spojrzenia utkwione były w kuszącej diwie, która w takt muzyki wirowała pomiędzy kwieciem.

Ogólną ciszę rozdarł huk wystrzału.

Stacha, która obserwowała Zwidlicza, zobaczyła, że podniósł się szybko, przechylił na bok i runął na podłogę.

Krzyknęła przeraźliwie i padła zemdlona.

Światła pogasły. Na sali zapanowała niczym nieprzenikniona ciemność.

Rozległ się krzyk i pisk mdlejących kobiet. Powstała ogólna panika. Wszyscy zerwali się ze swych miejsc.

Wśród tego zmoru i zgiełku rozległ się jakiś stentorowy głos:

— Proszę siedzieć na miejscach. Nic się nie stało.

Światła zabłysły ponownie.

Spojrzenia przerażonych gości zwróciły się w stronę skąd pochodził głos.

Na stole stał Zwidlicz. Był blady. Prawą ręką trzymał się za lewe ramię. Pomiędzy palcami widniała ciemna struga krwi. Biały gors koszuli był zalany krwią.

— Mały wypadek, — mówił spokojnie. — Sprawcy są zaaresztowani.

Wskazał ręką na środek sali.

Stało tam kilku policjantów trzymając wydzierających się Heskiego, Gruchę i Kościelca.

W pobliżu drzwi wyjściowych stało również kilku policjantów. Między nimi z pianą na ustach szarpał się Piegowaty.

Zwidlicz dał znak ręką.

Policjanci wyszli uprowadzając za sobą opryszków.

Po wyjściu policjantów, muzyka zagrała na nowo.

Rita Znamirowska wbiegła na scenę.

Przeważna część gości była przyzwyczajona do podobnych incydentów.

Zaszły wypadek nie uczynił na nich zbytniego wrażenia.

Oddali się nadal przerwanej zabawie.

---

Notariusz Czekański, na którego ten nieprzyjemny fakt podziałał deprymująco, nie spostrzegł nawet omdlenia Stachy.

Usłyszał jej przeraźliwy okrzyk... lecz w tym momencie zgasły światła.

Gdy zabłysły ponownie, uwagę jego zaabsorbował stojący na stoliku ranny Zwidlicz.

Odwrócił głowę. Teraz dostrzegł leżącą bezwładnie Stasię Korecką.

Podskoczył szybko i porwawszy kielich szampana wlał do zaciśniętych mocno ust nieprzytomnej, kilka kropel.

Zwidlicz również dostrzegł omdlenie Stasi.

Szybko zeskoczył ze stołu, podniósł zemdloną jeszcze mimo udzielonej pomocy przez notariusza i pobiegł z nią do pobliskiego gabinetu. Notariusz podążył za nimi.

W drodze krzyknął na siedzącego w towarzystwie dwóch kobiet młodego mężczyznę.

— Panie doktorze, proszę za mną.

Wezwany podniósł się i podążył w ślad za Zwidliczem.

Doktór zakrzątał się szybko koło nieprzytomnej.

Otwarła oczy.

Błędnym wzrokiem spojrzała na obecnych.

—Gdzie jestem? — jęknęła.

Wzrok jej padł na stojącego Zwidlicza.

W jednej chwili uprzytomniła sobie wszystko.

— Pan żyje! — zawołała słabym głosem, przepełnionym szczerą radością.

— Ale pan ranny. — Dostrzegła skrwawiony gors koszuli.

— Teraz panem muszę się zająć, — rzekł młody lekarz.

Następnie zwrócił się do Stachy.

— Pani będzie łaskawa posiedzieć tu jeszcze kilkanaście minut. Jest pani niesłychanie wyczerpana. W takim stanie nie może pani jeszcze jechać.

Skinęła głową w milczeniu.

Lekarz wyszedł w towarzystwie Zwidlicza.

Po dziesięciu minutach powrócili.

Młody lekarz zbadał raz jeszcze puls Stasi.

— Może pani już jechać do domu.

— Dziękuję panu za okazaną pomoc, — rzekła do lekarza i skinęła mu głową.

Zwidlicz podziękował doktorowi uściśnieniem ręki.

Po wyjściu lekarza, notariusz pomógł ubrać Stasi futro.

Podała Zwidliczowi zimną dłoń w milczeniu i w towarzystwie notariusza opuściła kabaret.

Zwidlicz pozostał sam.

— — — — — — — — — — —

Nie poszedł do domu. Udał się do sędziego Malińskiego.

Sędzia siedział przy biurku i pracował, gdy wszedł Zwidlicz.

— Mamy nowy połów, dzięki panu, — rzekł sędzia Maliński. — Jutro rano ich przesłucham.

— Jakże mi pana serdecznie żal! — dodał spoglądając na bladego Zwidlicza przyjaźnie. — Ranili pana. Zamach zatem był skie-

rowany na pana. Proszę mi opowiedzieć jak pan doszedł do przypuszczenia, że w kabarecie coś zajdzie.

Zwidlicz usiadł i podał sędziemu szczegóły:

Były następujące:

Zwidlicz od chwili otrzymania ostrzeżenia i zarazem groźby był nadzwyczaj przezornym.

Wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo. Z której strony mogło go ono ugodzić nie miał pojęcia.

W drodze do kabaretu przyszedł do przekonania, że to właśnie jest teren, który zapewne nie omieszka wykorzystać Tajemniczy Maks.

Postanowił zwracać pilną uwagę na obecnych. Nie przypuszczał, aby ten sprytny zbrodniarz uczynił błąd i nasłał na niego znanych mu ludzi. Popełnił ten błąd.

Gdy wszedł na salę pod pozorem zwykłej ciekawości badał twarze wszystkich obecnych.

Zaraz na wstępie spostrzegł nienawistny wzrok Karola Borenia. Siedział w towarzystwie hr. Anny Kruszeńskiej.

Nie spostrzegł tylko Piegowatego. Siedział przebrany za żyda w cieniu kolumny.

Doszedł już prawie do swego stolika, gdy rozpoznał momentalnie dość umiejętnie ucharakteryzowanego Gruchę za ziemianina.

Jego olbrzymi nos poznałby wszędzie. Siedział w towarzystwie dwóch innych.

Nadchodził właśnie gospodarz.

Wiedział, że gdyby próbował wyjść, nie omieszkałby natychmiast udać się za nim któryś z trójki.

Wpadł na pomysł. Nie miał innego pod ręką.

Kazał się wywołać do Rity Znamirowskiej.

To musiało uśpić czujność opryszków. Jednak było fatalne w skutkach dla niego samego. Na myśl mu nawet nie przyszło, aby Stacha Korecka mogła przyjść do kabaretu.

Stosownie do życzenia wywołał go gospodarz.

Niesłusznie nawet biedak ucierpiał przez niego.

Udał się do Rity. Miał zamiar zbyć ją kilkoma słowami.

Zatrzymała go dziesięć minut. Dopytywała się gdzie znalazł fotografię. Czwarty raz wypytywała go. Zawsze dawał jej odpowiedź, że znalazł w pobliżu stolika przy którym siedzieli.

Wyszedł od niej.

Zawiadomił sędziego Malińskiego. Wspólnie zarządzili tajną obławę. Mieli zamiar przyłapać tylko tych trzech ptaszków.

Zwidlicz nie życzył sobie niepokoić innych przedwcześnie.

Nie szło to po myśli jego planów.

W porozumieniu z przywołanym panem Augustem poumieszczał przybyłych policjantów w zamaskowanych miejscach sali.

Nie miał pewności po co przybyli do kabaretu. Chciał się przekonać naocznie.

Jak zobaczył Stasię Korecką, przypuszczał, że zamach szykuje się na nią.

Gdy powrócił dostrzegł wówczas przebranego Piegowatego. Nastawił pułapkę i na niego.

Znalazłszy się przy stoliku nie spuszczał wzroku z występnej trójki.

Przy dłuższej obserwacji poznał Heskiego i Kościelca.

Obserwowali go również. Czuli się w swych przebraniach całkiem pewnie.

Nie spostrzegli, że Zwidlicz ich ma stale na oku.

Podczas największego skupienia na sali, dostrzegł nagle, jak Grucha wydobył rewolwer i szybko skierował lufę na niego.

W jednym momencie zrozumiał wszystko.

Odrzucił się w bok. Lecz Grucha był szybszym od niego. Padł strzał. Uczuł piekący ból w lewym ramieniu. Lękając się powtórnego strzału runął na podłogę.

W tej chwili pogasły światła. Powstała ogólna panika. Usłyszał również przeraźliwy okrzyk Koreckiej.

Dałby się z rozkoszą zastrzelić teraz.

Trzymając rękę na broczącej silnie krwią ranie uspokoił publiczność.

Obawiał się tylko, czy policja wywiąże się dobrze z zadania.

Ponowne światło upewniło go, że sprawili się dzielnie.

Cała czwórka była w rękach policji.

Zabawił jeszcze u sędziego dobre pół godziny i wyszedł.

O czwartej nad ranem był w łóżku.

## ROZDZIAŁ XII

Zwidlicz z powodu otrzymanej rany, dostał w nocy silnej gorączki. Wezwany przez zatroskaną gospodynię lekarz, zbadał ranę. Kula przeszła na wylot pod lewym obojczykiem.

Zabandażował ranę i powierzył chorego opiece gospodyni.

— Nic mu nie będzie. Za dwa dni rana się rozklepi. Za tydzień będzie mógł wstać. Nie wcześniej, — powiedział do gospodyni i wyszedł.

Nazajutrz rano chciał powstać. Dotkliwy ból w ramieniu spowodowany tym poruszeniem, powalił go ponownie na poduszki.

Zafrasowana gospodyni czuwała koło niego bezustannie.

W swej zapobiegliwości wyłączyła nawet telefon. Obawiała się, że może zadzwonić ktoś do niego i wyrwać z łóżka.

Na drzwiach wejściowych powiesiła kartkę:

*Właściciel mieszkania wyjechał.*

Listonosz przeczytawszy treść kartki oddalił się.

Wywiadowca policji, który znalazł się przed drzwiami po południu odszedł również z niczym. Było jeszcze kilku interesantów, wszystkich odstraszyła widniejąca na drzwiach kartka.

Naczelny redaktor Kamiński nie mógł się dodzwonić.

Sędzia Maliński również.

Sprytna gospodyni izolowała pupila od świata zewnętrznego zupełnie.

Tymczasem chory po nieudałej zacnej próbie podźwignięcia się z łóżka, spał snem gorączkowym.

Prześladowała go blada twarzyczka Stasi Koreckiej.

Rzucał się w łóżku niecierpliwie przez sen.

O godzinie czwartej popołudniu otworzył oczy.

Gorączka opadła.

— Proszę mi podać nadeszłą pocztę, — rzekł słabym głosem do siedzącej gospodyni.

— Nic nie było proszę pana, — odparła bez wahania gospodyni.

— Ciekawe! — szepnął i zamilkł.

— Wobec tego proszę mi podać nadeszłe dzienniki, — odezwał się po chwili.

— Nic panu nie dam. Lekarz zabronił. Musi pan być posłusznym. — odparła stanowczo.

Uśmiechnął się blado do gospodyni.

— Jesteś bardzo kochaną Praksią — szepnął i przymknął oczy. Oddał się sennym marzeniom i usnął ponownie.

Kierownikiem Urzędu śledczego był słynny młody aspirant Marian Górski. Należał on do ludzi bardzo zręcznych, lecz brak mu było wytrwałości, a przy tym cechował go nieraz dziwny upór. Jeśli zgubił jakiś trop, nigdy do sprawy nie powracał. Szczycił się niepospolitą odwagą i zimną krwią. Nic nie było w stanie zachwiać jego równowagi.

Mimo szczupłej powierzchowności, obdarzony siłą Herkulesa, nigdy nie zawahał się przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem. Podczas obław nocnych brał zawsze czynny udział w łapaniu złoczyńców. Na całą Warszawę był ich postrachem.

Właściwością jego było to, że umiał w pierwszej chwili po odkryciu zbrodni i po dokładnym obejrzeniu terenu wyrobić sobie zdanie, które zazwyczaj było trafnym.

Jasny blondyn o szarych oczach, był lubianym przez współpracowników jako też i podwładnych.

Siedział przy biurku z wzrokiem utkwionym w dal i bębnił palcami w takt marsza.

W służbistej postawie stał w pośrodku gabinetu, wywiadowca policyjny.

— Mówi pan, że reporter Zwidlicz wyjechał, — odezwał się do stojącego.

— Tak jest panie kierowniku.

— Hm... to ciekawe, — mruknął Górski. — Był przecież raniony. Gdzieżby mógł wyjechać. O ile go znam nigdy nie wywiesza obwieszczeń, że wyjeżdża. Telefon wyłączony. Coś mi się to wszystko zaczyna nie podobać. Muszę się sam przekonać.

Skinieniem ręki odprawił wywiadowcę i zagłębił się w akta jakiejś sprawy.

— Tak! —monologował. — Tylko on może rzucić jakieś światło. Dziwny zbieg identyczności nazwisk, Zygmunt Korecki... Stacha Korecka. Cóżby to mogło znaczyć. Sędzia Maliński nic mi nie może wyjaśnić. Kazał się porozumieć ze Zwidliczem. A tego jak na złość nie ma w domu. Zaczynam przypuszczać, że bez pomocy Zwidlicza nie poznam się wogóle z tą sprawą.

Spojrzał na zegarek. — Siódma.

— No pójdę spróbować szczęścia. Może ja go zastanę, — pomyślał.

Ubrał swój służbowy płaszcz z odznakami policyjnymi i wyszedł.

— "Właściciel mieszkania wyjechał", — czytał aspirant Marian Górski, gdy zatrzymał się przed drzwiami mieszkania Zwidlicza.

— Rzeczywiście, — pomyślał. — Ranny, dokąd on mógł wyjechać. A może ma zamiar izolować się od świata zewnętrznego z powodu rany.

Nie chciał pukać do pustego mieszkania, jak przypuszczał. Po chwilowym namyśle zapukał energicznie.

Usłyszał wyraźnie jakieś poruszenie.

— Więc jest, — pomyślał z radością.

Zapukał ponownie jeszcze energiczniej.

Drzwi się otwarły. I aspirant Górski spotkał się ze wściekłym spojrzeniem gospodyni Zwidlicza.

— Nie ma pana w domu, — rzekła szorstko.

Aspirant Górski domyślił się, że kłamie.

Gospodyni Zwidlicza znała go jako serdecznego przyjaciela Zwidlicza.

Dlaczego wzbrania mu widzenia?

— Jestem pewny, że jest, — powiedział stanowczo. — Sam mię tu zamówił.

Gospodyni zdała się namyślać, lecz aspirant Górski odsunął ją lekko ręką i wszedł do mieszkania.

Nie sprzeciwiała się już.

Górski nie spostrzegł Zwidlicza w pokoju.

— Acha, ranny! — Pewnie w łóżku, — i pobiegł do sypialni.

Z otwartymi oczami, leżał na poduszkach Zwidlicz.

Twarz jego była blada. Znać było na niej ślady gorączki.

— Moje współczucie i zarazem powinszowanie, — zawołał uradowany aspirant Górski na widok przyjaciela.

Zwidlicz uśmiechnął się blado.

— Przyszedłeś w samą porę, — rzekł. — Zaczynałem się już nudzić. Mam też kilka próśb do ciebie.

— Jak to? — zawołał zdumiony Górski. — Nie gniewasz się, że wtargnąłem do ciebie. — I opowiedział mu, jak próbował się z nim rozmówić i to nie tylko on ale inni bezskutecznie.

Zwidlicz wysłuchał go w milczeniu.

Z niemym wyrzutem spojrzał na stojącą w drzwiach zmieszaną gospodynię.

— Pan taki chory, — jąkała staruszka. — Ja... ja nie chciałam aby pan, aby pana... odwróciła się szybko i wyszła.

— Zatem masz do mnie jakąś sprawę, — rzekł Zwidlicz i uniósł się na poduszkach.

Aspirant Górski zamiast odpowiedzi, sięgnął ręką do kieszeni płaszcza i wydobył nadzwyczajny dodatek Kurjera Warszawskiego i podał reporterowi.

Zwidlicz rozwinął gazetę.

"Tajemnicze morderstwo w hotelu Argońskim."

Były to pierwsze słowa dodatku. Pod tym nadrukiem czytał:

"Wczoraj o godzinie jedenastej wieczorem w hotelu Argońskim zjawił się starszy, wytwornie odziany mężczyzna i zażądał pokoju. W księdze meldunkowej wpisał się pod nazwiskiem Zygmunt Korecki. Kapitalista. Przybył z Ameryki Północnej. Zarządzającemu wydał polecenie, aby zbudzić go o godzinie wpół do dziewiątej rano. Zamieszkał w pokoju numer 112.

Stosownie do życzenia Zygmunta Koreckiego nazajutrz rano udał się posługacz hotelowy Franciszek Orkan i zapukał do drzwi pokoju numer 112. Nikt nie odpowiedział z wewnątrz. Zapukał jeszcze kilkakrotnie i to dość głośno. Przypuszczał, że gość śpi snem bardzo twardym. Dopiero, gdy na głośne dobijanie nie otrzymał odpowiedzi, zeszedł na dół i dał znać zarządzającemu. Zaciekawiony zarządzający udał się osobiście celem sprawdzenia. Interwencja jego nie odniosła pożądanego skutku. Fakt ten zaniepokoił go i po części przeraził.

Po stwierdzeniu, że gość spod numeru 112 nie opuścił wcale swego pokoju, obawiając się zbrodni, a co najmniej wypadku, telefonicznie zawiadomił Komisariat Policji Państwowej.

Na skutek doniesienia, przybył kierownik Komisariatu pan Filipowicz Michał. Po bezowocnej próbie otwarcia pokoju, rozkazał przysłać ślusarza z narzędziami.

Przywołany ślusarz, dobranym wytrychem otworzył drzwi.

Widok pełen grozy przedstawił się oczom tych, którzy wtargnęli do pokoju.

Tuż przy stole na dywanie w ciemnej kałuży krwi leżał Zygmunt Korecki. W piersi tkwił sztylet zagłębiony po rękojeść.

Był to mężczyzna lat około sześćdziesiąt liczący, o dość krępej budowie ciała. Twarz bez zarostu starannie ogolona. Włosy miał szpakowate uczesane do góry.

Ubrany był w nocną ciemną pyżamę i cienki jedwabny szlafrok.

Na miejsce zbrodni przybyli sędzia śledczy Michał Maliński i znany kierownik Urzędu śledczego aspirant Marian Górski.

Po sporządzeniu wstępnych protokółów, fotograf dokonał kilka zdjęć fotograficznych z pozycji trupa. Ciało zamordowanego przewieziono do prosektorium.

Z pokoju zamordowanego nic nie zginęło, według tego co na razie zdołano ustalić. Biżuteria, klejnoty i pieniądze w dość znacznej sumie pozostały nietknięte.

Według relacji lekarza policyjnego śp. Zygmunt Korecki został zamordowany między godziną siódmą a ósmą rano.

Po dokonaniu badań daktyloskopijnych pokój opieczętowano i przekazano do dyspozycji władz sądowych.

Mordercy na razie nie schwytano. Cała sprawa przedstawia się nader tajemnicza.

Dalsze wyniki śledztwa nie podano, ze względu na tok sprawy. Policja jest już na tropie mordercy.

O dalszych szczegółach nie omieszkamy zawiadomić natychmiast naszych P. T. Czytelników".

Aspirant Górski śledził w milczeniu kamienny wyraz twarzy Zwidlicza.

— A to łotr! Teraz rozumiem! — krzyknął zgrzytając zębami i odrzucił ze złością gazetę.

— Co rozumiesz? — zapytał Górski.

— Zaraz ci objaśnię. — W kilku krótkich słowach opowiedział Górskiemu o wtargnięciu Maksa do jego mieszkania i kradzieży kablogramu.

— Skąd się mógł dowiedzieć, że wysłałem kablogram do Ameryki, na razie nie wiem. Gdybym był wczoraj nie zlekceważył sprawy, może udałoby mi się zapobiedz zbrodni, — dokończył Zwidlicz z głuchą rozpaczą.

— Nie możesz znów brać na siebie odpowiedzialności, — uspokoił go Górski. — Biegnę teraz do Urzędu Pocztowego i przyniosę odpis kablogramu, — dodał i szybko wyszedł.

Zwidlicz pozostawszy sam raz jeszcze przeczytał dokładnie opis zbrodni. Długo się zastanawiał i analizował wszystkie szczegóły od początku, gdy powrócił aspirant Górski.

Podał mu odpis kablogramu.

Zwidlicz czytał:

*Zygmunt Korecki wzrost metr siedmdziesiąt dwa centymetry. Krępy. Włos szpakowaty. Twarz gładko golona. Urodzony w Polsce. Lat 59. Przybył do Stanów Zjednoczonych w r. 1896. Ośm lat był poszukiwaczem złota na Alasce. W r. 1905 odkrył żyłę złota w Dawson City. Majątek około czterdziestu milionów dolarów, zdeponowany w gotówce i papierach wartościowych w banku Angielskim na miesiąc przed wyjazdem do Polski. Wyjechał z Ameryki 20 października, b. r. W ślad za Zygmuntem Koreckim podążył znany oszust i złoczyńca międzynarodowy rodem z Polski Tadeusz Jasiński. Przez trzy miesiące sprawował czynności szofera Zygmunta Koreckiego pod nazwiskiem "Teddy" Jackson. Tutejsza policja dopiero w ostatnim momencie padła na trop Jasińskiego alias Jacksona. Wydane zarządzenia w celu ujęcia go spełzły na niczym. Ostrzega się przed nim. Niski, szczupły blondyn. Twarz pociągła bez zarostu. Włosy rzadkie. Nos proporcjonalny. Na podbródku z lewej strony blizna od cięcia nożem. Prawy kciuk do połowy urwany.*

*Charlie.*

Zwidlicz złożył starannie odpis kablogramu i położył na krześle.

— Mamy wyjaśnienie zagadkowych zamachów na Stasię Korecką, — rzekł Zwidlicz. — Obecnie jako jedyna krewna nieżyjącego stryja jest uniwersalną spadkobierczynią jego milionów.

— Słusznie, — potwierdził Górski. — Tylko powiedz mi proszę w jaki sposób chcą zagarnąć miliony. Nie myślę aby ją chcieli zamordować i potem podstawić kogoś. Mieli sposobność. Następnie zamachy, których padła ofiarą, dokonane były jeszcze za życia śp. Zygmunta Koreckiego.

— Mój kochany! Gdybym ci mógł udzielić odpowiedzi na to pytanie, to śmiem przypuszczać, że Maks byłby pod kluczem. Mogą tu zachodzić różne nieprzewidziane okoliczności. Wysilam się, szukam, badam, błądzę, a jednak nie mogę na razie zrozumieć w jaki sposób Maks zamierza wykorzystać Korecką. Żebym to mógł wyjaśnić, ale tak jak się sytuacja obecnie przedstawia, żal mi tylko biednej dziewczyny.

— To naprawdę straszne, — rzekł Górski i w zamyśleniu pocierał podbródek. — Domyślam się, że Stacha Korecka niejedno jeszcze przejdzie nim zdołamy ustalić coś konsekwentnego.

— Cała ta historia jest niebezpieczna i zawiła. Czy wypytałeś ją szczegółowo? Możeby ona mogła w czym dopomóc?

— Nie! Nic nie może powiedzieć!

— Przyjechała do Warszawy po śmierci ojca. Objęła posadę sekretarki u notariusza Maurycego Czekańskiego. Był to serdeczny przyjaciel jej śp. ojca Ignacego Koreckiego. Wrogów nie ma żadnych. O swym stryju nic zupełnie nie wie. A raczej nie wiedziała. Obecnie z dzienników dowiedziała się na pewno.

—Do licha! — zawołał gniewnie Górski. — W jaki sposób Maks mógł się o wszystkim dowiedzieć?

Zwidlicz nic nie odpowiedział. Miał już po części wyrobiony swój własny sąd o sprawie. W tej chwili nie wypowiadał go jeszcze. Mógł wprawdzie powiedzieć, że treść kablogramu dużo przyczyniła się do rzucenia promyka. Przecież to jasne, że Jasiński musiał znać Maksa osobiście. Był zatem jeden człowiek, który mógł naprowadzić go na ślad zbrodniarza. Nie wątpił, że Górski również to zauważył. Nie chciał jednak rozwijać swej teorii przed nim. Przedwczesna działalność mogła tylko zaszkodzić. Miał przecież dowód, że Maks umiał z nadzwyczajną zdolnością zapobiegać zdemaskowaniu. Zabójstwo st. przod. Janusza Gruzińskiego było wymownym faktem. Nie ulegało zatem najmniejszej wątpliwości, że gdyby się spostrzegł, że policja wie o Jasińskim, wspólnik pożegnałby się z życiem.

— Ciekawym, czy Zygmunt Korecki zostawił testament? — zapytał Górski chodząc po pokoju. — W pokoju hotelowym nic podobnego nie znaleziono. Nie przypuszczam, aby mimo swej tragicznej

śmierci, nie miał za wczasu przygotowanego testamentu. Był już starszym człowiekiem.

— To jest jasne, — rzekł Zwidlicz, że musiał napisać testament, lub miał ten zamiar. Po cóż przyjeżdżałby do Polski, po tylu latach nieobecności. Wnioskuję nawet, że Maks działa w jakimś związku z testamentem. Po cóż usiłował porwać Stasię Korecką? Dlaczego zamordował Zygmunta Koreckiego? Nie ulega wątpliwości, że z tym morderstwem on ma dużo wspólnego. Wreszcie po co wtargnął do mego mieszkania, jeśli nie po to, aby zapobiec mojej działalności, którą nie omieszkałbym przeprowadzić. Po przeczytaniu kablogramu, usiłowałbym natychmiast wywiedzieć się o miejscu pobytu Zygmunta Koreckiego. Przy dzisiejszych udoskonaleniach na pewno udałoby mi się odnaleźć Koreckiego. Może nawet zapobiegłbym zbrodni.

Obaj spojrzeli na siebie.

— Racja, — potwierdził Górski. — Co teraz zamierzasz czynić?

— Wszak widzisz, że właśnie w momencie, gdzie powinienem działać jak najpospieszniej jestem raniony. Mimo wysiłków z mej strony nie jestem jeszcze w stanie podnieść się z łóżka. Najwięcej obawiam się o Korecką. Ona teraz jest narażona więcej niż przedtem. Maks widocznie czyni ostatnie pociągnięcie na szachownicy. Czuje, że mu tu zaczyna być gorąco A mając miliony Koreckiej, mógłby się łatwo ulotnić, zacierając wszystkie ślady za sobą. Nikt go przecież nie zna. A napewno by go nie schwytano. Bo... jakżeż można pochwycić człowieka, o którym się nic nie wie. Jest to człowiek, jak mamy dowody o wybitnej inteligencji. W społeczeństwie może zajmować wysokie stanowisko, różne można mieć zapatrywania.

Po części tylko zgadzam się z tobą, — wtrącił Górski.

Zwidlicz spojrzał na niego pytająco.

— Przecież z chwilą, gdyby mu udało się zagarnąć w jakiś sposób miliony Koreckiego musiałby się zdradzić.

— Mało wiesz o nim. — rzekł Zwidlicz, — jeśli tak myślisz. On musi już mieć genialny plan. Nie należy do tych, co pozostawiają coś na rzecz przypadku. On musi wiedzieć...

— No a te nieudałe zamachy, — przerwał Górski. — A liczne aresztowania jego bandy. Ujawnione kryjówki. I tym podobnych faktów...

— Tutaj właśnie kryje się jego genialność, — wyjaśnił Zwidlicz. — Dziwię się, żeś tego nie spostrzegł. Przecież to się uderza jaskrawo w oczy. Maks działał tu rozmyślnie. Ludzie, których myśmy poznali, stali się dla niego niebezpieczni. Mogli go zdradzić, nie bezpośrednio, ale mimo woli. Nikt z bandy nie znał go. Wydawał im także polecenia, przy których mogli być schwytani. Na wypadek zaś powiedzenia się tych poleceń, było mu to na rękę. On już chciał się ich

pozbyć za wszelką cenę. I pozbył się. Teraz jest straszniejszym dla nas. Jest zupełnie nieznanym. Straciliśmy teraz jego ślad zupełnie.

— Jednak i on, krom swej genialności popełnił błąd... — dodał złowieszczo Zwidlicz i umilkł.

— — — — — — — — — — —

Stacha Korecka po powrocie z kabaretu czuła się zupełnie przybitą, tak moralnie jak i fizycznie.

Przed wycieczką do Niebieskiego Ptaka mogła mieć jeszcze iskrę nadziei, że Zwidlicz w związku ze sprawami zawodowymi dotrzymuje towarzystwa Ricie Znamirowskiej. Po fakcie głośnego zaproszenia do garderoby artystki złudzenia Stachy prysły. Nie tylko, że biegł na zawołanie Rity, ale podczas jej występu, nie opuszczał artystkę z oka.

Drżała jeszcze na wspomnienie strzału. Cała miłość Stachy ujawniła się w okrzyku, jaki wydała na widok padającego Zwidlicza.

Zaraz po powrocie do swego pokoju, rozebrała się i rzuciła na łóżko. Usnęła prawie, że natychmiast. Przez całą noc trapiły Stasię sny pełne upiornych wizji. Dwukrotnie budziła się cała oblana zimnym potem.

Nazajutrz o godzinie dziewiątej rano, zeszła do gabinetu notariusza. Mimo silnego bólu głowy i rozstroju psychicznego, postanowiła zająć się pracą biurową.

Usiadła przy maszynie do pisania i powoli z namysłem zaczęła się wtajemniczać w arkana sztuki pisarskiej.

Tak się przejęła nauką, że nie spostrzegła wejścia notariusza.

— Jest pani okrutna dla samej siebie, — rzekł notariusz spoglądając na bladą twarzyczkę Stachy. Wypoczynek jest pani jeszcze bezwarunkowo potrzebny.

— Ależ ja muszę pracować, — odparła nieco zażenowana. — Nie mogę...

— Chcąc pracować należycie, trzeba być zdrowym — przerwał notariusz. — Taka praca nikomu nie przyniesie korzyści. Ani mnie, ani pani.

Spojrzała na notariusza. W oczach zabłysły łzy.

— Zabraniam pani pracować jeszcze, — dodał notariusz nadając surowe brzmienie swemu głosowi.

Weszła pokojówka.

— Śniadanie gotowe proszę pana, — rzekła od progu.

— Zje pani teraz ze mną drugie śniadanie, — rzekł notariusz do Stachy i podszedłszy ujął ją delikatnie za rękę.

— Panienka nie jadła jeszcze pierwszego proszę pana, — wtrąciła pokojówka.

Notariusz spojrzał na Stasię z niemym wyrzutem w oczach.

— Nie mam apetytu, — szepnęła cicho.

— Ależ nie mogę na to pozwolić, aby pani u mnie przymierała głodem, — zawołał.

Już bez oporu udała się Stacha za notariuszem.

Przy śniadaniu notariusz był tak wesołym i dowcipnym, że na moment udało mu się rozchmurzyć oblicze Stachy.

Po śniadaniu poszli do salonu. Notariusz ani słówkiem nie wspomniał o wczorajszych wypadkach.

Stacha była mu wdzięczną za to.

Aczkolwiek ciekawą była usłyszeć coś o zamachu dokonanym na Zwidlicza, powstrzymała się od zapytywań. Jakże smutnym był wzrok Zwidlicza, gdy z ręką na skrwawionej ranie spoglądał na nią w gabinecie.

Jakaś niema prośba tkwiła w jego oczach. Czyżby domyślił się uczucia Stachy i prosił o przebaczenie. Nie! To niemożliwe. Dlaczego nic nie powiedział? Jedno słowo z jego strony uspokoiłoby ją.

Notariusz usiadł przy fortepianie. Zagrał. Okazał się doskonałym wirtuozem. Słuchała go z roztargnieniem.

Stale miała przed sobą bladą twarz rannego Zwidlicza.

O godzinie trzeciej zjedli obiad. Przy obiedzie panował już weselszy nastrój. Udało mu się w końcu niczym niezrażającemu się notariuszowi dostosować Stasię do siebie. Uśmiechała się. W niektórych momentach brała nawet żywy udział w rozmowie.

Po obiedzie Stacha udała się do swego pokoju. Notariusz wyszedł celem załatwienia kilku interesów.

Za niecałą godzinę powrócił z najwyższym wzburzeniem.

Nie rozebrawszy się nawet z futra wbiegł do pokoju Stachy bez pukania.

Siedziała przy stole. Przed nią leżała otwarta książka.

Na widok dziwnego wtargnięcia notariusza zerwała się przerażona.

— Co się stało? — zawołała z niepokojem.

— Proszę przeczytać dodatek nadzwyczajny. To okropne. Zamordowany, — mówił notariusz gwałtownie bez związku.

Stacha, której myśl obracała się stale dokoła osoby Zwidlicza, widząc nagłe wzburzenie notariusza zachwiała się na nogach.

Twarz jej pobladła śmiertelnie. Wywnioskowała, że nagłe wtargnięcie silnie podnieconego notariusza stało w związku z osobą Zwidlicza. O nikim innym nie mógł jej przecież donosić. Prócz Zwidlicza nie znała nikogo, ktoby mógł ją interesować. Po wczorajszej nieudałej próbie zabójstwa Zwidlicza spodziewała się każdej chwili wiadomości o jego śmierci.

W jednej sekundzie uświadomiła sobie jasno to wszystko. Pokój zawirował jej przed oczyma. Zemdlała.

Notariusz dostrzegł śmiertelną bladość Stachy, dziwne chwianie się na nogach i w samą porę zdążył ją podtrzymać. Legła mu bezwładnie na rękach.

Położył ją na kanapie. Szybko zadzwonił po pokojówkę.

— Julio przynieść mi amoniak. Leży na moim stoliku nocnym, — zawołał do wpadającej pokojówki.

Wybiegła spełnić rozkaz.

— Ach ty stary durniu! — karcił się w duchu notariusz. — Wiesz przecież, że ta biedna dziewczyna ma nerwy w najwyższym stopniu roztrojone. Zamiast przygotować ją powoli do niespodziewanego ciosu jaki ją dotknął, wpadam gwałtownie do pokoju i wołam na cały głos: "Zamordowany".

Dalsze biadania notariusza przerwało wejście pokojówki.

Porwał szybko podany amoniak i przytknął do nosa zemdlonej.

Poruszyła się. Ciało drgnęło gwałtownie. Nie otworzyła jeszcze oczu. Przytknął ponownie flaszeczkę z amoniakiem.

— Nareszcie! — odetchnął z ulgą.

Stacha otworzyła oczy. Błędnym wzrokiem spojrzała na notariusza. Nic jeszcze nie pojmowała co zaszło.

— Ach! Boże! Jak mi słabo, — szepnęła. — Lecz co się ze mną stało?

Skupiła się, przytknęła zaciśnięte pięści do pięknych swych skroń.

Po dziesięciu minutach, notariusz dostrzegł nagły błysk zrozumienia w jej oczach.

— Zamordowany! — jęknęła. — Oczekiwałam tej wiadomości.

I zaniosła się płaczem.

— Jakiej wiadomości? — pytał zdumiony notariusz. — O kim pani myśli? Jeszcze nic pani nie powiedziałem. Skąd pani wie o tym, że go zamordowano.

Stacha westchnęła głośno. Twarz jej ponownie zbladła.

Notariusz obawiał się ponownego zemdlenia.

Poderwał się ku niej.

Wstrzymała go wyciągniętą dłonią.

— To nic. Już przeszło, — rzekła słabym... spokojnym głosem.

— Przecież pan wpadając gwałtownie do mego pokoju, — ciągnęła po chwili, — powiedziałeś, że go zamordowano.

— Tak jest! — potwierdził. — Nie powiedziałem nazwiska. Jeszcze pani nie wie kogo...

— Domyśliłam się — przerwała cicho.

— Czego się pani domyśliła? — zapytał porywczo. — Nie mogła się pani domyśleć. Proszę mi powiedzieć o kim pani myśli. Wyprowadzę z błędu jeśli pani jest w mylnym przypuszczeniu.

Spojrzała na niego z wahaniem. Była tak przybita swym przypuszczeniem, że nie zwracała prawie uwagi na to co mówił. Odpowiedziała mu szczerze.

— O kimże innym jeśli nie o Zwidliczu może być mowa.

W chwili wymawiania jego nazwiska doznała gwałtownego wstrząsu.

Nerwowe drżenie przebiegło po jej całym ciele.

Teraz przyszła kolej na notariusza. Usłyszawszy nazwisko Zwidlicza zbladł. Trzymany w ręku dodatek nadzwyczajny, wyleciał mu ze zmartwiałej dłoni. W okolicy serca uczuł lodowaty chłód. Jak mroźny powiew śmierci wniknęła w głąb jego duszy świadomość wszystkiego. Z optymistycznych obłoków w których się unosił runął na ziemię. Jakaś czarna otchłań otwarła swą czeluść piekielną pod nim. Zrozumiał. Stacha kochała Zwidlicza. Była zatem dla niego straconą na... zawsze.

Coś się w nim urwało. Miał ochotę zapłakać nad swym nieszczęściem. Silny wstrząs jakiemu nagle uległ, złamał go. Rysy jego twarzy zwiędły. Bolesna zmarszczka ukazała się wokoło ust. Postarzał się w tej chwili o dziesięć lat.

Jak martwy upadł ciężko na fotel. Pierś jego unosiła się gwałtownie. Oczy straciły dawny blask pełen młodzieńczego zapału. Przedstawiał obraz najgłębszej rozpaczy. Trzęsącymi rękami wsparł się silnie o poręcz fotelu.

Z piersi wyrwał się głuchy jęk. Ta jedna chwila przepełniła czarę życia. Gorycz paliła mu usta. Silny wewnętrzny ból szarpał piersi. Był teraz usposobieniem niemego bólu i nagłego rozczarowania.

Jego czarowny domek z kart runął w gruzy.

Rozrzewnionymi z przerażenia oczyma śledziła Stacha tą nagłą zmianę jakiej uległ notariusz przy jej ostatnim zdaniu. Z zaciśniętej krtani nie mogła wydobyć słowa.

— Co za dziwna zmiana w tym człowieku, — myślała. Jeszcze w uszach jej brzmiał jego beztroski śmiech. Co mu się mogło stać? Nic mu takiego przecież nie powiedziała. Wygląda tak jakby go ugodził niespodziewany cios.

Nagle drgnęła i przykryła twarz rękami. Zrozumiała. Jak olśniewająca błyskawica, rozdzierająca ciemne chmury na horyzoncie, wtargnęła do jej serca myśl, wywołując w duszy szczere uczucie głębokiej litości. Notariusz kochał ją. Ona zaślepiona swą miłością nie spostrzegła tego. Jego zapobiegliwość i ochotna dążność do spełnienia wszystkich jej życzeń miały na celu przypodobanie się. Nie kierowały nim pobudki dawnej przyjaźni do jej zmarłego ojca. Kierowała nim miłość. Lecz jakże szlachetnym był ten człowiek. Nigdy nie narzucał się jej zbytnio. Nie próbował zawiązać flirtu miłosnego. Nie uwypuklał nurtującego nim uczucia. Pod maską wesołości i dowcipu dążył

do celu. Stacha nie była dobrym psychologiem. Lecz przez czas swego pobytu w domu notariusza, zauważyła optymistyczny charakter gospodarza. Zrozumiała więc ogrom boleści tego człowieka. Ona też była po części optymistką. W równej mierze cierpiała, o ile nie więcej. Bowiem notariusz był już człowiekiem starszym, który już przeszedł niejedno. Ona zaś była dopiero u progu życia i w zaraniu swej pierwszej miłości, cierpiała.

Jej wrodzona wrażliwość i szlachetne serce przechodziły na równi te same męki co notariusz.

Spoglądała na niego z współczuciem połączonym z litością. Zajęta rozpatrywaniem kwestii notariusza, zapomniała o przyniesionej przez niego hiobowej wieści. Zapragnęła wyczerpujących szczegółów. Przypomniała sobie dokładnie rozmowę poprzedzającą ostatnią scenę. Dostrzegła w niej luki. Musi to wyjaśnić.

Ogarniające ją wątpliwości, niemożność zaspokojenia pobudzonej ciekawości, przyprawiały ją o nowe męki duchowe.

Z niecierpliwością musiała czekać, aż notariusz uspokoi się na tyle, by mógł objaśnić ją.

Nie chciała pogłębiać jego cierpień, wypytywaniem się.

Nagle wzrok jej padł na porzucony przez notariusza dodatek nadzwyczajny. Tutaj jest wyjaśnienie. Szybko uniosła się z kanapy i podniosła gazetę.

Rozgorączkowanym wzrokiem przebiegła treść artykułu, podającego o zagadkowym morderstwie Zygmunta Koreckiego.

Na wiadomość, że nie Zwidlicz, jak przypuszczała padł ofiarą zbrodni, uczuła wielką radość, która przemieniła się w nową rozpacz. Intuicyjnie uświadomiła sobie, że ofiarą zbrodni padł jej zaginiony stryj. W jakże tragicznej formie dowiaduje się o odzyskaniu jedynego krewnego. Targnęła nią głucha rozpacz. Oczy zaszły łzami.

— — — — — — — — — — —

W zacisznym buduarze hr. Anny Kruszeńskiej, Karol Boreń czynił wrażenie nie ujarzmionego tygrysa w klatce.

Siedział na miękkim fotelu z głową pochyloną. Splecione dłonie wsparł na kolanach.

Hrabina Anna spoglądała na niego z bólem w oczach. Znała już całą otchłań jego duszy. Kochała go mimo wszystko, całą swą namiętną naturą. Przez pryzmat szczęścia wzajemnej miłości, nie dostrzegła zguby wiszącej nad ich głowami jak miecz Damoklesa. W zaraniu swej zgubnej miłości, zastanawiała się czasem nad przyszłością. Widziała ją w czarnych kolorach. Przewrotny charakter zdegenerowanej duszy Karola i jego instynkt do zbrodni, pierwotnie przerażały ją. Przypomniała sobie chwilę, gdy Karol w całej bezwzględności z okrutną brutalnością powiedział jej, że została kochanką bandyty. Z zimnym okrucieństwem opowiedział, naigrawając się z jej bez-

brzeżnej rozpaczy o wszystkich swych ciemnych sprawkach przeszłości. Więcej: wtajemniczył w zbrodnicze zamierzenia przyszłości.

Cierpienie jej wówczas było ponad siły. Chwilami myślała, że czepia się jej obłęd.

Pozostawił ją cierpiącą nie uspokoiwszy ani słowem. Uciekła przed nim do Krakowa. Nic nie pomogło. Kochała go nadal. Przyjechał i potulną jak jagnię zabrał do Warszawy. Od tego czasu żyła w ciągłej trwodze o niego. Każdej chwili oczekiwała wieści o jego aresztowaniu. Stały niepokój i lęk przyprawiły ją w chorobę nerwową. Podczas ciężkiego zmagania się jej z chorobą był bardzo tkliwy. Malował przed nią wspaniałe widoki przyszłości. Nigdy jego czarowne obrazy beztroskiej przyszłości nie przybrały żadnych kształtów. Różne pociągnięcia jakie poczynił w okresie ich wspólnego pożycia spełzły na niczym. Był hulaką i namiętnym graczem. Gra w karty pochłaniała całkowicie jego nielegalne, nieraz olbrzymie dochody. Jej dość pokaźny majątek stopniał w jego rękach jak lód pod działaniem gorących promieni.

W tej chwili stali u progu ruiny. Wierzyciele nadchodzili całymi masami. Odprawiała ich z kwitkiem usprawiedliwiając się i podniecając do płaczu.

Jakby w odpowiedzi na jej końcowe rozmyślania odezwał się Karol. — Jestem doszczętnie zrujnowany. Nie mam nawet deski ratunku. Wszystko wymyka mi się z rąk. Plan usunięcia Zwidlicza spalił się na panewce. Jego się nawet kule nie imają.

— Źle mówisz Karolu! — rzekła hrabina Anna. — Otrzymał ranę.

— A cóż mnie z tego! — zawołał Karol wściekły. — Wyliże się z niej prędko. I z większą zawziętością zacznie mi deptać po piętach. Niedźwiedzią przysługę oddał mi Grucha. W tak decydującym momencie musiał spudłować. Łotry za dużo wypili. Obserwowałem ich cały czas. Gdyby go był zabił na miejscu, byłoby wszystko w porządku. Nie udało mu się. Teraz jest właśnie najgorsze to, że przez tą przeklętą ranę moje plany wzięły w łeb. Niepotrzebnie tylko wydatkowałem się. Wszystko...

— Ależ Karolu, — przerwała hrabina. — Zwidlicz jak wyzdrowieje, tak samo może przyjść do nas. On przecież przed otrzymaniem rany wiedział o tobie to samo, co i teraz.

Karol spojrzał na hrabinę Annę z powątpiewaniem.

— Ja ci powiadam, że on przyjdzie do nas, — dodała hrabina Anna dobitnie.

— Nie wiem czy będzie miał ochotę — rzekł Karol częściowo już przekonany przez hrabinę. — Po zamordowaniu Koreckiego będzie działał pospiesznie. Aspirant Górski był dzisiaj u niego. Wręczył mu odpis kablogramu. Teraz już wie czego się trzymać. Miliony

Koreckiego mogą się nam wymknąć. Dziewczynę trudno dostać. Dwóch wywiadowców stoi przed domem. Notariusz pozabezpieczał wszystkie możliwe wejścia. Soltoń tam rozlokował się na dobre.

— Karolu, większych rzeczy dokonywałeś jak zwykłe porwania, — wtrąciła hrabina przekonywująco.

— Tak! — odparł po chwilowym namyśle. — Ale wtedy Zwidlicz nie deptał mi tak po piętach.

— A jednak Maks dalej działa... — hrabina Anna nie skończyła zdania.

— Milcz! — krzyknął Karol gwałtownie i rzucił się ku niej z rękami podniesionymi jak do uderzenia.

Przerażona uchyliła się zręcznie. Ręce Karola opadły na poduszki.

— Uspokój się — wyjąkała z trudem wydobywając głos z przerażenia.

Błędnym wzrokiem oglądał się dokoła.

Kilka sekund trwał tak nieruchomo. Twarz jego była straszliwie blada.

Powoli pochylił się i upadł na poduszki kanapy, ciężko dysząc.

Spod szerokiego abażura przyćmione światło spływało na niego.

## ROZDZIAŁ XIII

Minęło kilka dni.

Dzienniki szeroko rozpisywały się o szczegółach nowej zbrodni.

Natychmiast skojarzono identyczność nazwisk Stachy Koreckiej i zamordowanego Zygmunta Koreckiego. Z wszystkich faktów dotyczących Stachy Koreckiej nie czyniono już tajemnicy. Pierwsza wzmianka o Stasi Koreckiej w której wymieniono jej nazwisko ukazała się w Kurjerze Porannym. Reporter tego dziennika wyszperał, nie wiadomo w jaki sposób, że zamieszkała u notariusza Czekańskiego młoda dziewczyna jest krewną zamordowanego.

Wszystkie dzienniki chcąc podać zaciekawionej publiczności jak najwięcej wiadomości o zamordowanym wysłały kablogramy do Ameryki z zapytaniem. Treść kablogramu przeszła ich oczekiwania. Zamordowany był milionerem. Stacha Korecka jako jedyna krewna uniwersalną spadkobierczynią. Zamordowany nie pozostawił testamentu.

Niektóre brukowe pisemka rzuciły nawet na Stasię Korecką cień podejrzenia.

Znaleźli się nawet tacy co przebąkiwali, że w morderstwie swego stryja mogła brać udział.

Kurjer Warszawski zaprzeczył natychmiast tym oszczerczym kolumną. Podał dokładnie wszystkie szczegóły dotyczące Stachy Koreckiej od chwili jej wstąpienia na bruk warszawski.

Jeden z młodszych kolegów Zwidlicza wcisnął się nawet do obwarowanego jak przed oblężeniem domu notariusza Czekańskiego.

Sprytny młodzieniec wywęszył, że najlepszą przepustką w celu uzyskania wywiadu będzie powołanie się na swego starszego kolegę Zwidlicza.

Udało mu się w zupełności. Podczas wywiadu dokonał migawkowego zdjęcia fotograficznego, uwieczniając uroczą twarzyczkę Stachy na kliszy.

Powiększoną i doskonale wyretuszowaną podobiznę Stachy umieszczono w dodatku nadzwyczajnym.

Pod nadrukiem wyjaśniającym kogo przedstawia podana fotografia w swej gorliwości, Kurjer Warszawski broniący gorąco honoru i czci Stachy Koreckiej podawał:

"Jakże można przypuścić po tym wszystkim co nie omieszkaliśmy podać do wiadomości naszych kochanych czytelników, rzucić oszczerczą potwarz na to urocze, pełne wiośnianej krasy dziewczę.

Podobnie występnego czynu nie licującego z honorem uczciwych ludzi może dopuścić się tylko K. P. na równi z brudnymi brukowymi pisemkami sensacyjnymi z braku materiału.

Nie mają czego podać do wiadomości swym nielicznym czytelnikom, silą się na wymysły godne tylko najwyższej wzgardy uczciwie myślącego obywatela".

Mniej więcej w podobnym sensie utrzymana była olbrzymia treść dodatku nadzwyczajnego.

W końcu dla większego podniecenia i wywołania sensacji Kurjer Warszawski podawał:

"Wczoraj w godzinach wieczornych wtargnął do mieszkania naszego dzielnego reportera Włodzimierza Zwidlicza, który po ostatnim nieudałym zamachu, leży w łóżku, jakiś nieznany mężczyzna i porzuciwszy szarą kopertę uciekł. Przedsięwzięty natychmiast pościg spełzł na niczym.

Fakt wtargnięcia przedstawia się następująco:

Nieznajomy zadzwonił do mieszkania reportera. Otwarła mu gospodyni, lecz widząc oberwanego włóczęgę chciała natychmiast zamknąć drzwi. Włóczęga szybko założył stopę u spodu drzwi i pchnął je silnie. Gospodyni nie przygotowana na coś podobnego, przewróciła się wydając okrzyk.

Włóczęga przez otwarte drzwi wrzucił kopertę i uciekł. Obecny u reportera kierownik urzędu śledczego aspirant Marian Górski przybiegł zwabiony krzykiem gospodyni. Nim dowiedział się o zajściu z ust przerażonej gospodyni upłynęło kilka minut. Aspirant Górski wybiegł natychmiast lecz włóczęgi nie było. Zaalarmował posterunek. Włóczęgi nie schwytano.

W tak dziwny sposób doręczono kopertę i wręczono leżącemu reporterowi.

Podajemy tu identyczny opis treści listu:

*Ostrzegam cię po raz ostatni. Jeśli nie usłuchasz reporter, Włodzimierz Zwidlicz do trzech dni żyć nie będzie.—Maks.*

Z niezwykłą gestykulacją omawiali czytelnicy przeczytaną sensację.

Cała Warszawa przeżywała okres niepokoju i oczekiwania. Dreszcz grozy wstrząsał sercami spokojnych mieszczuków. Kim był ten, którego nazywano Maksem.

Co to był za szatan w ludzkiej skórze, co potrafił przeniknąć strachem całe mnóstwo ludzi.

Stał się upiorem legendarnym.

Bogaci mieszkańcy Warszawy ze zgrozą oczekiwali z godziny na godzinę listu wzywającego ich do złożenia okupu. Bezsilność policji była zupełnie jawna.

Wiadomość, podana prawdopodobnie przez władze bezpieczeństwa o puszczeniu w ruch całej maszynerii Urzędu śledczego, o wysłaniu całej masy najzdolniejszych detektywów, nie uspokoiła wzburzonej opinii publicznej.

Właściciele olbrzymich fabryk, bankierzy, arystokracja, poczęli masowo opuszczać miasto drżąc o swe życie.

Jeden z fabrykantów niejaki Wilhelm Russell, bogacz, właściciel kilku fabryk manufaktury, który na wezwanie od Maksa, nie złożył okupu w kwocie pół miliona złotych, tylko lekceważąc sobie postanowił w otoczeniu agentów policyjnych opuścić miasto, został przy wsiadaniu do sypialnego wagonu zastrzelony. Sprawcy nie złapano.

Najzręczniejsi detektywi przeszukali wszystkie możliwe kryjówki bez rezultatu.

Wszystkie meliny świata podziemnego Warszawy przetrząśnięto oprócz kilku mało znaczących złodziejaszków nikogo nie schwytano.

Powstała ogólna panika.

W tym czasie Zwidlicz wyleczony z otrzymanej rany uczynił odkrycie, które początkowo wystawiło go na niebezpieczeństwo. Dzięki tylko swej zimnej krwi i przytomności umysłu uniknął przykrych skutków.

Od kilku dni przebiegał w najrozmaitszych przebraniach ulice Warszawy.

Schodził do najniebezpieczniejszych melin, siedlisk najgorszych mętów świata złodziejskiego. Zwiedził wszystkie zaułki zbrodni i występku. Kilkakrotnie naraził się na drobne zaczepki ze strony podejrzliwych przestępców. Jego znajomość żargonu złodziejskiego, mistrzowska charakteryzacja, imponująca postawa i zimna krew wybawiły od niebezpiecznych starć.

Zniechęcony i wyczerpany do cna, powracał do domu w przebraniu włóczęgi. Znajdował się właśnie na Nalewkach. Była to już ostatnia dzielnica w której nie spodziewał się wpaść na trop swych poszukiwań. Przeszukał ją tylko dlatego, aby nie przepuścić żadnej możliwej okazji.

Przechodził ulicą Gęsią znudzonym wzrokiem spoglądając na przemykających się tu i ówdzie, głośno szwargoczących żydów.

Smród i niechlujstwo jakie panuje w dzielnicy żydowskiej przejmowało go takim wstrętem i odrazą, że przyspieszył kroku. Pragnął wydostać się jak najprędzej z tej obskurnej dzielnicy.

Szybkim krokiem skierował się na drugą stronę ulicy, gdy nagle nadjechał lśniący Packard i zatrzymał się o kilka stóp przed Zwidliczem.

Wiedziony więcej ciekawością, niżeli podejrzeniem spojrzał na wysiadającego z auta eleganckiego mężczyznę i drgnął.

— Czyżby, — szepnął w duchu i szybko wskoczył na chodnik.

Zmieszał się z tłumem przechodzących żydów.

Elegancki mężczyzna wyskoczył zgrabnie na chodnik i obejrzawszy się ciekawie dokoła, szepnął kilka słów siedzącemu szoferowi i zniknął w szerokiej bramie kamienicy.

Zwidlicz nie spuszczając wzroku z nieznajomego do chwili, gdy ten zniknął mu z oczu, spojrzał teraz na szofera.

Ponowne zdumienie odmalowało się w jego oczach.

Podszedł do szofera i zatrzymując się przed autem, położył prawą nogę na stopniu.

Zdziwiony szofer spojrzał na niego i grubym głosem zawołał:

— Czego chcesz! Wynoś się zaraz! — i uczynił ręką ruch z zamiarem odepchnięcia intruza.

— Piotrze, to tak się przyjmuje starych znajomych, — rzekł Zwidlicz i równocześnie zatrzymał rękę szofera.

Na dźwięk jego głosu szofer drgnął. Spojrzał na niego bystro. W jego rozumnych oczach pojawiły się wesołe błyski.

— Pan Zwidlicz? — zawołał zdumiony i chciał się porwać z miejsca.

— Siedź cicho! Nie ruszaj! — szepnął rozkazująco Zwidlicz.

Szofer usłuchał.

— Piotrze słuchaj, — rzekł Zwidlicz poważnie. — Przyszedł moment gdzie możesz mi się odwdzięczyć. Mam do ciebie prośbę. Chcę abyś mi odpowiedział na kilka pytań!

— Jestem do usług, — zawołał szofer.

Na jego twarzy, silnie pooranej bruzdami malowała się szczera radość.

— Powiedziałem panu wtedy, — ciągnął szofer, — że życie moje należy do ciebie. Dzięki panu uniknąłem wyroku śmierci. Byłem niewinny. Nikt mi nie wierzył. Pan był na rozprawie. Przyszedłeś potem do mnie. Pytałeś. Odpowiadałem. Choć sam wiedziałem, że w mych słowach było tyle nieprawdopodobieństwa. Pan uwierzył. Inni wyśmiali.

Silne wzruszenie odmalowało się na jego poczciwej twarzy.

— Pomogłeś mi. Prawdziwego zabójcę oddałeś w ręce sprawiedliwości. Odzyskałem wolność.

— Przysiągłem sobie wówczas, że życie moje do pana należy, — zakończył drżącym głosem.

Zwidlicz słuchał go w milczeniu. Pozwolił mu się wygadać. Wiedział teraz, że może liczyć na niego.

— Dobrze, — rzekł krótko Zwidlicz i obejrzał się bystro dokoła. Nic podejrzanego nie zauważył.

— Kiedy powróci twój pan? — zapytał.

— Nie prędzej jak za pół godziny, — odparł szofer.

— Świetnie się składa, — zawołał Zwidlicz.

— Teraz przyszła kolej na ciebie. Możesz mi oddać mniejszą przysługę jak ja tobie. Może nawet większą.

— Słucham, — rzekł szofer krótko.

— A więc odkąd służysz u swego nowego pana.

— Od tygodnia.

— Jak się nazywa?

— Antoni Ridik.

— Co wiesz o nim? Tylko wszystko musisz mi powiedzieć dokładnie i szczerze. Najmniejszy drobiazg dla mnie ma znaczenie.

— Nie dużo. Wiem, że przyjechał z Poznania. Mówi nawet jakimś dziwnym akcentem. Twierdzi, że to poznański. Ale ja znam ten akcent. Podobny on do amerykańskiego. Jest bogaty. Ma tu kilka dobrych znajomości. Zna się dobrze z Antanazym Wirskim, Wojciechem Czyckim, bogatym maklerem giełdowym, Józefem Moranem, ziemianinem z Podola, Karolem Boreniem, kierownikiem domu handlowego, no i tego tutaj żyda Nuty Applesteina.

— Czy to już wszystko? — zapytał Zwidlicz, gdy szofer zamilkł. Zdawał się chwilę namyślać. — To wszystko.

— Czyś nie spostrzegł u niego jakiejś blizny, wady, znaku?

— Acha! Zapomniałem, — zawołał szofer. — Ma bliznę pod brodą. Następnie nosi stale rękawiczki. Nigdy nie widziałem aby zdjął.

Raz zadzwonił do mnie do garażu, abym zajechał pod dom natychmiast i dał mu znać. Pamiętam ten dzień. Wtedy zamordowano tego milionera Koreckiego czy jak tam. Auto miałem gotowe, więc wsiadłem i zajechałem pod dom. Udałem się do mieszkania pana Ridika. Bez pukania wszedłem. Stał przy biurku i czytał jakiś list. Na rękach nie miał rękawiczek. Zobaczyłem, że mu brak prawego kciuka.

Pan Ridik, gdy mnie zobaczył posiniał z wściekłości. "Jak śmiesz wchodzić bez pukania idioto?" — krzyknął do mnie. Widziałem wariatów ale ten był istny furiat. Klął głośno, wyzywał, kazał mi się wynosić natychmiast. Przepraszałem go. Wkrótce uspokoił się. "Zaczekaj na mnie", — rzekł. Ja wyszedłem. Oto wszystko.

— Nic ci nie powiedział więcej? Nie wyrzucił cię z posady?

— Mogę panu odpowiedzieć, — odezwał się za plecami Zwidlicza, tubalny głos z wyraźnym akcentem amerykańskim.

Zwidlicz obrócił się szybko. Za nim stał z ironicznym uśmiechem Ridik.

Byli tak zajęci, że nie spostrzegli jego nadejścia.

Spojrzał prosto w oczy Zwidlicza. Zimna groźba malowała się w jego jasnych oczach.

— Wtedy nie wyrzuciłem, ale teraz wyrzucę, — rzekł. — Nie lubię służby, która ma długi język.

Zwidlicz zapytywał się w duchu, ile Ridik słyszał z ich rozmowy.

— Jestem kuzynem Piotra, — rzekł potulnie. — Nie mam pracy. W poszukiwaniu za jakąś robotą spotkałem go tutaj. Do niedawna i on nie miał roboty. Właśnie opowiadał mi, że dostał u pana bardzo dobrą posadę, którą o mało co nie stracił. Mówił mi jak to wszedł bez pukania. Przysięgał mi, że nie widział co pan czytał wtedy. Ma dobry wzrok, ale stał za daleko. Zresztą niesłusznie go pan posądzał o to. Cóż jego mógł obchodzić list, co pan...

— Hę... Co? Nie widział com czytał, — przerwał Ridik i kilka sekund wpatrywał się w twarz Zwidlicza przenikliwie.

— Więc mówisz, że szukasz pracy, — ciągnął powoli cedząc słowa.

— A co potrafisz robić?

— Wszystko proszę pana, — zawołał uradowany Zwidlicz i nadzieja błysła w jego oku. Głos jego i ruchy były tak naturalne, że wyprowadziły zupełnie z podejrzeń Ridika. Nawet Piotr spoglądał na reportera z ciekawością.

— Silny jestem, mogę rąbać, nosić bagaż, ciągnąć wózek.

— O! Niech pan patrzy.

I nim któryś z nich mógł mu przeszkodzić podskoczył na tył samochodu i ująwszy za klamry stalowe podniósł wóz na wysokość piersi.

— Dobrze, — zawołał już zupełnie wypogodzony Ridik. — Może dam ci robotę. Jak się nazywasz?

— Andrzej Garsek, — odparł Zwidlicz bez wahania. — Mieszkam na Bugoju... przy...

— Wystarczy, — przerwał Ridik. — Zgłoś się jutro do mnie. Worecka 13, Antoni Ridik.

— Jestem do usług jaśnie panu, — zawołał radośnie Zwidlicz i pochylił się w głębokim ukłonie, zdejmując dziurawą czapkę.

Ridik skinął mu protekcjonalnie dłonią i wsiadł do auta.

— Wiktoria, — szepnął triumfalnie Zwidlicz, gdy auto odjechało.

—Zbliżamy się do końca, — myślał szybko maszerując do domu.

Ani przez myśl mu nie przyszło jak smutne czeka go rozczarowanie z tak wesołego nastroju.

— — — — — — — — — — —

Stacha Korecka pogrążona w swej podwójnej rozpaczy, jak cień snuła się po ulicach Warszawy w towarzystwie nie mniej od niej zrozpaczonego notariusza. Wszelkie pełnomocnictwa oddała w ręce notariusza, który zajął się z całą gorliwością do jej praw spadku po śp. stryju Koreckim.

Od czterech dni biegała z notariuszem po różnych urzędach. Czekański wzbraniał Stasi, lecz stale odmawiała. Nie chciała pozostawać sama w domu.

Kilkakrotnie udało im się spotkać z Ritą Znamirowską, która teraz często przebywała w towarzystwie Norberta Bokundy.

Raz nawet w restauracji w której z braku czasu spożywali obiad przysiadł się do nich Norbert Bokunda.

Notariusz Czekański znał tego potentata finansowego.

Obiad spożyty w jego towarzystwie, był dla Stachy chwilowym wytchnieniem.

Sympatyczny Norbert Bokunda tak umiał zająć swych słuchaczy, że nie tylko ubawił Stasię ale i notariusza, który powoli zaczął się przyzwyczajać do myśli utraty miłości Stachy.

Po obiedzie notariusz widząc zbawczy wpływ Norberta Bokundy na Stasię i siebie, ze względu na zbliżającą się niedzielę postanowił wydać przyjęcie w swym domu.

Przy pożegnaniu zaprosił pana Bokundę, który bez wahania przyjął zaproszenie.

Stasię poniekąd ucieszyła myśl planowanej zabawy.

Nieśmiałym głosem poprosiła notariusza, aby wysłał zaproszenie do Zwidlicza.

— Myślałem o tym, — odparł notariusz. — Nawet nie tylko jego. Zaproszę Ritę Znamirowską, aby nam zatańczyła.

— Świetnie, — zawołała Stacha, — aczkolwiek niechętna była Ricie. Jednak myśl, że Zwidlicz będzie zagłuszała wszelkie inne.

Z wielką niecierpliwością poczęła się przysposabiać do upragnionej zabawy. Chodzenie do modystek, krawcowych, zakładach galanteryjnych zajęły cały dzień. Notariusz niestrudzenie dotrzymywał Stasi towarzystwa.

Nareszcie nadeszła niedziela.

Liczna służba przyjęta przez notariusza, czyniła ostatnie przygotowania.

O godzinie piątej po południu zajechali pierwsi goście. O siódmej byli już wszyscy w komplecie.

Pan Norbert Bokunda udał się w towarzystwie notariusza do pokoju Stachy.

Gdy weszli na zaproszenie z wewnętrz stanęli na progu olśnieni.

W pośrodku pokoju stała Stacha, zupełnie już ubrana.

W nowej jedwabnej sukni wyglądała jak księżniczka z bajki. Jej złociste włosy ułożone przez mistrzowskiego fryzjera doskonale harmonizowały z jasną suknią. Umiejętnie przepięta przez włosy biała róża, upodobniała ją do bogini wiosny.

Jasna ślicznie zaróżowiona twarzyczka uśmiechała się czarująco do stojących nieruchomo dwóch mężczyzn, osłupiałych jej idealną pięknością.

Koralowe usteczka ukazywały dwa rzędy drobnych zębów, niby lśniące perełki.

— Jestem już gotowa, — zabrzmiał jej srebrzysty głos, i smukła kibić postąpiła naprzód kilka kroków.

Zgrabne nóżki obute były w małe jasne pantofelki.

W ręku trzymała wspaniały wachlarz ze strusich piór.

Licznie zgromadzeni goście powitali wchodzącą Stasię głośnymi okrzykami podziwu. Szmer uwielbienia przeszedł po sali.

Prześlicznym uśmiechem dziękowała za te wyrazy hołdu.

Duże lazurowe oczy Stachy wypatrywały pomiędzy licznymi panami smukłej sylwetki Zwidlicza. Na próżno. Nie spostrzegła go. Lekka chmurka przebiegła po jej uroczej twarzyczce.

Lecz w następnym momencie porwana w wir tańca, rozjaśniła swą jasną buzię.

Podczas zabawy otaczał ją rój wielbicieli. Panowie dobijali się po prostu o jeden obrót w tańcu.

O godzinie dziesiątej wieczorem lokaj stojący w drzwiach wejściowych zaanonsował Ritę Znamirowską.

Roześmiana twarzyczka Stachy spoważniała. Przyszło jej na myśl, że pewnie w jej towarzystwie ukaże się Zwidlicz.

Niestety. Artystka weszła sama. Mimo woli wszystkie spojrzenia poczęły porównywać zmysłową piękność Rity z wiośnianą krasą Stachy.

Szlachetność i idealna piękność Stachy przewyższała.

Niemal wszyscy panowie pozostali u jej boku.

Stacha z całą serdecznością uścisnęła dłoń artystki.

Jasne spojrzenie, pełne szczerego podziwu utkwiła w jej oczach.

— Jest pani naprawdę piękną, — szepnęła Stacha. — W kabarecie nie mogłam pani widzieć doskonale.

— Jestem tylko zwyczajną kobietą w porównaniu do cudownej urody pani, — odparła artystka głośno.

Huczne brawo było odpowiedzią na komplement Rity.

Przez chwilę w jasnych oczach artystki zamigotał groźny błysk.

Stacha nie dostrzegła go.

Ujęła Ritę pod ramię i poprowadziła na scenę.

Po dziesięciu minutach Rita tańczyła.

Jeśli w kabarecie tańczyła mistrzowsko, to tutaj cały jej artyzm uwydatnił się w tańcu.

Frenetyczne oklaski i moc kwiatów były hołdem złożonym Ricie.

Po skończonym tańcu Rita podeszła do Stachy i szepnęła:

— Proszę się niczym nie dziwić. Czeka na panią pan Zwidlicz.

Stacha lekko drgnęła. Na twarzy wystąpił ciemny rumieniec.

— Jest niestosownie ubrany, — ciągnęła Rita uśmiechając się rozkosznie jakby opowiadały sobie wzajemnie jakąś anegdotkę. Panowie stali dyskretnie na uboczu.

— Koniecznie chce się z panią zobaczyć. Mówił, że jest na jakimś bardzo ważnym tropie. Wielkie nieszczęście go dotknie, gdy pani nie stawi się na spotkanie. Nic mi więcej nie powiedział. Za piętnaście minut oczekuje panią w samochodzie malowanym na zielono. Proszę nikomu nic nie mówić. Ja już odjeżdżam. O jedenastej mam występ.

— Do widzenia, — dodała i ucałowała Stasię w czoło.

Po wyjściu artystki, Stacha wahała się. Długo zastanawiała się czy pójść, czy też nie na to spotkanie. Od kilku dni uspokojona, że nikt jej już nie groził, nie uczyniono na nią żadnego zamachu, nie myślała, że może grozić jej jakieś niebezpieczeństwo.

— Bardzo możliwe, że to prawda co mówiła Rita, — myślała. — Nie przypuszczam, aby Zwidlicz nie przyszedł na zaproszenie od notariusza.

Spojrzała na zegarek. Piętnaście minut upłynęło.

Kilka panów nie przerywało jej zadumy. Na sali panował wesoły nastrój.

Przeprosiła panów i zdecydowanym krokiem opuściła salę.

Zastąpił jej drogę notariusz.

— Już pani nas opuszcza? — zapytał wesoło. Widać było po nim, że nie oszczędzał wina.

— Ależ nie! Idę tylko na chwilę do swego pokoju.

— Odprowadzę panią.

— Nie! Bardzo dziękuję. Pójdę sama. — Szybkim krokiem wyszła do sieni. Notariusz pozostał na miejscu. Byłby może udał się w ślad za Stasią. Pociągnął go Norbert Bokunda.

— Obiecał pan taniec pani Godomskiej. Muzyka już gra. Może się obrazić na pana, — rzekł.

— Idę — odparł notariusz i zamieszał się pomiędzy tańcującymi.

Stacha w sieniach zatrzymała się. Nie było nikogo. W drzwiach stało dwóch lokaji i przyglądało się zabawie.

Szybko podeszła do bramy. Pocisnęła klamkę. Brama była zamknięta. W drzwiach tkwił klucz. Nie namyślając się wiele przekręciła klucz w zamku.

Na ulicy stało kilka samochodów. Rozglądnęła się za zielonym autem. Stało po przeciwległej stronie jezdni. Reflektory rzucały oślepiające światło. Motor był w ruchu.

Zawahała się.

Wówczas drzwiczki auta otwarły się i zobaczyła wychylającą się sylwetkę męską. W ciemności nie dostrzegła rysów twarzy.

Postać kiwnęła na nią dłonią i zniknęła.

Już bez wahania, przekonana, że to Zwidlicz, przebiegła szybko ulicę.

Drzwiczki auta otwarły się. Wstąpiła na stopień. Poruszyła się gwałtownie w tył. Za późno. Mokrą chusteczkę przytknięto Stasi do ust. Silne ramiona wciągnęły do wnętrza.

Auto ruszyło z miejsca szybkim pędem.

— — — — — — — — — — —

Zwidlicz po powrocie do mieszkania, zastał czekającego aspiranta Górskiego.

— Od godziny czekam na ciebie, — zawołał Górski i podbiegł do Zwidlicza z wyciągniętą dłonią. — W nocy nie mogłem cię nigdzie złapać. Telefonowałem. Gospodyni nieodmiennie odpowiadała mi, "pana w domu nie ma". Nie wierzyłem. Przekonałem się na własne oczy. Lecz jak ty wyglądasz. Na ulicy bym cię na pewno kazał aresztować. Coś ty robił...

— Gdybyś miał za co, — przerwał mu Zwidlicz. — Bez powodu nie wolno w Polsce nikogo aresztować. Ale to fraszka. Widzę po tobie, że coś ważnego zaszło. Mów!

Twarz Górskiego spoważniała. Spojrzał badawczo na Zwidlicza.

— Stało się nieszczęście. Stacha Korecka zniknęła bez śladu wczorajszego wieczora. Wyszła...

Zwidlicz podskoczył do Górskiego i ująwszy silnie za klapy surduta potrząsnął nim jak gruszką. Twarz miał bladą. Zęby zacisnął aż do krwi. Wargi mu posiniały.

— Co? — zawołał gwałtownie. — Korecka zniknęła. To niemożliwe. Jak się to stało? Czyś prowadził śledztwo? A gdzież był Soltoń? A gdzie agenci? No mów! — krzyczał głośno i trząsł zdumionym Góreckim. Jeszcze nigdy nie widział Zwidlicza w takim stanie podniecenia.

— Puśćże... mnie,—wyjąkał Górski.—Jakże ci mam mówić, gdy ty mną trzęsiesz jak drzewkiem. Nie dasz mi przyjść do słowa.

Pod wpływem słów Górskiego, Zwidlicz opamiętał się.

Puścił Górskiego i usiadł ciężko na krześle, aż zatrzeszczało pod nim. Splótł dłonie tak silnie, że kości pobielały.

— Opowiedz! Słucham, — rzekł zmienionym głosem.

— Wczoraj notariusz Czekański wydał przyjęcie w swym domu. Zresztą powinieneś wiedzieć o tym. Przysłał ci zaproszenie.

— Od dwóch dni nie było mnie w domu. O zaproszeniu nic nie wiem, — rzekł Zwidlicz.

— Historia jest krótka, — ciągnął Górski. — Po godzinie dziesiątej panna Korecka powiedziała do notariusza, że udaje się na chwilę do swego pokoju i wyszła. Gdy długo nie powracała, zaintrygowany udał się w ślad za nią. Koreckiej w pokoju już nie było. Zaniepokojony w najwyższym stopniu przy pomocy służby i agenta Soltonia przeszukali cały dom. Korecka znikła. Zupełnie przypadkowo znajdowałem się w Urzędzie śledczym, gdy notariusz dał znać o zagadko-

wym zniknięciu Koreckiej. Pomyślałem o tobie. Nie było cię. Zawiadomiłem sędziego Malińskiego. Kazał udać mi się natychmiast na miejsce. Udałem się i o to rezultat. Ostatnią osobą, która rozmawiała z Korecką była Rita Znamirowska.

— Co? — przerwał Zwidlicz. — Rita...

— Tak! — ciągnął dalej Górski. — Panna Korecka po wyjściu Rity była bardzo zamyślona. Nie słyszała nawet co do niej mówiono. Po kilkunastu minutach wyszła. Notariusz który ją spotkał chciał udać się za nią, odmówiła. Miał nawet zamiar udać się za nią wbrew jej woli, — (wiesz mam wrażenie, że ten poczciwina Czekański zakochał się w Koreckiej, — odbiegł od tematu Górski), lecz w tym właśnie momencie zatrzymał go Norbert Bokunda i przypomniał, że miał tańczyć z panią Godomską.

Następnie wypytywałem Soltonia, dlaczego nie uważał na Korecką. Odpowiedział mi, że przed kilkoma minutami wywołał go Karol Boreń.

— Boreń... powtórzył Zwidlicz i zamilkł.

— Tak! Karol Boreń. Przyszedł na zabawę, aczkolwiek notariusz go nie prosił. Prosił jedynie hr. Annę Kruszeńską.

— Dobrze, — wtrącił Zwidlicz. — Mów dalej.

— Więc Karol Boreń wywołał Soltonia i powiedział mu, że hr. Annie Kruszeńskiej zginął naszyjnik. Jako przypuszczalnego sprawcę wskazał na nowoprzyjętego lokaja Galosa. Galos wypierał się mimo wypytywań i gróźb ze strony Soltonia. Wówczas Soltoń udał się z Galosem i Karolem Boreniem do ustronnego pokoiku i tam poddał opierającego się Galosa gruntownej rewizji.

Zaraz przy pierwszym wetknięciu ręki do kieszeni marynarki wyciągnął z kieszeni przerażonego Galosa naszyjnik.

Galos robił wrażenie człowieka, który śni. Kilkakrotnie przecierał oczy i szeptał przerażony: "To niemożliwe! Ja nie ukradłem".

Wówczas Karol Boreń przystąpił do Soltonia i rzekł mu, że zrzeka się pretensji do Galosa i prosi o darowanie mu kary.

Galos, który stał dotychczas w niemym przerażeniu, nagle nim który z nich mógł się spostrzec przyskoczył do Borenia i chwycił go za gardło. — "Łotrze! — krzyczał wściekle chrapliwym głosem. — Tyś mi włożył do kieszeni, aby mnie mogli oskarżyć. Teraz prosisz za mną. Wiesz, żem niewinny. Com ci uczynił, że robisz ze mnie złodzieja". Z całej siły zaciskał dłonie wokoło gardła ogłupiałego nagłym atakiem Borenia. Galos jest wątpłym, lecz w chwili uniesienia miał lwią siłę. Karol Boreń aczkolwiek bardzo silny mężczyzna, zaledwie przy pomocy Soltonia mógł uwolnić się z rąk Galosa. Wysiłek i wściekłość Galosa zmalały. Usiadł w kącie na ziemi i zakrywszy twarz dłońmi zapłakał". — "Mam pięcioro dzieci. Przymierałem nieraz głodem. Nigdy nie kradłem", — lamentował nieszczęśliwy. Sol-

toń za sprytny był aby nie spostrzec, że tu ze strony Borenia jest coś niejasnego.

— Ma pan swój naszyjnik, — rzekł do niego ostro. — Proszę teraz zostawić nas samych. Boreń obrzucił Soltonia wściekłym wzrokiem i wyszedł.

Wówczas Soltoń zwrócił się do Galosa: "Proszę się uspokoić. Wierzę żeś pan nie ukradł. Padłeś ofiarą podstępu". Galos spojrzał na niego załzawionym wzrokiem. Niezmierna wdzięczność malowała się w jego zwiędłych oczach. Był to człowiek czterdziesto-pięcio letni. Zniweczony ciężką walką o byt. "Powiedz mi, — rzekł Soltoń do niego, — czyś nie zauważył jak ci wkładano naszyjnik do kieszeni." "Nie zauważyłem. Ale teraz sobie przypominam, kiedy to mogło się stać." Soltoń podniósł nieszczęśliwego z ziemi i postawił na nogi. Kilkoma słowami uspokoił go zupełnie. Zrównoważony Galos opowiedział mu, że może przed trzema kwadransami przechodził z tacą na której nosił kieliszki napełnione szampanem. Przywołał go do siebie Boreń. Kazał mu podać wszystkie kieliszki do stolika. Siedział tam z hr. Anną Kruszeńską.

W momencie, gdy Galos stawiał tacę na stole wstał Boreń i potknął się na dywanie tak, że padł bokiem na Galosa. Niezręczność Borenia sprawiła to, że omal Galos nie potłukł kieliszków. W samą porę powstrzymał go Boreń chwytając za poły liberii i przyciskając silnie do siebie. Z tej strony właśnie znajdował się naszyjnik Kruszeńskiej.

Soltoń dalej nie słuchał. Wietrzył tu jakiś podstęp. Nie wiedział jednak co to miało za cel. Domyślił się, że chodziło tu o to, aby go wywabić ze sali. Pobiegł czym prędzej na salę. Zabawa osiągnęła kulminacyjny punkt. Był spokój. Goście w najwyższym rozbawieniu tańczyli i śmiali się. Niespokojny Soltoń chodził tu i ówdzie, lecz nic nie mógł dostrzec podejrzanego. Spostrzegł nawet Borenia, który tańczył z jakąś damą. O Koreckiej zapomniał. Przypuszczał, że szykuje się może jakaś kradzież. O tym, że Boreń ma niejasną opinię wiedział doskonale. Postanowił go śledzić. Po upływie kilkudziesięciu minut wpadł przerażony notariusz i ogłosił o zagadkowym zniknięciu Stachy Koreckiej.

Teraz Soltoń domyślił się o co chodzi. Wszczął natychmiastowe poszukiwania. Przeszukano dom od piwnic do strychu bezskutecznie. W międzyczasie ja przybyłem. Poprowadziłem śledztwo. Nic więcej nie ustaliłem ponadto, że dwóch agentów stojących przed domem zostało zwabionych powstałą bijatyką kilku ciemnych indywiduów. Nieobecność ich nim powrócili z komisariatu trwała około dwudziestu minut. Zapytani szoferzy o panią Korecką nic nie wiedzieli. Siedzieli w jednym z większych wozów i zabawiali się grą w karty. Jeden z nich tylko mimochodem zauważył zielono malowane auto, stojące naprze-

ciw bramy domu notariusza. Stało około godzinę. Przypuszczam, że porwania dokonano właśnie tym wozem. To wszystko, — zakończył Górski i podszedł do stołu. Ujął karafkę z wodą, napełnił szklankę i wychylił jednym haustem.

Zwidlicz z głową pochyloną na piersi milczał. Palił tylko jednego papierosa po drugim. Całe kłęby niebieskiego dymu otaczały go. Był spokojnym. Jednak kamienny wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego. Górski czuł, że w powietrzu szykuje się coś ważnego. On znał ten wyraz twarzy Zwidlicza. Widział go dwukrotnie. Raz, gdy wysłał na szubienicę zabójcę kupca Sianiawskiego, drugi raz oddał w ręce sprawiedliwości szajkę, "Ideowych braci".

## ROZDZIAŁ XIV

Rita Znamirowska po powrocie z zabawy u notariusza udała się natychmiast do kabaretu.

Liczni wielbiciele artystki byli dzisiaj rozczarowani. Bowiem po pierwszym tańcu, który wypadł blado, pan August zawiadomił tragicznym głosem swych kochanych gości, że znakomita tancerka, piękna Rita zachorowała. Drugi numer zatem się nie odbędzie. Ma nadzieję, że primaballerina jutro zaszczyci gości swym najpiękniejszym tańcem, który kreuje od kilku dni w swym zacisznym mieszkanku.

Rzeczywiście piękna artystka była bardzo blada. Jej piękne ciało, co chwilę przechodziło nerwowe drżenie.

Oczy straciły dawny blask. Usta krzywiły się do płaczu. W głosie czuła dziwny szum. Serce miała pełne lęku. Najmniejszy szelest wyprowadzał ją z równowagi.

Ubrała się szybko i pojechała do mieszkania.

W mieszkaniu rzuciła się nierozebrana na kanapę i uniosła się łkaniem.

— Co ja uczyniłam, — szeptała głucho przez łzy. — Ona taka niewinna. Boże przebacz mi. Ja go kocham. Nie oddam jej. Nie.

Ponowne łkanie wstrząsnęło piersią Rity.

Dwie godziny leżała tak nieruchomo.

Z oczami mokrymi jeszcze od łez powoli rozebrała się i udała na spoczynek.

Nazajutrz o godzinie jedenastej wyrwał ją ze snu dzwonek telefonu.

Odemknęła powoli nabrzękłe powieki i zarzuciła szybko jedwabny szlafroczek i podeszła do telefonu.

Podniosła słuchawkę.

— Hallo? Tu Rita Znamirowska.

— Spisałaś się dzielnie, — mówił męski głos. — Brylantową kolię przyślę ci około drugiej po południu. Zwidlicza nie ma w domu jeszcze. Nic nie wie o niej. O ileby byli na tyle domyślni i pytali ciebie, nie wiesz o niczym. Rozmawiałaś z nią o sprawach czysto kobiecych. Rozumiesz?

— Tak, — odparła chłodno.

— Może będę u ciebie po południu, jeśli mi coś nie stanie na przeszkodzie. Adieu!

— Adieu! — i odłożyła słuchawkę.

Jak odrętwiała, usiadła na miękkim fotelu i wsparłszy niezaczesaną główkę na ręku, utkwiła tępy wzrok w rzeźbioną poręcz fotelu.

Z martwoty wyrwało ją wejście służącej. Na małym wózeczku wtoczyła smakowite śniadanie.

— Panienka jeszcze nie ubrana? — rzekła dziewczyna.

— Zostaw mnie samą, — odparła opryskliwie Rita.

Zdziwiona dziewczyna bezszelestnie opuściła pokój.

Rita prawie nie tknęła śniadania. Jak we śnie lunatycznym kierowana instynktem, ubrała się.

O godzinie drugiej zjawił się jubiler i przyniósł wspaniałą kolię. Barwami tęczy błyszczała, leżąc na ciemnym aksamicie. Było to istne cacko.

Rita obojętnie prawie, że nie spojrzawszy na kolię wzięła z rąk jubilera i rzuciła niedbale na łóżko.

— Panienka może niezadowolona? — zapytał nieśmiało jubiler.

Zamiast odpowiedzi porwała leżącą na kanapie poduszkę i rzuciła w twarz jubilera.

Przerażony jubiler umknął kiwając z politowania głową.

Rita zagłębiła się w fotelu.

Mrok już zaglądał do okien, gdy ocknęła się z zadumy.

Zadzwoniła na służącą.

— Proszę mi podać obiad.

Mimo głodu nie miała apetytu. Skosztowała kilka potraw i kazała sprzątnąć.

Po obiedzie położyła się na kanapie.

Zbudziła ją służąca usuwając się bezpiecznie w bok

Rita zerwała się gwałtownie.

— Co się stało? — zawołała.

— Nic panienko! Tylko przyszedł pan Zwidlicz.

— Poproś pana Zwidlicza.

Szybko podbiegła do lustra i kilkoma zręcznymi ruchami poprawiła swą twarz.

Ciche pukanie rozległo się od drzwi.

— Proszę, — zawołała drżącym głosem.

Powoli ze spokojną, aczkolwiek przybladłą twarzą wszedł Zwidlicz.

Złożył zimny ukłon przed artystką.

Wyciągnięta dłoń Rity zawisła w powietrzu. Udał, że jej nie spostrzegł.

Lodowaty chłód napełnił serce Rity Znamirowskiej.

Silnie zacisnęła usta. Nerwowe drżenie opuściło ją. Była już zimną, zupełnie opanowaną kobietą.

— Pan łaskaw usiąść, — rzekła chłodno wskazując na fotel.

Potrząsnął głową.

— Wobec tego, że nie chce pan skorzystać z mego zaproszenia, proszę mi powiedzieć krótko co pana do mnie sprowadza.

Nic nie odpowiedział. Utkwił tylko swój przenikliwy wzrok w oczach artystki.

Bladła i czerwieniała na przemian pod badawczym spojrzeniem Zwidlicza.

Zaśmiała się hałaśliwie.

— Już dawno mi mówiono, że nie jestem dobrym materiałem na medium.

Siliła się na ironię. Jednak głos jej brzmiał głucho, niespokojnie. Ręce drżały.

— A jednak jest pani dobrym medium, — rzekł Zwidlicz zimno.

Miarowy jego głos brzmiał jak cięcie szabli w powietrzu.

— Jeszcze nie zapytałem a już wiem wszystko, co chciałem wiedzieć, — ciągnął powoli.

— Gdzie jest panna Korecka? — zapytał chłodno.

— Ja mam wiedzieć! — odparła głośno chcąc ukryć ogarniającą ją trwogę. Jego chłód przejmował ją dreszczem przerażenia.

Podświadomie oczekiwała tej wizyty. Inaczej sobie go wyobrażała. Przypuszczała, że wpadnie wzburzony, będzie ją wypytywał gorączkowo, będzie błagał. Omyliła się.

— W tej chwili oddam panią w ręce policji. Pięć minut czasu daję do namysłu. — Wskazał ręką na zegar wiszący na ścianie i odwrócił się.

— Więc ty mnie tak kochałeś? — krzyczała artystka. — Udawałeś miłość aby wkraść się w moje zaufanie. Ja ci się oddałam bez zastrzeżeń. Ty mnie wykorzystałeś. Zaspokoiłeś swoje zmysły. A teraz grozisz mi policją. Dobrze. Niech przyjdą, niech mnie zaaresztują. Powiem światu jakim jesteś łotrem. Ja cię kochałam z całej duszy. Ty naigrawałeś się z mojej miłości. Ja zaspakajałam twoje zmysły, a tyś czekał tylko na sposobność, aby wydrzeć mi tajemnicę. Ach ja nieszczęśliwa. Czemuż nie pokazałam ci drzwi w ów wieczór, który nie zapomnę do końca życia. Wiedz, że wtedy jeszcze nie kochałam cię. "On" mi kazał zaznajomić się z tobą. Prawda doskonałą jestem aktorką. Ty taki sławny reporter, znakomity znawca duszy ludzkiej, za jakiego mają cię obrzydłe piśmidła, nie domyśliłeś się nawet. Wpadłeś w pułapkę. Tak miałam cię w ręku. Mogłam cię oddać śmierci. Mogłam... mogłam... tak... tak.

— Czemu nie uczyniłaś tego? — zapytał Zwidlicz.

— Bom cię pokochała. Całą duszą. Tyś był dla mnie wszystkim. Nie wiedziałam o tym. Uświadomiłam to sobie dopiero rano, gdy kilku zbirów oczekiwało na ciebie pod moim domem. Pamiętasz, chciałeś iść. Nie puściłam cię. Kochałam... zaniosła się gwałtownym płaczem... ko... cha... łam, szeptała przez łzy.

Podszedł do niej i ujął łagodnie za ręce. Były zimne jak lód. Wyraz głębokiej boleści malował się w jego oczach.

— Rito, — szepnął miękko. — Drogi ludzkie są niezbadane.

Artystka pod wpływem dotyku jego ciepłych dłoni, spojrzała w jego ciemne oczy i przytknąwszy swą jasną głową do piersi Zwidlicza cicho łkała.

Pieszczotliwym ruchem, gładził jej złociste loki.

Milczał.

Ona zaś cichutko szepcząc łkała:

— Ty myślisz, że my artystki nie mamy serca. Nie umiemy kochać. Że tylko rzucamy swe piękne ciało na pastwę każdego mężczyzny, który nam wzamian daje pieniądze i klejnoty. My też mamy serca. Nie mniej potrafimy kochać od kobiet, które zwą się w naszych pojęciach uczciwymi i cnotliwymi! Cnota... wskaż mi kobietę, która je ma. Żadna nie ma cnoty. Cnota to puste słowo bez znaczenia. To słowo dobre dla poetów... Oni opiewają zwykle to czego nie ma, co nie istnieje. To jest piękne słowo, które mi potrzebne do stworzenia rymu. A czy wy jesteście cnotliwi. Wymagacie tego od nas, a sami jak tylko wam się nadarzy sposobność odbieracie cnotę, tępicie ją, a potem z dumą chwalicie się o tym przy kieliszku... Dlaczego żeniąc nie mówicie ile kobiet mieliście przedtem. Nas potępiacie. To wy czynicie nas tymi czym jesteśmy. Dzięki wam wystają po ulicach. Tylko dla was niszczą swe ciało, gubiąc bezpowrotnie duszę. Wy nas spychacie w przepaść z której nie ma ratunku. Potem szydzicie. Pogardzacie nami. Wasza ambicja jest wtedy zaspokojona, gdy zepchniecie nas w bagno i na próżno wołamy ratunku. Ze śmiechem odwracacie się. Kiedyś przed sądem boskim odpowiecie za swe nikczemne sprawki. Kto winien temu, że ty mi grozisz policją? Kto winien temu, że jestem kurtyzaną? Dla kogo tańczę? Dla kogo staram się być piękną? Przez kogo zginę? Mężczyzna, oto odpowiedź na liczne pytania. Pan i władca. Zimny i okrutny egoista. W swoim zacofanym egoizmie, nie chcecie dostrzegać swych zbrodni. Nawet prawo jest po waszej stronie. A któż stworzył prawo. Wy... Wy... i wyczerpana umilkła.

Zwidlicz w poczuciu swej własnej winy milczał. Cóż z tego, żeby jej powiedział, że żałuje swego czynu. Za późno. Nie uwierzy. Wszyscy tak mówią. Trzeba się najpierw zastanowić. A nie żałować po dokonaniu niszczycielskiego dzieła.

— Rito rozumiem cię — szepnął tkliwie. — Przyznaję ci słuszność. Tak dużo jest w tym, coś powiedziała, prawdy. Lecz muszę dodać, że w was samych jest też dużo złego.

— Tak, — przerwała mu gwałtownie. — Słyszałam o tym. Lecz dlaczego jeśli dziecko uczyni jakąś psotę przebaczają mu. Bo jest słabe. Jest naiwne. Przecież wy wszyscy uważacie nas kobiety za istoty potrzebujące opieki. Uważacie się za naszych opiekunów, za obrońców. Jak nas bronicie? Jak się nami opiekujecie?

— Jesteście przecież silnymi, — mówiła z ironią. — Jesteście królami stworzenia. Macie silną wolę. Macie hart. Macie rozum. Macie wszystko. A my co mamy? Co? Pytam. Nic! To co pragniemy zdobyć, wywalczyć, dajecie nam, jak kość rzuconą psu. Karmicie nas wówczas jałmużną. Patrzycie na nas pobłażliwie jak na małe dzieci, które po otrzymaniu upragnionej zabawki zachwycają się nią. Tak wy rzucacie do naszych stóp pieniądze, błyskotki, kwiaty, składacie hołdy. Wszystko dajecie prócz... serca!

— Skąd się znalazło w niej tyle energii? — pytał się w duchu Zwidlicz. — Skąd ta znajomość mężczyzn u artystki. Tyle mężczyzn korzy się u jej nóg. Może z nimi igrać.

Rita po krótkiej przerwie ciągnęła dalej:

— Mogłam być szczęśliwą. Miałem chłopca, kochałam go. On udawał, że mnie kocha. Byłam piękną. Cóż z tego. Nie miałam bogactwa. Miałam czystą duszę. Uwiódł mnie i porzucił. Ze śmiechem. Ożenił się potem z bogatą. Długą cierniową drogę przeszłam nim zostałam Ritą Znamirowską. Tak szaleją teraz za mną mężczyźni. Nienawidzę ich. Gardzę nimi. Rujnowałam ich. Kusiłam. Brałam podarunki, nic w zamian nie dając. Za jeden pocałunek mój oddawali majątki. Za uścisk mej dłoni, kradli. Popełniali zbrodnie. Gdy doszła mię wiadomość, że któryś z tego rodu poszedł w zaświaty pomagając woli Bożej, nie uczułam najmniejszych wyrzutów. Tak chciałam, tego pragnęłam. Za jeden mój uśmiech okradali swych chlebodawców. Nie nasyciło to mej nienawiści. Chciałam spotkać jego. Przyszedł. Wiedziałam, że przyjdzie. U was prędko następuje przesyt. Poznał mnie. Pod mym progiem skomlał jak pies o chwilę rozmowy. Rwał włosy z rozpaczy. Nie dopuszczałam go do siebie. Obsypywał mnie podarunkami, kwiatami i klejnotami. Początkowo wyrzucałam to wszystko. Klejnoty rzucałam w ogień. Raz mi przysłał kosztowny sznur pereł. Już miałam go rzucić w ogień. Nie uczyniłam tego. Wspomniałam ile jest istot nieszczęśliwych. Mogą za te perły nasycić swój głód. Mogą się ubrać. Mogą użyć trochę ciepła, słońca. Obdarowywałam spotkane ulicznice. Z jeszcze większą pasją napierałam na swych wielbicieli. Potrzebowałam pieniędzy. Dawali mi. Oddawałam je. Miałam cel. Dla niego byłam okrutną. Nie dawałam mu nic. Brałam dużo. Pewnego wieczora wdarł się do mojej garderoby. Był blady. Kapelusz miał pokryty krepą żałoby. "Żona mi umarła — rzekł. — Jestem doszczętnie zrujnowany. Zabrałaś mi wszystko. Nie mam nic". — Jak nie masz nic, po co do mnie przychodzisz — powiedziałam mu z ironią. Zemście mej stało się zadość. Poczułam nawet iskrę litości dla niego. Inaczej zrozumiał ten odruch. Porwał mnie w ramiona. Począł gwałtownie całować. Zapomniał o świecie... Odraza całego życia i nienawiść znalazły teraz ujście. Wymknęłam

mu się. Otworzyłam garderobę. Kazałam go wyrzucić. Na kilka miesięcy straciłam go z oczu.

Pewnego rozu spotkałam go. Ukłonił mi się. Zrazu go nie poznałam. Tak był zmieniony. Siedział w wspaniałym aucie. Ubrany był wytwornie.

Wszystko co zgasło w mym sercu, odżyło na ten widok. Więc taki łotr, ma szczęście.

Wieczorem przyszedł do mnie. Ofiarował mi wspaniały naszyjnik. Przyjęłam go. Od dwóch lat chodzi do mnie. Przez ten czas wyciągnęłam od niego miliony. Miał... Nie pytałam skąd. Nigdy mu się nie oddałam. Oddałam się tobie. Na twój widok jakieś dziwne uczucie, które dawno zamarło w mym sercu, zatliło. Rozum zgasił to budzące się zarzewie. On chciał abym cię zgubiła. Poznał się na mnie. Wiedział, że z całej duszy nienawidzę mężczyzn. Usłuchałam. Miłość, która raptownie spadła na mą zimną duszę, nie pozwoliła mi dokonać dzieła zniszczenia.

—Jego nazwisko? — zapytał szeptem Zwidlicz.

— Nie powiem ci. Wszystko ci powiedziałam. Przysięgłam, że go nie zdradze.

— Powiedz zatem, gdzie jest Stanisława Korecka? Jestem pewny, że ty przyczyniłaś się do jej porwania.

— Tak, ja. Żałowałam tego bardzo... Bardzo!

Wiem, że nie wierzysz mi. Jest mi wszystko jedno. Teraz już za późno. Musiałabym zdradzić jego. Tego nie mogę uczynić. Jedno ci tylko powiem, że jego plany są zniweczone. Teraz nie może spełnić swych zamiarów. Ty tego dokonałeś.

— Ja? — zapytał zdumiony Zwidlicz.

— Tak ty! — odparła stanowczo.

— Pierwszy raz w życiu uczyniłem coś, o czym nie wiem. A muszę ci wierzyć. Dokonałem to zupełnie podświadomie. Ale nie rozumię cię. Może wypowiesz się jaśniej!

— O ile możesz, — dodał z prośbą w głosie.

— Owszem! Miał zamiar porwać ją zaraz po przyjeździe. Nie powiem ci w jaki sposób, o wszystkim się dowiedział. Zresztą może, już wiesz. Potem narazić ją na różne niebezpieczeństwa. Oddać w opiekę suterenom. W chwili, gdy dziewczyna będzie w największej rozpaczy, on zjawi się jako wybawca. Jest przystojnym mężczyzną. Niejedna dziewczyna zakochała się w nim. Zaś na taką dziewczynę, która uważała się za zupełnie biedną i opuszczoną liczył z wielką pewnością.

Z początku nawet miał zamiar, oddać ją młodzieńcowi od siebie i zagarnąć miliony jej stryja. Potem zmienił plan. Zaraz na stacji podobała mu się. Niestety. Nie udało mu się wówczas. Tyś wszedł w drogę. Poznał cię zaraz. Chciał nawet dać w jakiś sposób znak, aby

jego człowiek poniechał zamiaru. Było za późno. Nie miał nawet czasu zebrać innych ludzi w mieście. W nocy udał się sam zamaskowany. Wszedłeś mu znowu w paradę. Znałam cię z gazet, nie widziałam nigdy. Wtedy dopiero poznałam cię jak przyszedłeś pierwszy raz. Kazał mi z tobą zapoznać. Drugim razem udało mi się to. Resztę już wiesz. On popełnił to tylko, że mi powiedział o losie, jaki cię czeka po wyjściu ode mnie. Inaczej byłabym cię nie przetrzymywała.

— Wszystko jest jasne co mówisz, — rzekł Zwidlicz. — Nie wyjaśniłaś mi tylko dlaczego ja się przyczyniłem do tego, że jego plany mu się nie udadzą.

— Primo, — powiedziała Rita. — Teraz już wiesz o tym, więc nie dopuściłbyś tego... Secundo.. zawahała się.

— Secundo? — powtórzył Zwidlicz gorączkowo.

— Stasia Korecka kocha ciebie.

I Rita powoli opadła na poduszki kanapy, kryjąc głowę w dłoniach.

Zwidlicz ze zdumienia i nagłego gorąca jakie uczuł w swych żyłach nie mógł wymówić słowa.

— Ko... cha... mnie? — wyjąkał z trudnością.

— Tak ciebie, — odparła Rita spokojnie. — Ślepy byłeś, żeś tego nie zauważył. — W porywie nagłej radości, przyskoczył do Rity i porwał ją w ramiona. Zawirował ze zdumioną artystką. Następnie stawiając na nogi ucałował ją serdecznie w oba policzki i w usta. Był to pocałunek wywołany nagłym szczęściem jakie mu zwiastowała Rita.

— Pięć minut już dawno upłynęło, — rzekła Rita irocznie. — Policjanci marzną.

Ochłonął pod wpływem zimnej ironii Rity.

Ujął ją za rękę.

— Możesz mi przebaczyć? — zapytał cicho.

— Tak! Przebaczam ci! — odparła również cicho.

— Rito, mimo wszystko jesteś najszlachetniejszą z kobiet. Tak rozumiem teraz. Tyś niczym nie winna. Miałaś duszę czystą. Ten nędznik skalał. Nie ujdzie kary. Przysięgam ci.

— Wierzę ci. Strzeż się jednak. Zastawił na ciebie jakąś szatańską pułapkę. Powiedział mi, że niedługo a dostanie cię w swe ręce. Namówił mnie do współdziałania w porwaniu Stasi Koreckiej. Powiedział, że tą drogą odzyskam ciebie. Głupia byłam, że wierzyłam. Przepadło. Przysięgą zamknął mi usta. Choćbym miała umrzeć nie zdradzę go. Jednak, gdy ciebie pochwyci, będę się sama starała pomóc ci. Teraz odejdź.

Zwidlicz usłuchał. Pożegnał się w milczeniu i odszedł.

Rita dopiero teraz głośniej załkała.

— Kocha i jest kochany. Jakie to piękne. Dlaczego mój los taki okrutny? — szeptała przez łzy.

— Muszę ich oboje ocalić, — pomyślała.

Ubrała się. Przypudrowała twarzyczkę i wyszła z domu.

— — — — — — — — — — — —

Karol Boreń siedział w wytwornej restauracji i w milczeniu popijał wino.

Naprzeciw niego siedziała hr. Anna Kruszeńska i z roztargnieniem obserwowała kochanka.

Karol od czasu do czasu rzucał spojrzenia na hr. Annę.

Z drugiego końca sali dolatywały dźwięki tanga.

Po pozostałych resztkach znać było, że Karol i hr. Anna byli już po kolacji.

Liczne stoliki były próżne. Prócz kilku zapewne stałych konsumentów nie było nikogo.

Znudzeni kelnerzy podpierali ściany. Stojąc drzemali.

— Wiesz Karolu, — pierwsza przerwała milczenie hr. Anna. — Strasznie się boję. Mam wrażenie, że jesteśmy otoczeni szpiegami. Dziwne uczucie jakiego chwilami doznaję, naprowadza mnie stale na myśl bliskiej katastrofy. Okropny lęk zalewa mi serce. Nie o siebie się boję. Ale...

— O mnie nie potrzebujesz się zbytnio lękać, — przerwał Karol. — Teraz, gdy dziewczyna jest w naszych rękach, muszą się powstrzymać na razie. Będą się obawiali nieszczęścia. Przecież wiesz, że Zwidlicz kocha ją. Musi być ostrożny.

— Wiem, mówiłeś mi. Ale tego dziwnego uczucia lęku nie mogę się pozbyć.

— Czy już dojechała bezpiecznie do "Elizabeth"? — zapytała.

— Nic jeszcze nie wiem. Właśnie czekam na Ludwika. Nie kazałem mu zbliżać się do mnie w dzień. Tutaj ma przyjść i dać mi znak. Trochę się też niepokoję. Był to błąd zawozić dziewczynę do twojej willi. Całe szczęście, że Zwidlicz o niczym nie wiedział. Nie wiem wprawdzie, gdzie go diabli ponieśli, ale to wiem, że nam uczynił największą przysługę. Gdyby on był na zabawie, nic by nam się nie udało. Chociaż jeszcze nie to. On byłby nawet trafił na ślad dziewczyny u nas. Niestety nie wiem co się stało, że go nie było w domu. Wrócił dopiero o trzeciej po południu. Właśnie ta jego tajemnicza wycieczka i to w doskonałym przebraniu, najwięcej mnie intryguje.

Coś się szykuje w powietrzu. A raczej chciałem powiedzieć, że szykowało. Musiało mu trochę popsuć plany porwanie Koreckiej.

Nie przypuszczał nawet jak był bliskim prawdy.

— No Karolu! A co zrobisz z dziewczyną? Nie przypuszczam abyś był bliskim jej milionów.

— Jest Ludwik, — rzekł Karol, pomijając pytanie hr. Anny.

Wszedł powoli niski mężczyzna o szczotkowatej brodzie. Na nosie miał binokle. Z przodu głowy miał wspaniałą łysinę. Cera twarzy była czerwona. Utykając lekko na jedną nogę przeszedł powoli obok stolika przy którym siedzieli Karol z hr. Anną.

Nawet nie spojrzał na nich. Z całą uwagą krótkowidza patrzył przed siebie, jakby w obawie, aby się nie potknąć po drodze.

Prawą rękę trzymał w kieszeni czarnego surduta. W lewej miał zgrabną laseczkę. Płaszcz czarny był rozpięty.

Usiadł w głębi sali i skrzeczącym głosem zawołał na kelnera.

— No co? — zapytała hr. Anna.

—Udało się! Wszystko w porządku, — odparł Karol cicho.

— Przecież ci nic nie powiedział.

— Trzymał rękę w kieszeni. To wystarczy!

Karol Boreń zawołał płatniczego. Zapłacił rachunek i opuścili restaurację.

Wsiedli do nadjeżdżającej taksówki i Karol odwiózł hr. Annę do willi.

Przy pożegnaniu hr. Anna kurczowo trzymając jego dłoń szeptała z widocznym niepokojem.

— Ach Karolu! Znów to dziwne uczucie. Nie chodź tam. Nie musisz iść. Oni mu sami dadzą radę. Jest ich przecież jedenastu. Po co ty tam masz iść?

— Aniu nie bądź dziecinna. Nic mi nie grozi. Żeby był najmądrzejszym człowiekiem nie ujdzie zasadzki. To było genialne z mojej strony. Z początku irytowałem się, że tak długo musiałem czekać. Nie było jednak sposobu. Dziobaty nie mógł znaleźć ludzi wcześniej. Jestem rad, że to wypadło na dziś. Wcześniej musiałbym na nowo zaczynać. Wiesz, że był ranny. Byłby i tak nie przyszedł. Dziś jestem pewny, że przyjdzie. Będzie szukał dziewczyny.

— Myślisz, że ci się powiedzie? — zapytała hr. Anna prawie już uspokojona jego argumentacją.

— Jestem o to tak spokojny, jak wiem, że jutro przyjdę do ciebie.

Ujął ją lekko w ramiona i ucałował długo namiętnie.

— Wracaj cały i zdrów, — szepnęła hr. Anna i w powietrzu posłała mu dłonią całusa.

— Wyśpij się dobrze kochanie, — rzekł Karol. — Jutro zaświta najradośniejszy dzień w naszym życiu.

Wsiadł z powrotem do taksówki i pojechał do willi.

Zapłacił szofera i przeszedł jeszcze kilkadziesiąt metrów pieszo.

W mieszkaniu zrzucił z siebie strój wieczorowy. Przyodział ciemny garnitur marynarkowy.

Podszedł do biurka i wyjął rewolwer i czarną szeroką maskę.

Zarzucił na siebie czarny szeroki płaszcz i wyszedł z domu.

Przez całą godzinę, kołował po ulicach Warszawy. Zacierał w ten sposób za sobą ślady.

Wkrótce zatrzymał się przed szynkownią. Na ulicach panowały ciemności.

Cisza była wokoło. Cicho gwizdnął. Z ciemnego zaułka, podbiegł do niego jakiś mężczyzna.

— W pośrodku! — rzucił krótko Karol.

— W komplecie, — odparł przybyły.

— Stój na straży. Jak nadejdzie, daj mi znać. Czekam na górze.

Wszedł do ciemnej sieni. Gwar i śmiechy dolatywały go z wnętrza meliny.

Zatrzymał się kilka sekund w ciemnej sieni. Założył maskę i śmiałym krokiem ruszył naprzód po schodach.

Na pierwszym piętrze zatrzymał się. Wyjął klucz z kieszeni.

Omackiem poszukał zamku i otworzył drzwi.

Wszedł do prymitywnie urządzonego pokoiku. Mdłe światło lampy naftowej oświetlało brudny drewniany stół i kilka połamanych stołków.

Wybrał najlepszy i usiadł przy stole.

Kilkanaście minut siedział nieruchomo.

Po czym powstał i powoli zbliżył się do prawego rogu pokoju.

Nachylił się, z wyjętym scyzorykiem uniósł powoli kawałek deski.

Ukazał się wąski kwadratowy otwór.

Zajrzał ciekawie na dół.

Zobaczył kilkunastu oberwańców siedzących naokoło stołu obecnie raczących się wódką.

— Psiakrew, zaklął cicho. — Bydlęta. Zakazywałem im wódki.

Długo przysłuchiwał się ich rozmowie.

Ciche trzykrotne pukanie oderwało go od otworu.

Przykrył szybko otwór i podszedł cicho do drzwi.

— Kto tam, — zapytał.

— Dziobaty, — odparł chrapliwy głos. — Gabinet wolny. Wszystko gotowe. Można iść?

— Dobrze! — odparł Karol... Idź i pilnuj aby wszystko odbyło się cicho i sprawnie. Za parę minut będę na dole.

Usłyszał oddalające się kroki gospodarza.

Wymknął się cicho z pokoju i zeszedł na dół.

Przeszedł wąską sień. Na końcu namacał małe drzwi.

Nacisnął klamkę i zniknął w gabinecie.

— — — — — — — — — — — —

Stacha Korecka ocknęła się z przydługiego snu. W głowie czuła straszny szum.

Początkowo nie zdawała sobie sprawy co się z nią stało. Dziwny ból głowy nie dozwalał myśleć jasno.

Wpół przymkniętymi oczami rozglądała się po pokoju. Leżała na szerokim łóżku. Czerwona kołdra niczym nie powleczona okrywała ją do połowy. Pokój był zupełnie pusty. Prócz łóżka na którym leżała i jednego krzesła nic się więcej nie znajdowało.

Całą siłą woli starała się przypomnieć skąd się tu wzięła.

Przeszło pół godziny upłynęło nim się domyśliła wszystkiego.

Przypomniała sobie zabawę. Ritę Znamirowską. Zielone auto i... zakryła twarz dłońmi.

Porwano ją. Zrozumiała, że padła ofiarą zasadzki. Wewnętrzny ból szarpnął nią. Nigdy nie przypuszczała, aby tak piękna artystka mogła odgrywać podłą rolę.

— Nic jej przecież nie uczyniłam złego, — skarżyła się cicho.

Wstała z łóżka i zataczając się na nogach, podeszła do drzwi.

Pocisnęła klamkę i... o cudzie!

Ogarnęło ją dziwne wzruszenie.

Drzwi były otwarte.

Wzruszenie było tak silne, że opuścił ją ból głowy.

Powoli uchyliła i cicho stąpając wyszła. Znajdowała się w drugim pokoju, słabo oświetlonym małą, żarówką elektryczną.

Pokój był zupełnie pusty.

Po przeciwległej stronie zobaczyła drugie drzwi.

— Te na pewno są zamknięte, — pomyślała. Poszła jednak dalej cicho stąpając.

W całym budynku panowała głucha cisza. Okna były zasłonięte ciężkimi roletami. Poprzez spuszczone rolety widać było zarysowujące się kraty.

Drugie drzwi były też otwarte.

Przy wejściu uderzył ją jasny snop światła. Zatrzymała się na progu. Przerażony wzrok utkwiła w środek pokoju.

Przy szerokim biurku, siedział zamaskowany mężczyzna.

Poznała w nim tego samego, który wtargnął do niej pierwszej nocy.

— Bardzo się cieszę, że pani czuje się u mnie jak u siebie w domu, — rzekł zamaskowany dziwnym zmienionym głosem.

Najwidoczniej zmieniał głos przy mówieniu.

— Kto pan jesteś? — pytała Stacha. — Co chcesz ode mnie? Nic panu nie uczyniłam złego!

— Ha! Ha! — zażechotał śmiechem.

— Kto jestem. Wiesz o tym! Jestem tym kogo zowią Maksem. Tym, który ma ciebie w swych rękach. Co chcę od ciebie? Z początku chciałem tylko twych milionów. Teraz chcę twego bogactwa i ciebie. Tak ciebie.

— Musisz być moją, — krzyknął i podskoczył do zrozpaczonej Stachy.

Chwycił ją silnie za ręce.

Przetrzymał przed sobą i patrzył na nią swym magnetycznym wzrokiem.

— Jakże jesteś piękną? — szeptał. — Kocham ciebie. Dam ci złoto. Majątek. Dam ci wszystko, co tylko może mężczyzna dać kobiecie. Już nawet dałem ci miliony stryja. Ukróciłem i tak już niedługie jego życie. Był starym człowiekiem.

— Szatanie! — zawołała dziko Stacha, rozpaczliwie usiłując wyrwać się z jego rąk. Trzymał ją silnie.

— O tak! — mówił. — Taką cię chcę mieć. Dziką kotkę... Lecz jakże piękną.

Porwał ją szybko w ramiona i próbował pocałować.

Stacha sama zdumiała się skąd u niej nabrało się tyle siły.

Nadludzkim wysiłkiem wyrwała mu prawą rękę. Z nieprawdopodobną siłą uderzyła go dłonią w twarz.

Zdumiony otrzymanym policzkiem, zamaskowany wypuścił Stasię z rąk.

Szybko uciekła do ostatniego pokoju. Zobaczyła w drzwiach klucz. Wyciągnęła go. Zamknęła drzwi za sobą i zamknęła kluczem wyjętym z przeciwnej strony.

Następnie ostatnim wysiłkiem omdlewających dłoni zabarykadowała drzwi ciężkim łóżkiem.

Dzieło, które obecnie uczyniła przerastało jej wątle siły. Strach przed zamaskowanym był tak wielki, że dodał jej siły. Zruszona, jak przypuszczała, patrząc z podziwem na swój czyn.

Z każdą chwilą oczekiwała dobijania się zamaskowanego.

Bezwzględna cisza była odpowiedzią.

Wyczerpana wysiłkiem położyła się na łóżku.

Nie wiedziała nawet kiedy usnęła.

Spała twardym gorączkowym snem.

Zamaskowany kilkanaście minut stał na środku pokoju, trzymając dłoń na policzku.

Nie próbował nawet biec za Stasią. Był pewnym, że mu daleko nie umknie.

Zeszedł powoli po schodach na dół.

W chwili gdy znalazł się na parterze rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych.

Nadsłuchiwał kilka minut. Dzwonek wciąż dzwonił szarpany niecierpliwą ręką.

Podszedł do drzwi. W ręku błyszczał rewolwer.

— Kto tam? — zapytał.

— Otwórz. Już długo tu stoję.

Uśmiechnął się i otworzył drzwi.

Na progu ukazała się Rita Znamirowska.

## ROZDZIAŁ XV

Zwidlicz opuściwszy Ritę Znamirowską udał się do sędziego śledczego. Zastał tam aspiranta Górskiego.

Półtorej godziny spędził w ich towarzystwie. Omawiali bardzo ważną kwestię.

— Od ciebie wszystko zależy, — rzekł Zwidlicz zwracając się do Górskiego.

— Możesz na mnie polegać jak na Zawiszy, — odpowiedział Górski poważnie. — Mam wszystko gotowe. Ludzie czekają gotowi.

Zwidlicz pożegnał się z sędzią i pozostawił tam jeszcze Górskiego.

Wyszedł.

Wolnym krokiem udał się do domu.

Napił się gorącej kawy. Rozebrał się z czarnego garnituru. Wdział oberwany strój włóczęgi. Ucharakteryzował się odpowiednio i wyszedł z domu.

Noc była ciemna. Ani jedna gwiazda nie błyszczała na firmamencie.

Udał się do szynkowni Dziobatego. Rozmyślając po drodze, bez najmniejszego wypadku dotarł do szynkowni.

Przez oszklone drzwi doleciał go gwar licznych głosów i skoczna melodia ręcznej harmonii.

Otworzył śmiało drzwi, z dziurami pozatykanymi kawałkami brudnej tektury w miejsce powybijanych szyb.

Uderzył go smród zwietrzałego masła, opary alkoholu i dym tytoniowy unoszący się w powietrzu.

Śmiałym krokiem podszedł do stojącego po lewej ręce brudnego stolika. Kilka plam jeszcze mokrych, zapewne od piwa błyszczało w mętnym świetle, nisko zawieszonej lampy naftowej. Na stole stało kilka brudnych kieliszków z resztkami zabarwionej na czerwono wódki.

Usiadł na spróchniałej od starości szerokiej ławce. Uderzył silnie pięścią w stół. Stojące kieliszki zadźwięczały głośno.

— Wódki! — krzyknął i splunął na podłogę.

Hałaśliwe krzyki, przekleństwa i wulgarne piosenki, które z nadejściem Zwidlicza ustały, wzmogły się na nowo.

Prawie wszystkie stoliki były pozajmowane.

Najhałaśliwiej zachowywało się towarzystwo siedzące nie opodal Zwidlicza. Dwa zsunięte razem stoliki, przykryte były brudnymi ni-

czym ścierki do podłogi obrusami. Stoły rozrzucone były przeróżnymi zakąskami, potłuczonymi kieliszkami i oślizgłymi kuflami z niedopitym piwem.

Bateria Kauch stojących i leżących bezwładnie, świadczyła, że biesiada już dawno się zaczęła.

Na licznych krzesłach siedziało siedmiu obdartych apaszy. Cztery pstro ubrane ulicznice, siedziały na kolanach, pokazując bezwstydne swe wdzięki.

W prawym rogu szynkowni siedział młody chłopak o twarzy przedwcześnie zniszczonej rozpustą i alkoholem. W rękach trzymał odrapaną ręczną harmonię. Grał "Niewolnicę Miłości".

Zza poszczerbionego bufetu, ciężko stąpając zbliżał się do Zwidlicza sam gospodarz. Poznał go od razu. Już dwa razy miał do czynienia z Dziobatym.

Był to chłop olbrzymiego wzrostu. Zbudowany jak Samson. Jego bawoli czerwony kark, odpowiadał rudym kosmykom włosów. Silna twarz była poorana licznymi bliznami. Ponadto zdobiły ją drobne wyżłobienia. Ślady nieumiejętnie leczonej ospy.

Ubrany był w niebieski fartuch, od długich lat nie prany. Świecił licznymi dziurami. Niegdyś jasne, teraz szarego koloru spodnie poszczepiane były zardzewiałymi agrafkami.

Rękawy pasiastej mocno wyświechtanej koszuli, miał podwinięte ponad łokcie, grubych czerwonych rąk, pokrytych licznymi piegami i gęstym rudym owłosieniem.

Grube niby serdelki paluchy, pokryte były warstwą tłuszczu od krajanych wędlin.

Szedł kołysząc się jak słoń. Z bolesnym uśmiechem pokazywał swe zielone spruchniałe zęby. Maleńkie wyblakłe oczy latały niespokojnie.

Pod jego ciężarem cielska głośno trzeszczały niedobrze dopasowane deski zbutwiałej podłogi.

— Co ma być — zapytał głosem, który wypływał z jego gardła jak zgrzyt zardzewiałego żelaza.

Niedbałym ruchem tłustych rąk zebrał stojące kieliszki i kufle od piwa. Czarną od brudu ścierką wytarł stół, wrzucając wszelkie ogryzki na podłogę obok stolika.

Smrodliwy pot, bijący od Dziobatego drażnił wrażliwe nozdrza Zwidlicza.

— Piątkę czystej i kiełbasy, — odparł Zwidlicz patrząc śmiało w małe szparki rybich oczu gospodarza.

Gospodarz oddalił się wolno, rzucając gdzieniegdzie jakieś wulgarne słowo. Głośny pijacki śmiech był odpowiedzią na ordynarne dowcipy Dziobatego.

Po kilku minutach przyniósł małą butelkę wódki i na niekoniecznie czystym talerzyku kilka kawałków nieświeżej kiełbasy.

Zwidlicz ujął butelkę wódki i miał zamiar ponieść ją do ust, gdy tłusta łapa Dziobatego przytrzymała rękę wraz z butelką.

Zwidlicz spojrzał na niego wściekłym wzrokiem i silnym rzutem odtrącił rękę gospodarza.

— Czego? — krzyknął ostro.

Dziobaty skrzywił potwornie tłuste wargi i uczynił niemy ruch palcami oznaczający płacenie pieniędzy.

— Bydlę! — mruknął Zwidlicz.

Wyciągnął z kieszeni srebrną pięciozłotówkę i rzucił niedbale na stół.

Łakomym ruchem porwał monetę i schował do szerokiej kieszeni podartego fartucha.

— Reszta jak będziesz wychodził, — rzekł i odszedł wolno.

W drodze, chwiejnym krokiem podszedł do Dziobatego jeden z siedzących doliniarzy i bełkotliwym głosem przeszywanym czkawką pijacką jął coś mówić.

Dziobaty odtrącił go brutalnie swą muskularną łapą. Pijany doliniarz zatoczył się i runął ciężko na podłogę.

Nikt z pijanej gromady nawet nie zwrócił uwagi na ten incydent.

Jedna z siedzących ulicznic podniosła się i przyskoczyła do powalonego i wybuchnęła chrapliwym śmiechem.

Z nieprawodopodobną zręcznością podniósł się i uderzył śmiejącą silnie w twarz.

— Precz ty k... — krzyknął i chwiejnym krokiem usiadł na opuszczonym poprzednio miejscu. Uderzona podskoczyła do niego zaginając palce jak szpony sępa. Byłoby może doszło do bójki między nimi, gdy siedzący w kącie chłopak zagrał skoczną melodię polki.

Odepchnięty przez Dziobatego doliniarz schwycił wpół rozjątrzoną ulicznicę i zawirował z nią w zawrotnym tempie polki krzycząc:

— Usia... susia! Hej-ha!

Podniosły się szybko inne pary i puściły się w taniec.

Krzyczeli i tupali mocno nogami, tworząc iście piekielną wrzawę.

Po skończonym dzikim tańcu pozajmowali miejsca i wzniosły się pijackie wiwaty.

Zwidlicz przemyśliwał właśnie jakby przedostać się do drugiej mrocznej ubikacji i zobaczyć kto tam się znajduje, gdy dobiegł go stamtąd głośny hałas i tupet biegnących stóp.

Przez otwarte drzwi wybiegła młoda dziewczyna (jakaś ulicznica, — pomyślał). Twarz jej ociekała krwią z rany na czole.

Za nią z wściekle wykrzywioną twarzą ukazał się wysoki blondyn.

Olbrzymim susem przyskoczył do dziewczyny i schwytał ją za włosy i szarpnął w tył.

Zatoczyła się i upadła ciężko na podłogę uderzając silnie głową o szynkowiec.

Z ust jej wydarł się przeraźliwy okrzyk.

Blondyn kopnął leżącą.

Następnie pochylił się nad nieszczęśliwą i okładał pięściami w zaślepieniu nie zważając gdzie spadały ciosy.

Mrowie przeszły Zwidlicza na ten widok zwyrodnienia i zdziczenia ludzkiego.

Zacisnął zęby i podniósł się z krzesła.

Nie mógł dozwolić na nikczemne znęcanie nad bezbronną ofiarą.

Tymczasem blondyn postawił nieszczęśliwą na nogi, uderzył z szerokim rozmachem w twarz. Runęła powtórnie na ziemię bruzgając krwią.

Tego było Zwidliczowi za dużo. Poderwał się szybko i podskoczył błyskawicznie do zwyrodnialca. Straszliwym ciosem pięści ugodził nieprzygotowanego bandytę w zniekształconą bestialską twarz.

Ugodzony cofnął się kilka kroków w tył. Padł ciężko dysząc z upiornym krzykiem.

Następnie podniósł się momentalnie i z wyciągniętym nożem skoczył na Zwidlicza.

Reporter nie czekał na jego napaść. Jak burza runął na niego i ugodził powtórnie z takim impetem, że tenże obalił się po raz drugi.

Cios Zwidlicza był druzgoczący. Napastnik zemdlał.

Zwidlicz szybko podniósł dziewczynę i posadził na krześle.

W tym momencie na progu z drugiej ubikacji ukazał się zamaskowany.

—Brać go! — krzyknął.

Wszyscy apasze, dotychczas siedzący i z podziwem przyglądający się walce, na okrzyk zamaskowanego poderwali się z miejsc.

W rękach błysnęły noże i rewolwery.

Jak stado zgłodniałych z gniewliwym pomrukiem rzucili się na Zwidlicza.

Zwidlicz szybkim susem przesadził ciężki bufet i jak bohater Hawiera chwycił za spód ciężkiego bufetu muskularnymi dłońmi i nim ktokolwiek z atakujących spostrzegł, bufet przewrócił się, przygniatając swym olbrzymim ciężarem kilku najbliższych bestii w ludzkim ciele.

Rozległ się jeden dziki okrzyk wściekłości.

Nagle zabrzmiały trzy strzały rewolwerowe. Strzelał Zwidlicz.

Dwóch bandytów brocząc krwią opadło na podłogę.

— Brać go tchórze, — krzyknął wściekle zamaskowany. — Jeden jest. — Wes... niedokończył.

Drzwi szynkowni otwarły się i wtargnęło kilka granatowych mundurów.

— Ręce do góry! — krzyknął jeden z wbiegających. Chłop z wysokiego wzrostu. — Opór daremny. Jesteście otoczeni.

— Policja! — wzniósł się jeden okrzyk trwogi w wargach zdezorientowanych apaszy.

Nie mieli jednak czasu zastanawiać się nad sytuacją. Długie ramię prawa w postaci policjantów zakładało już im kajdanki na rękach.

Głupieli z przerażenia i poddawali się bez oporu.

Zamaskowany natomiast szybko się zorientował w rozpaczliwym położeniu.

Z ust wyrwał mu się wściekły chichot.

Dał kilka strzałów rewolwerowych w stronę policjantów. Jednak strzały nie odniosły pożądanego skutku.

Odważni policjanci, nie pierwszy raz znajdowali się w podobnej sytuacji. Szybko wskoczyli w bok, kryjąc się za plecami przerażonych bandytów, jednocześnie aresztując ich.

Zamaskowany dał jeszcze dwa strzały w stronę Zwidlicza i rzucił się w tył do ucieczki.

— Za nim! — krzyknął Zwidlicz gromkim głosem, podnosząc się z ziemi, gdzie ukrył się za bufetem przed strzałami zamaskowanego.

Strzelił do niego również lecz z niewygodnej pozycji w jakiej się znajdował strzały chybiły.

Podniósł się szybko i podbiegł do drugiego pokoju... Ale tu już było kilku policjantów z aspirantem Górskim na czele.

Trzech z nich trzymało bezsilnie wyrywającego się zamaskowanego.

— Nie jesteś ranny? — zawołał Górski.

— Nie! — odparł Zwidlicz. — Ta krew to nie moja. Dzielnie się spisałeś. Mamy łotrzyków w rękach.

— Nikt się nie wymknął, — powiedział Górski mile połechtany pochwałą Zwidlicza. — Strażnika dostaliśmy pierwszego w ręce. Nawet pary z ust nie zdołał wypuścić. Znam tę melinę. Obstawiłem wszystkie wyjścia.

— No koniec z Maksem, — zakończył z dumą Górski.

Zwidlicz nic nie odpowiedział. Podszedł do zamaskowanego i podniósłszy rękę do jego twarzy rzekł:

— Karol Boreń, twoja piękna głowa otrzyma kanapiowy krawat.

I szybkim ruchem zdjął maskę z twarzy schwytanego.

Rzeczywiście oczom zdumionym policjantów i aspiranta Górskiego ukazała się panoszała twarz Karola Borenia.

— Tyś wiedział, kto jest Maksem? — zapytał zdumiony Górski.

— Nie! Nie wiedziałem. Jeszcze dokładnie nie wiem.

— Cooooo? — i Górski otworzył szeroko usta.

— Teraz wiem! — rzekł dobitnie Zwidlicz.

Górski pokiwał głową i zwróciwszy się do policjantów rozkazał szykować się już do odwrotu.

Zwidlicz spojrzał bystro na Borenia.

— Przerachowałeś się, — myśląc, że wpadnę w pułapkę. Byłbym może wpadł. Mistrzowsko odgrywałeś sam rolę wspólnie z Wypychem. Nawet na strychu nie domyśliłem się jeszcze. Dopiero, gdy ty obawiając się aby was kto nie usłyszał, mówiłeś za głośno. Następnie, dlaczego nie przepatrzyłeś strychu. Mogłeś przypuszczać, że o ile by cię ktoś śledził, tam miał doskonałą sposobność ukrycia się. Nie oglądałeś się prawie ani poza siebie. Wiedziałeś, że idę za wami. Byłbyś się nawet ze mną załatwił, lecz jesteś tchórzem.

Było was dwóch tylko. Nie miałeś sposobności zwołać innych. W pierwszej chwili myślałem, żem cię pierwszy spostrzegł. Omyliłem się. Tyś mnie pierwszy zobaczył. W swojej genialnej głowie ułożyłeś plan. Przypadkowo spotkany Wypych miał ci posłużyć za narzędzie.

Z jaką przebiegłością mówiłeś do Wypycha, żeby czekał w poniedziałek w szynkowni Dziobatego. Miał się tam pojawić posłaniec Maksa i wręczyć instrukcję Wypychowi. Wypych miał wykonać poruczone mu zadanie i zgłosić w wiadomym miejscu. Umyślnie nie okazałeś miejsca aby sobie zapewnić, że nie będę mógł działać przedwcześnie. Wiedziałeś, że dużo wiem o tobie. Nie kazałem jednak aresztować cię. Szukałem Maksa. Przypuszczałeś zatem słusznie, że nie będę działał wspólnie z policją. Aresztowanie Wypycha nie przyniosłoby mi żadnej korzyści. Nie zdradziłby miejsca komunikacji z Maksem. Byłeś pewny, że zjawię się osobiście ucharakteryzowany, ma się rozumieć i będę starał się śledzić Wypycha. Przejrzałem cię. Tak. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Wpadłeś, — zakończył Zwidlicz i ruszył naprzód ujmując pod rękę zachwyconego Górskiego genialnością Zwidlicza.

Ośmnastu policjantów prowadziło skutych apaszów do przygotowanej karetki policyjnej. Zwidlicz w towarzystwie Górskiego wsiadł do dwuosobowego służbowego samochodu.

W milczeniu pojechali do miasta.

Nie wiedzieli, że jakaś ciemna postać, odłączyła się od wnętrza domu i chyłkiem skradając się przebiegła kilkaset metrów i wsiadła do czekającego samochodu.

Auto ruszyło szybko z miejsca i sunęło w ślad za odjeżdżającą policją.

Noc była ciemna i pochmurna.

Czasem tylko przez utworzoną lukę na nieboskłonie, przeglądał uśmiechnięty księżyc.

— Fatalny wtorek, — mówił pan August Kowalski do swej Stefci.

— Jakto? — zaszepleniła. — Nie cieszysz się, że nieuchwytny Maks nareszcie jest nieuszkodliwiony. Ach! jaki z tego Zwidlicza bohater.

— On taki piękny, — dokończyła pani Stefania z zachwytem.

— Co mnie Maks obchodzi, — zawołał gniewnie pan August.— Mnie nic nie ukradł. Co mnie obchodzi sławny Zwidlicz.

— Tu jest nieszczęście, — krzyknął i podał swej połowicy mały różowy liścik.

Powoli wzięła z rąk zagniewanego pana Augusta list i rozłożywszy czytała.

*Panie Auguście!*

*Zrywam kontrakt. Występować nie będę już nigdy. Po odszkodowanie może się pan zgłosić do godziny czwartej popołudniu. O piątej wyjeżdżam na zawsze z Warszawy.*

*Rita Znamirowska.*

— I ty się tak tym przejmujesz — rzekła pani Stefania oddając mu list z powrotem. — Nie będzie ta, będzie inna. Mamy dość ładnych kobiet w Polsce.

— Ty głuptasie, — dodała i podeszła do niego, gładząc po pulchnej twarzy.

Rozpromieniony pan August ucałował z namaszczeniem dłoń żony.

— Masz rację. Poszukamy innej. Może znajdziemy lepszą. Dam Znamirowskiej spokój. Nawet nie będę domagał się odszkodowania. Zarobiliśmy przy niej dużo.

I pan August majestatycznym krokiem opuścił panią Stefanię.

Taka była mowa pożegnalna tego, który przy pomocy Rity dorobił się pokaźnego majątku.

Tymczasem przedmiot chwilowej udręki pana Augusta szykował się do odjazdu.

Nieład panował w mieszkaniu. Walizki podróżowe zapełniała szczelnie przeróżnego rodzaju sukniami służąca.

Mnóstwo mieniących się klejnotów wraz z książeczką czekową leżało na stole.

Rita siedziała przed lustrem i pudrowała twarz.

Czyniła to raczej machinalnie z przyzwyczajenia, niżeli z rozmysłem.

— Taki to koniec, — szeptała do siebie, jeszcze nieukarminowanymi pobladłymi ustami. — Może w szerokim świecie znajdę ukojenie. Niech im Bóg błogosławi. Może będą szczęśliwi. Co mogłam uczyniłam dla ich szczęścia. Nie udało mi się uwolnić Koreckiej. Niech on walczy o nią. Nie zawsze stąpamy po różach. Jestem winną porwania

biednej dziewczyny. Nie wątpię, że on ją wybawi. Po tym co wczoraj uczynił doprowadzi swe dzieło do końca. Maksymilianie Kartner, drżyj przed tym człowiekiem.

Wejście Norberta Bokundy przerwało monolog Rity.

— Więc nieodwołalne jest twoje postanowienie? — rzekł ujmując dłoń Rity.

Wyrwała mu gwałtownie.

— Tak! — rzekła twardo. — Nie będę więcej bawić mężczyzn swym ciałem. Nie będą szukali u mnie zaspokojenia swych zmysłów.

— I nie, nie będziesz ich rujnować, — wtrącił Norbert Bokunda.

— Powinni mi być za to wdzięczni, — powiedziała Rita.

Wstała od toaletki i wolno podeszła do stolika.

— Oto mój dobytek, — wskazała ręką na porozrzucane w nieładzie klejnoty. To mi wystarczy do końca życia, aż zanadto. Wcale nie mam wyrzutów sumienia, że niektóre z nich są splamione krwią. Krwią mężczyzn, którzy pozbawili się życia przeze mnie. Chciałam tego i dopięłam. Więcej takich jak ja, a nie byłoby tyle podłości i zbrodni na świecie. Musieliby mężczyźni w końcu zadowolnić się posiadaniem legalnych małżonek. Nie kradliby, nie mordowaliby dla kochanek. Spostrzegliby się, że to daremne.

— Jakie to szczęście, że ty jesteś jedna, — rzekł wesoło Norbert Bokunda i chciał spróbować objąć ją.

— Precz ode mnie! — krzyknęła dziko. — Nie dotykaj mnie. Żaden mężczyzna mnie nie dotknie póki żyć będę.

— Żegnam cię, abyś był szczęśliwym, choć w to nie wróżę, — dokończyła i skinęła mu ręką.

Kilka minut stał, po czym ukłonił się z szacunkiem księcia i powoli oddalił, rzucając ostatnie spojrzenie na odbicie pięknej artystki w lustrze.

Po jego odejściu Rita usiadła na miękkim fotelu i napisała długi list. Zaadresowała kopertę do Zwidlicza.

Zawołała służącą i już miała oddać czekającej dziewczynie kopertę... lecz rozmyśliła się.

Podarła list i wrzuciła do kosza.

Wzięła nowy papier listowy i napisała dwa słowa. Nie umieściła podpisu.

— Tak będzie lepiej, — pomyślała.

Zaadresowała nową kopertę i podała służącej.

— Proszę ten list wrzucić do skrzynki. Tu są pieniądze na znaczek.

W dwie godziny potem siedziała w przedziale pierwszej klasy. Była sama. Kurier mknął naprzód z wielką szybkością.

Ze łzami w oczach spoglądała na niknące kontury w zachodzącym słońcu ostatnich domów Warszawy.

— Żegnajcie! — szeptała pobladłymi wargami.

Perlista łza spłynęła bezszelestnie na białą dłoń.

Pociąg mknął unosząc ją ku innemu życiu. Mrok powoli otulał szybko mijające krajobrazy.

Białe welony mgły spływały powoli na ziemię, otulając ją miłośnie muślinowymi szaty...

## ROZDZIAŁ XVI

Głośne uderzenia do drzwi zbudziły Stasię Korecką z gorączkowego snu.

Zerwała się przerażona i wyskoczyła z łóżka.

Rozszerzonymi z przestrachu oczyma patrzała jak pod naporem silnych uderzeń trzeszczały deski.

Z kurczowo zaciśniętymi rękami stała rozglądając się bezradnie po pokoju.

Głucha rozpacz targnęła jej sercem.

— Koniec, — myślała. Przez całą noc nie dawał znaku życia o sobie. Była wyczerpana i głodna. Nawet nie wiedziała, że jest wtorek, godzina siódma wieczorem. Od niedzieli nie miała nic w ustach.

Obwarowana łóżkiem odmawiała przyjęcia potraw. Postanowiła zagłodzić się.

Przypuszczała, że napastnik będzie się starał wyważyć drzwi. Od kilkunastu godzin nikt się nie dobijał. Podchodził tylko i przez drzwi proponował otwarcie.

— Musi pani coś zjeść, — mówił. Odmawiała. Z nikłą nadzieją w sercu oczekiwała ratunku.

Sądziła, że Zwidlicz pojawi się niosąc zbawczą pomoc tak jak ongiś to uczynił. Czekała na próżno.

W tej chwili opuściła ją nawet iskra nadziei, która tliła w skołatanej duszy.

Odebrałaby sobie życie. Nie miała czym. Myślała nawet o sznurze. Z odrazą odrzuciła ten plan. Przejmował ją wstrętem taki koniec.

Z bólem w lazurowych oczach opadła na łóżko i oczekiwała swego nieszczęsnego losu.

Nawet dotkliwy głód nie sprawiał jej takiej męki, jak trwoga przed nieznanym napastnikiem i ciemiężycielem.

Ostatnie głośne jak huk strzału armatniego uderzenia wyparły szeroki otwór w drzwiach.

Zamaskowana twarz ukazała się z przeciwnej strony.

Wsadził rękę w otwór, schwycił za poręcz łóżka i z wielką siłą uniósł do góry. Odsunął trochę na bok.

Stacha na ten widok zadrżała. Przyskoczyła do otworu i zaciśniętymi piąstkami poczęła uderzać w twarz napastnika.

Biła z równoległością i siłą istoty, która już nie ma nic do stracenia. Schwycił jej ręce i ścisnął z taką siłą w przegubach, że głuchy

jęk wyrwał się z jej ust. Bezsilnie zawisła w rękach zamaskowanego.

Puścił ją. Dwa razy unosił łóżko i odsunął na bok.

Łóżko było odsunięte dostatecznie. Jedna połowa była wolna od barykady.

Uderzył z rozmachem ramieniem w nadwerężone poprzednio dobijaniem i połowa drzwi wyleciała z trzaskiem z zawiasów.

Stacha była tak osłabioną, że nie mogła nawet unieść ręki.

Przyskoczył do niej i uniósł w ramionach.

— Teraz nawet szatan sam nie wyrwie cię z mej ręki, — zawołał z dzikim szyderstwem. — Jesteś moja. Tak, tylko moja.

Przycisnął ją silnie do swych piersi.

Szarpnęła się... bezskutecznie.

Zaniósł ją do ostatniego pokoju i ułożył na miękkiej kanapie.

Ze stolika stojącego obok wziął papierosa i zapalił.

Namiętnym wzrokiem pożerał leżącą bezwładnie Stasię. Z ust wypuszczał kłęby sinawego dymu.

Wypalonego papierosa do połowy porzucił na podłogę.

Usiadł na kanapie i szybkim ruchem zrzucił maskę.

Stacha ujrzała jego twarz.

— Pan? — zawołała. — Potworze! Na pomoc! Na pomoc!...

— Krzycz moja mała i tak cię nikt nie usłyszy. Drzwi są dobrze zamknięte. Twój ukochany Zwidlicz nie obroni cię tym razem.

— Tchórzu, boisz się go! — rzekła Stacha patrząc mu śmiało w oczy. — Przy nim wyraźnie drżałeś. Niestety, gdyby tu był, twój koniec byłby bliski. Pobladłeś! Acha! Drżysz! Podły... Podły...

— Zapłacisz mi za to, — ryknął. — Nie będę cię bił. Pieszczotą mi zapłacisz za obelgi.

Przyskoczył do Stachy i objął ramionami. Lubieżne spojrzenie błyszczących oczu zbliżało się do jej twarzy. Trzymał ją mocno, nie mogła się nawet ruszyć.

Jego gorący oddech raził ją. Usta spalone trawiącą go namiętnością zbliżał powoli do jej pobladłych warg.

Traciła przytomność.

Sekunda jeszcze, a usta ciemiężcy dotkną ust Stachy.

Zupełnie podświadomie krzyknęła:

—Włody! Włody! — i szarpała się rozpaczliwie.

— Jestem! — rozległ się donośny głos jak dźwięk fanfary od strony drzwi.

Napastnik puścił Stasię.

Odwrócił się gwałtownie. Okrzyk przestrachu wyrwał się z jego ust.

Stacha również uniosła głowę. Uśmiech niewysłowionego szczęścia, rozjaśnił jej znękaną twarzyczkę.

W otwartych drzwiach z rewolwerem w ręce stał Zwidlicz.

— — — — — — — — — — — —

Z szybkością błyskawicy rozbiegła się radosna wieść o ostatecznym zlikwidowaniu bandy i ujęciu nieuchwytnego Maksa. Wiadomość, że postrachem Warszawy, siejącym ogólną grozę jest w kołach towarzyskich "piękny Karol Boreń", nie wywarła oczekiwanego wrażenia.

Ogólnie spodziewano się, że jest to człowiek o nadzwyczaj rozwiniętym intelekcie, zajmujący wybitne stanowisko. Jednak mimo tego małoznaczącego rozczarowania, warszawianie byli upojeni sensacją.

Aczkolwiek było dużo takich, którzy mieli niejasne podejrzenia co do osoby i charakteru Karola Borenia, nigdy by im nie przyszło na myśl identyfikować go z Tajemniczym Maksem.

Ogólne naprężenie i paniczny strach przed tym demonem zbrodni i szantażu prysło. Na skupionych twarzach bogaczy pojawił się wesoły uśmiech i beztroska radość.

Nareszcie Warszawa uwolniona została od trapiącej ją zmory. Nie zapomnieli poczciwi warszawianie, że w największej części do wykrycia i ujęcia bandy z groźnym hersztem na czele, przyczynił się Zwidlicz.

Sławny reporter był bohaterem dnia. Uwolnieni od krwawego wampira w demonstracyjnym pochodzie, przybyli pod redakcję Kurjera Warszawskiego. Wysłano delegację złożoną z sześciu najpoważniejszych mężczyzn.

Delegowanych powitał z całą powagą swego stanowiska, naczelny redaktor pan Kamiński.

W gorących pełnych patosu słowach podziękował za zaszczyt jaki spotkał redakcję, a w szczególności jednego z pracowników.

Z wielkim ubolewaniem i smutkiem oznajmił, że główny bohater pan Zwidlicz jest nieobecny.

— Uwolnił on nas, — mówił pan Kamiński, — od groźnego pająka, który swą siecią omatał całe miasto. Przyczynił się do rozpogodzenia zachmurzonych lic. Powszechna radość zawitała do steroryzowanych serc. Zawitały dni pogody. Dni słoneczne. Nikt nie będzie obawiał się wyjść swobodnie na piękne ulice naszego prastarego grodu. Naszej pięknej polskiej stolicy.

— Wszystkie serca biją radośnie, tylko serce głównego bohatera okryte jest żałobą i smutkiem. Podawaliśmy swego czasu w naszym dodatku nadzwyczajnym wyczerpujące szczegóły o pięknej dziewczynie. Podobizna uroczej Stachy Koreckiej zdobiła szpalty pism. Jak lis czyhający na upragnioną zdobycz, tak polował na pannę Stanisławę Korecką schwytany Maks.

Ostatniej niedzieli powiódł się jego zamiar. Panna Korecka zniknęła bez śladu. Całą Warszawę przeszukano prawie od piwnic do strychu, bezskutecznie. Na ślad porwanej nie natrafiono.

Zainteresowany mocno, a raczej obrońca, nasz sławny reporter pan Zwidlicz poszukuje porwanej.

Niepłonną mamy nadzieję, że zwycięstwo stanie po stronie szlachetności i cnoty. Z całej duszy oczekujemy wieści o ocaleniu panny Koreckiej.

Tym tłumaczę nieobecność bohatera dnia. Pewny jestem, że mimo smutku jaki gości w jego sercu, nie zawahałby się ani na moment, aby przybyć tutaj i złożyć najserdeczniejsze dziękczynienia szanownym panom jako też i wszystkim zebranym.

Jednogłośnym okrzykiem "Wiwat" podziękujmy nieobecnemu panu Zwidliczowi.

— Wiwat! Wiwat! — rozległ się donośny okrzyk.

Delegowani złożyli u stóp redaktora piękny wieniec i po przemówieniach opuścili redakcję.

Oczekujący tłum przyjął delegowanych z zaciekawieniem. Lekkie rozczarowanie odmalowało się na twarzach zebranych na wiadomość o nieobecności Zwidlicza. Szczególnie kobiety wyrażały niemal głośno swe nieukontentowanie z tego powodu.

Delegowani wyjaśnili natychmiast powód nieobecności. Ze smutkiem słuchano mowy delegowanych.

— Do więzienia! Do więzienia! — zabrzmiały okrzyki. — Musi powiedzieć gdzie jest panna Korecka.

Wszyscy ruszyli w stronę więzienia. Po drodze tłum się zwiększał. W kilku minutach zastępy doszły do kilku tysięcy.

Z głośnymi okrzykami przeciw Maksowi szli ulicami Warszawy.

Byłoby przyszło do poważnych starć między gorącymi zwolennikami Zwidlicza a dozorcami więzienia, gdyby nie szybka interwencja policji i wojska.

Policja uzbrojona w gumowe pałki przy pomocy wojska zaledwie zdołała rozpędzić manifestantów.

Tymczasem Zwidlicz nie mający najmniejszego pojęcia o ogólnym zainteresowaniu jego osobą z głuchą rozpaczą w sercu przebiegał Warszawę w poszukiwaniu za Stasią Korecką.

Dopiero teraz uprzytomnił sobie jak wielkie znaczenie Stacha miała w jego życiu. Czuł, że kocha to urocze dziewczę wszystkimi fibrami swej duszy. Spostrzegł się, że Stacha stanowi decydujący moment w jego awanturniczym życiu. Była jego ostatnią przygodą. Przygodą o której nawet nie marzył w swych snach. Myślał tylko o niej.

Nie zastanawiał się nad tym, czy Stacha odpowie mu miłością wzajemną. Nie obchodziły go miliony. Rita powiedziała "Stacha cię kocha". To było wszystko. Mówiła prawdę. Wierzył jej.

Zastanawiał się jedynie nad tym: w jaki sposób odnaleźć Stasię. On jeden wiedział co sądzić o schwytaniu Maksa.

Resztę nocy po udałej wyprawie do szynkowni Dziobatego spędził bezsennie. Otoczony kłębami dymu tytoniowego, siedział na miękkim fotelu.

Myśl jego biegła ustawicznie ku Stasi. Wszelkimi siłami starał się wyjaśnić zawiły problem zniknięcia Stachy.

Szczęście całego życia zależało od tego. Po długim namyśle postanowił udać się do Jasińskiego. Może tam uda mu się wpaść na trop.

Doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Jasiński był niebezpieczniejszy od dziesięciu Karolów Boreni. Był doskonale wyszkolony we wszelakiego rodzaju zbrodniach. Prawie na pamięć znał historię międzynarodowego złoczyńcy.

Przebrał się w ten sam strój w jakim go widział ostatnio rzekomy pan Ridik. Uzbroił się w nabity rewolwer i wyszedł z domu.

W trzy kwadranse stał przed drzwiami mieszkania Jasińskiego i dzwonił.

Otworzył mu służący.

— Nie ma tu miejsca dla włóczęgów, — krzyknął ostro patrząc podejrzliwym okiem na Zwidlicza.

Zwidlicz w pierwszym impulsie chciał dać małą nauczkę sługusowi, gdy wzrok jego padł na odbitkę w w dużym lustrze, stojącym w poczekalni.

Uśmiechnął się w duchu.

— Pan Ridik kazał mi się tutaj zjawić — rzekł pokornym głosem z uszanowaniem zdejmując czapkę przed sztywnym lokajem.

Sługus skinął mu protekcjonalnie głową i zniknął zamknąwszy drzwi.

Dość długa chwila minęła, gdy drzwi otwarły się ponownie.

— Wejść, — rzekł sługa.

Poprowadził go przez dwa pokoje gustownie urządzone.

Zatrzymał się przed wejściem do trzeciego.

Na moment zniknął za ciężką ciemną portierą.

Zwidlicz słyszał jak mówił.

— Oberwaniec jest proszę jaśnie pana.

— Niech wejdzie. — Poznał głos Ridika vel Jasińskiego.

Sługa odchylił portiery i ręką wskazał na siedzącego w głębi przy szerokim biurku Ridika a raczej Jasińskiego.

Ubrany był w kolorową pyżamę. Na rękach miał jasne rękawiczki. Przysłonięta roleta nie dozwalała dokładnie widzieć jego twarzy.

Utkwił swe przyblakłe oczy w twarzy Zwidlicza.

— Więc chciałbyś dostać robotę? — zapytał wolno.

— Tak jest! — odparł Zwidlicz stanowczo.

— Dobrze! — rzekł Jasiński powstając. — Łukasz wskaże ci co masz robić. Po wykonaniu pracy dostaniesz zapłatę.

Skinął mu lekko głową.

Zwidlicz wyszedł w towarzystwie poprzedzającego go Łukasza.

Zeszli na podwórze. W głębi stała mała przybudówka.

— Zapewne drewutnia, — pomyślał Zwidlicz.

Rzeczywiście była to drewutnia pełna nierąbanego drzewa.

— Masz to wszystko porąbać, — rzekł Łukasz rozkazującym tonem. — Tam jest w kącie siekiera. Tu jest pień do rąbania.

Zwidlicz podszedł i ujął za siekierę. Była to duża ciężka siekiera ciesielska.

Tymczasem Łukasz wyszedł i nim Zwidlicz mógł się zorientować usłyszał trzask zamykanych drzwi na klucz.

Podskoczył szybko i pchnął drzwi. Z zewnątrz dobiegł go szyderczy śmiech.

Z całą wściekłością runął na drzwi. Swym potężnym ramieniem uderzył jak piorunem. Każde nawet dość masywne drzwi pod tym uderzeniem rozleciałyby się w kawałki. Te ani drgnęły. Były to grube dębowe drzwi wzmocnione żelaznymi grubymi sztabami.

Porwał za siekierę i począł z całą zawziętością uderzać w okolicy zamka.

Był przekonany, że wpadł w zasadzkę. Więc Jasiński go poznał. Sprytna sztuka. Miotał się jak tygrys osaczony w kniei. Teraz właśnie najwięcej potrzebna mu była swoboda. A on głupi dał się schwytać jak naiwne dziecko.

Podczas tych rozmyślań uderzał siekierą w drzwi. Drzewo było tak twarde, że siekiera stępiła się już zupełnie, a nie zrobił jeszcze nawet małego ułomu.

Z rozpaczą beznadziejną w sercu porzucił siekierę. Była zbyteczna. Choćby miał dziesięć takich siekier i czasu około dwóch dni możeby w końcu wyważyłby zamek.

Nie miał nie tylko dziesięciu siekier, ale też nie miał dużo czasu. Wiedział, że jak im uda się go przetrzymać tutaj dwa dni, po bandytach nie będzie śladu i porwanej Koreckiej. Mogą umknąć gdzie im się podoba.

— Teraz po schwytaniu Maksa, policja zmniejszy czynności. — Uśmiechnął się z goryczą na myśl Maksa.

Zacisnął pięści.

Kilkanaście minut przemyśliwał nad swą rozpaczliwą sytuacją. Myśl, że Stacha Korecka znajduje się w stokroć gorszym położeniu, napełniła go obłędną trwogą.

Całą siłą swej żelaznej woli smucił się do zapomnienia o niebezpieczeństwie Stachy.

Potrzebna mu była zimna krew. Musiał się dobrze zastanowić nad możliwością ucieczki.

Ze skupioną uwagą obejrzał drewutnię.

Spód drewutni wyłożony był żelazo-betonem. Prócz dużej masy drzewa nic więcej nie znajdowało się. Okno małe, znajdowało się na wysokości dwóch metrów. Było gęsto zakratowane.

Chwycił się palcami krawędzi okna i wzniósł się do góry. Zobaczył szary kawałek muru stojącej naprzeciw oficyny.

Wąskie okienko umieszczone w grubym murze, nie dawało nawet dojrzeć części podwórca.

Zły był na siebie, że przed tą niefortunną eskapadą nie zbadał uprzednio terenu.

Był teraz zdany na łaskę i niełaskę Jasińskiego. Myślał nawet o tym czyby nie posłać przez okno kilka strzałów rewolwerowych. Może tym sposobem udałoby się zaalarmować, ewentualnie, mieszkających w kamienicy.

W tak dużym domu musiało zamieszkiwać sporo mieszkańców. Gdyby mu się tylko udało zwabić ich strzałami, poprosiłby o pomoc policji.

Chwycił się tej ostatniej nadziei jak tonący brzytwy.

Wyjął rewolwer i oddał przez okno cztery strzały. Huk jaki powstał musiał być roztoczony nie tylko w kamienicy, ale i na ulicy.

Z zapartym oddechem oczekiwał skutków. Ułynęło kilka minut. Zdawały się one długimi godzinami nadsłuchującemu Zwidliczowi z naprężoną uwagą.

Uśmiech zadowolenia wypłynął na ustach Zwidlicza. Od strony podwórza dobiegł go gwar licznych głosów.

Już miał krzyknąć o pomoc, gdy dobiegł go nienawistny głos Jasińskiego.

– Komu życie miłe niechaj nie zbliża się do drewutni. Udało mi się schwytać niebezpiecznego wariata. Jest uzbrojony. Dowodem są jego strzały. Wtargnął do mnie i podał się za sławnego reportera Zwidlicza. Z bronią zażądał ode mnie pieniędzy. Powiedziałem mu, że są ukryte w drewutni. Kazał mi się tam udać. Byłem w domu sam ze starym Łukaszem. Pod grozą jego rewolweru udałem się. Po jego błędnym wzroku, oberwanych łachmanach i zniekształconej wielką chorobą twarzy poznałem wariata. Jest to pewnie jeden z wielu co z braku chleba i nędzy dostają pomieszania zmysłów. (Głos mówiącego Jasińskiego brzmiał doskonale udaną litością). Gdy prowadzony przeze mnie ten nieszczęśliwy człowiek wszedł do drewutni, uskoczyłem szybko w tył a sługa momentalnie zamknął drzwi. Przez jakiś czas zachowywał się spokojnie. Szukał pewnie pieniędzy. Teraz w zamroczeniu umysłowym strzela przez okno. Dziwię się tylko dlaczego

nie krzyczy. Schwytani wariaci zwykle krzyczą albo starają się mówić spokojnym głosem aby wprowadzić w błąd innych.

Telefonicznie dałem znać do domu wariatów. Wkrótce przybędzie karetka i może uda mi się obezwładnić nieszczęśliwego i rozbroić.

— Radzę wszystkim obecnym nie zwracać na niego uwagi. Nawet dodam aby nikt się nie zbliżał. Może stać się nieszczęście. Nie jestem pewien czy Łukasz zamknął dostatecznie drzwi w chwili przestrachu. Sam się lękam aby nie wydostał się przedwcześnie na wolność. Jest tam duża siekiera ciesielska. Może każdej chwili ująć za nią i wyrąbać zamek.

Długa ta przemowa musiała wywrzeć oczekiwane wrażenie przez Jasińskiego.

Zwidlicz osłupiały słuchał słów opryszka. Wiedział teraz, że na nic by mu się nie przydało mówić do zebranych. Byli doskonale uprzedzeni.

W bezsilnej złości gryzł palce do krwi by nie wybuchnąć.

Stał nieruchomo. Badał swą rozpaczliwą sytuację.

Gdy gwar na podwórzu ucichł, podszedł do pnia, służącego do rąbania drzewa i usiadł ciężko. Głowę skrył w dłoniach.

Nie spojrzał nawet na zegarek jak dużo czasu upłynęło od chwili jego uwięzienia.

Nic go już teraz nie interesowało. Był jak martwy. Pogrążony w swym smutku, nie słyszał zrazu cichego pukania jakie dobiegało od strony drzwi.

Dopiero ponowne głośniejsze pukanie wyrwało go z apatii. Jak senny uniósł głowę i bez najmniejszego zaciekawienia nadsłuchiwał.

Nawet mu na myśl nie przyszło, że może to się zbliża ratunek.

— Panie Zwidlicz, — doleciał go cichy stłumiony głos z zewnątrz.

Krzyknął gwałtownie jak zbudzony z kosmicznego snu. Martwym wzrokiem spojrzał w stronę skąd doleciał go przytłumiony szept.

— Czyżbym padł ofiarą złudzenia? — pomyślał. — Któż mógł wołać.

## ROZDZIAŁ XVII

O godzinie wpół do trzeciej popołudniu, siedział Zwidlicz w towarzystwie aspiranta Górskiego i Piotra.

Piotr, który nigdy nie znajdował się w podobnej sytuacji robił wrażenie zalęknionego jagnięcia.

Jakże dziwny kontrast stanowił z tym Piotrem, który nie zawahał się rzucić na Jasińskiego.

Uradowana gospodyni Zwidlicza szybko krzątała się nad obiadem. Zwidlicz mimo głodu nie mógł jeść.

Trapiła go myśl o Stasi Koreckiej.

Z Jasińskiego nie mógł wydobyć najmniejszego słowa. Był moment, że miał wielką ochotę zastosować metodę średniowieczną względem upartego opryszka.

Piotr nie mający tego uczucia ludzkiego, które wzdryga się na myśl o torturowaniu bliźnich, choćby nawet przestępców, radził sprawić mu takie lanie, aby powiedział.

Nie rozumiał tego jak można obchodzić się delikatnie z człowiekiem, który uczynił wiele złego.

On znał prawo pięści. Dla niego obca była metoda śledztwa. Mimo, że sam był w śledztwie. On rozumiał wówczas, że nie mogli go bić. Był przecież niewinny.

W swej gorliwości naszykował nawet mokry powróz.

Zwidlicz potrząsnął głową. Kazał mu odejść i przyszykować auto Ridika.

Sam zatelefonował do Urzędu śledczego i zawiadomił sędziego Malińskiego.

Przybyła natychmiast policja i zabrała Jasińskiego i Łukasza.

W domu zastał już czekającego Górskiego.

Wkrótce opowiedział mu o zaszłych wypadkach.

Na twarzy Górskiego malował się smutek. Współczuł boleści przyjaciela.

Wprawdzie Zwidlicz nie przyznał mu się, że kocha Stasię Korecką. Domyślił się sam.

Z całego serca życzył przyjacielowi szczęścia. Wiedział, że nikt może nie był tak godnym jak Zwidlicz.

O piątej byli już po obiedzie.

Siedzieli właśnie przy czarnej kawie, gdy gospodyni weszła i podała różowy liścik Zwidliczowi.

— Od kogo? — zapytał.

— Nie wiem! — odparła gospodyni. — Szłam właśnie głównymi schodami gdy zobaczyłam list w skrzynce. Niedawno musiał być wrzucony. Przed pół godziną spojrzałam do skrzynki, była pusta.

— Dziękuję.

Zwidlicz chwilę przyglądał się drobnemu pismu.

Uczuł w sercu dziwną żałość.

Poznał pismo. Rita Znamirowska pisała.

Otwarł kopertę.

Wyjął kawałek różowego papieru złożonego we dwoje.

Rozwinął papier.

Spodziewał się, że Rita pisała do niego o swej miłości, może nawet czyniła mu wymówki.

Zdziwił się, gdy zamiast oczekiwanej długiej treści, znalazł tylko dwa słowa: *Willa Elizabeth.*

Nic więcej.

Oglądnął list na wszystkie strony

— Ciekawe co to znaczy? — mruknął.

— Co takiego? — zapytał zaciekawiony Górski.

W milczeniu podał mu list.

Górski przeczytał.

— Rzeczywiście, — rzekł oddając. — Musi to mieć jakieś znaczenie. Może ci wyznacza schadzkę.

— Na pewno nie! — odparł Zwidlicz stanowczo. — Ona wie, że skończyłem z nią. To musi mieć inne znaczenie.

— O... Boże! — zawołał Zwidlicz radosnym głosem i pobiegł do telefonu.

Piotr i Górski spoglądali na niego ze zdumieniem.

Po chwili powrócił.

— Rita Znamirowska wyjechała o piątej Kurierem Warszawa-Kraków. Zgłosiła się służąca. Zostawiła ją, aby załatwiła ostatecznie wszelkie pozostałe czynności. Powiedziała jeszcze że pani nie powiedziała dokąd jedzie. Mówiła tylko, że Warszawę opuszcza na zawsze.

— Zadzwoniłem do Kowalskiego. Zerwała z nim kontrakt.

— Zatem ten list jest pożegnalny, — rzekł Górski, gdy Zwidlicz umilkł.

— Tak. O ile się nie mylę nie mogła mi lepszego prezentu pożegnalnego wręczyć.

Górski spojrzał na niego pytająco.

— Na razie nic nie będę tłumaczył, — mówił Zwidlicz. — Może się mylę.

— Piotrze przygotuj auto, jedziemy.

Piotr wyszedł.

— Wybacz, że cię pożegnam, — zwrócił się do Górskiego. — Przyjdź o godzinie wpół do dziesiątej wieczorem. Zaproś komendanta Marszczyckiego, sędziego Malińskiego, notariusza Czekańskiego, i mego kochanego redaktora Kamińskiego. Choć mi się nie wszystko powiedzie, chociaż myślę przeciwnie, to dzisiaj przeżyjemy wspaniały wieczór sensacyjny. Zatem do widzenia. Mam w Bogu niepłonną nadzieję, że moje zamiary powiodą się.

— Wszystko to będę zawdzięczał dwojga ludziom — dodał. — Piotrze i Ricie Znamirowskiej.

Z niezaspokojoną ciekawością Górski wyszedł.

Zwidlicz szybko narzucił na siebie palto, nabił rewolwer, popróbował ręczną latarkę elektryczną, wziął kilka narzędzi służących do włamania i wyszedł.

Piotr oczekiwał go z autem gotowym do jazdy.

— Jedź na Mahołów...Willa Elizabeth. Wskażę ci, — rzekł do szofera.

— O wiem gdzie ona jest, — odparł szofer. — Byłem tam dwa razy z Ridikiem.

— Bajecznie! — zawołał uradowany Zwidlicz. — Może nawet byłeś wewnątrz willi?

— Byłem. Znam jej rozkład.

— Wspaniale! Jadę tam z zamiarem włamania się. Po drodze objaśnisz mi rozkład mieszkań.

Piotr mówił a Zwidlicz szybko zapamiętywał sobie dokładnie wszystkie szczegóły.

Gdy zatrzymali się nie opodal willi, Zwidlicz już mniej więcej mógł się orientować wewnątrz.

Zostawił Piotra na straży i powiedział:

— Jeśli nie wrócę w ciągu godziny, zaalarmujesz Górskiego. Polecisz mu, aby przybył natychmiast z ludźmi.

— Adieu.

Piotr zatrzymał go.

— Może ja będę mógł panu towarzyszyć, — prosił.

— Nie! — odparł Zwidlicz stanowczo. — Tu mi jesteś więcej potrzebny niż tam.

Ciche westchnienie wyrwało się z piersi Piotra.

Wolnym krokiem oddalił się w kierunku auta i usiadł na dolnym stopniu.

Zwidlicz szybko podążył do willi.

Żaden promyk światła nie wskazywał na obecność mieszkańców.

— Mają dobre rolety, — pomyślał Zwidlicz.

Zatrzymał się przed kratą ogrodową. Przeskoczył ją zręcznie.

Drzwi wejściowe willi otworzył nadspodziewanie prędko dobranym wytrychem.

Więcej czasu zajęło mu odpinanie łańcuchów zabezpieczających wejście.

Piętnaście minut czasu stracił nad odrywaniem tychże.

Robotę swą wykonał mistrzowsko.

Uśmiechnął się nawet z dumą. Mógł być doskonałym włamywaczem.

Wszedł do ciemnej okrągłej sieni.

Nadsłuchiwał. Jakiś przytłumiony hałas dobiegał go z góry.

Zaświecił.

Spostrzegł schody wyłożone dywanem starym i przykrytym grubą warstwą kurzu.

Dywan w pośrodku był wydeptany od licznych stóp.

Pobiegł szybko na górę.

Zbliżane głosy stawały się wyraźniejsze.

Rozróżnił już głos męski i kobiecy.

Na dźwięk kobiecego głosu zadrżał z niewymownej radości.

Nie mylił się zatem. Tam była Stacha.

Przystanął pod drzwiami zza których wyraźnie słyszał głosy mówiących.

Kilka minut słuchał.

Wszystka krew zbiegała z jego twarzy, tak był przejęty. Musiał się chwilę zatrzymać aby odzyskać zimną krew.

Nigdy nie przypuszczał, by ten decydujący moment jego walki z Tajemniczym Maksem podziałał na niego tak piorunująco.

W połowie zdążył odzyskać zimną krew, gdy dobiegł go rozpaczliwy głos Stachy:

— Włody! Włody!

Wołała jego. W chwili największego niebezpieczeństwa myślała o nim.

Gorąca fala krwi uderzyła mu do głowy. Nie wypowiedziana radość wezbrała jego serce. Czuł się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Stacha kochała go. Przybył na czas.

Energicznie pchnął niezamknięte drzwi i stanął na progu z rewolwerem gotowym do strzału.

Lufę skierował w Norberta Bokundę.

— Jestem! — krzyknął donośnie.

Przerażony Norbert Bokunda odwrócił się.

— Ręce do góry Maks! — krzyknął Zwidlicz.

Wezwany usłuchał rozkazu.

Stacha uniósłszy głowę powitała Zwidlicza czarującym uśmiechem. Znękana jej blada twarzyczka pokryła się ciemnym rumieńcem. Lazurowe oczy błyszczały nieukrywaną radością.

Z wysiłkiem zeskoczyła z kanapy i chciała biec w stronę Zwidlicza.

Krzyknął ostrzegawczo.

Za późno.

Norbert Bokunda a raczej Maks schwycił ją w ramiona i zakrył się jak tarczą.

Zabrzmiał szyderczym upiornym śmiechem.

Zwidlicz opuścił bezradnie rękę. Twarz mu silnie pobladła.

Z utkwionym strasznym wzrokiem zbliżał się wolno do Maksa, trzymającego, usiłującą się wydobyć z jego rąk Stasię.

— Zwidlicz stój! — krzyknął Maks. W ręku błyszczał rewolwer. — Zastrzelę ciebie i ją.

Reporter zdał się nie słuchać tych słów. Szedł nieubłaganie naprzód.

Ten milczący pochód miał w sobie coś okropnego.

Była to groźna cisza przed burzą. Jego ciemne magnetyzujące oczy ciskały błyskawice.

— Stój mówię ci Zwidlicz! — krzyknął Maks, mimo woli cofając się krok w tył.

W głosie jego brzmiała nuta trwogi.

Zwidlicz postępował nadal.

Znajdował się już o trzy kroki od Maksa, gdy ten wystrzelił.

Błysk... huk... i okrzyk boleści wdarły się jednocześnie do duszy Zwidlicza.

Krzyk wydała Stacha. Dostrzegła wymowny skurcz twarzy Bokundy-Maksa.

Nadludzkim wysiłkiem przechyliła się na stronę błyszczącej lufy. Zakryła ją niemal swą piersią.

Padł strzał i poczuła dziwne gorąco i piekący ból w okolicy lewego ramienia.

Krzyknęła i zawisła zemdlona na rękach Maksa.

Ruch Stachy był tak niespodziewany dla Maksa, że na chwilę wyprowadził go z równowagi.

Z głośnym okrzykiem jak oszalały orkan, który niszczy wszystko co napotka po drodze Zwidlicz rzucił się na Maksa.

Zemdlona Stacha opadła na dywan silnie brocząc krwią.

Przez ułamek sekundy dojrzał Zwidlicz jej bladą twarz i czerwoną krew.

Targnęła nim dzika nienawiść. Wszystko co miał w sobie ludzkiego zamarło w jego sercu.

Niby ciężkim żelazem grzmotnął go pięścią w głowę.

Pragnął zemsty.

Z bezwładnej dłoni bandyty wypadł rewolwer.

Zwidlicz bezprzytomny z bólu i dyszący niepohamowaną żądzą mordu bił go pięściami na oślep. Nie uważał nawet gdzie padają jego miażdżące ciosy.

Instynkt pierwotnego człowieka, wymierzającego sobie samemu sprawiedliwość wziął nad nim górę.

Rozrzewnione zajadle nienawiścią, oczy były nieprzytomne. Z zaciśniętych ust spływały małe kropelki krwi.

W szale mordu natknął się na bezwładną kiść ręki Maksa. Złamał jak trzcinę.

Twarz Maksa tryskała krwią. Nos miał zmiażdżony. Kość policzkowa była złamana.

Jak bezwładna masa leżał zniekształcony przed Zwidliczem który z furią bił i bił...

Po kilkunastu sekundach oczy Zwidlicza nabierały przytomnego wyrazu.

Spojrzał przytomnie na leżącą przed sobą postać, która w tej chwili niczym nie przypominała człowieka. Raczej łachman ludzki. Krew bryzgała wokoło.

Ręce Zwidlicza były czerwone. Twarz zbryzgana od krwi.

Widział przed sobą tylko krew. Wszędzie krew, krew...

Powstał.

Przesunął po czole dłonią znacząc miejsce, gdzie dotknął czerwonej krwi.

Wzdrygnął się na ten okropny widok.

Odwrócił się ze wstrętem. Opadły go wyrzuty sumienia, że pozwalał unieść się.

Wzrok jego padł na leżącą Stasię.

Z okrzykiem boleści pochylił się nad nią.

Powierzchownie zbadał ranę. Kula przeszła pod lewym ramieniu znacząc krwawą pręgę pod pachą.

Odetchnął. Rana nie była niebezpieczną. Założył opatrunek.

Podczas zakładania improwizowanego bandaża, który urwał z wiszącej u okna białej muślinowej firanki, Stacha westchnęła i otwarła oczy.

Jego wzrok pełen boleści i niepokoju zetknął się z pięknymi oczami Stachy.

Kilka sekund patrzyła w jego czarne oczy nie zdając sobie jeszcze dokładnie sprawy z tego co zaszło.

Oderwała wzrok od jego czarujących ócz i dostrzegła bezkształtną okrwawioną postać Maksa.

Cicho krzyknęła.

Zasłonił jej swą postacią ten ponury widok.

Spojrzała na niego ponownie.

W jej szeroko otwartych oczach malował się wyraz niemej grozy.

— Stasiu, — szepnął cicho.

— Włody... odparła i zemdlała ponownie.

Uniósł ją delikatnie w ramionach i ułożył pieszczotliwie na kanapie. Teraz dopiero zobaczył swe czerwone od krwi rany.

Rozglądnął się po pokoju.

W prawym rogu spostrzegł prymitywną umywalnię z lustrem przybitym do ściany.

Podbiegł do lustra.

Przestraszył się sam swego uśpionego wyglądu.

— Nic dziwnego, że ją to przeraziło.

Nalał szybko wody do miednicy i umył się.

Napełnił szklankę stojącą na umywalni zimną wodą i podszedł do leżącej jeszcze nieprzytomnej Stachy i skrzepił jej skronie.

Uchylił lekko silnie zaciśnięte usta i wlał kilka ożywczych kropel.

Pierś Stachy podniosła się gwałtownie. Otworzyła oczy.

Uniesioną jej główkę trzymał w swych dłoniach długo...

Uśmiechnęła się przyjaźnie do niego.

Wziął ją w ramiona i wyniósł na powietrze. Nie chciał, aby zobaczyła ponury dramat jaki rozegrał się podczas jej omdlenia.

Zaniósł ją do auta.

Na spotkanie wybiegł uradowany Piotr.

— Już się zaczynałem mocno niepokoić, — zawołał radośnie. — Dzięki Bogu oddycham.

— Ale co to jest? Na pańskich rękach krew. Panna cała w krwi. — I głos jego był najwyraźniej zatrwożony.

— Później ci powiem. Powiem ci o wszystkim. Na razie ci powiem, że wszystko jest dobrze. Ta pani jest tylko lekko ranna. Krew, którą widzisz na moich rękach i płaszczu jest nie moja.

Spokojny ton mowy Zwidlicza uspokoił zaniepokojonego Piotra.

— Jedziemy, — krzyknął.

— Jeszcze nie, — odparł Zwidlicz. — Pójdę raz jeszcze do willi.

— Przypilnujesz pani.

Umieścił Stasię na miękkich poduszkach auta, jak mógł najwygodniej i oddalił się.

Stacha nic się nie odzywała. Była w jak najradośniejszym nastroju.

Nie czuła nawet bólu w ranie.

Ze spokojem oczekiwała powrotu Zwidlicza.

Wrócił w niespełna pół godziny.

Przyniósł z sobą jakąś bezwładną postać ludzką. Ułożył obok szofera i usiadł obok Stachy.

Auto ruszyło.

W milczeniu odbywali powrotną drogę.

Dłoń Zwidlicza ujęła pieszczotliwie miękką rączkę Stachy.

Na całej kuli ziemskiej nie było więcej szczęśliwych ludzi od tych dwoje.

Nie mówili nic do siebie. Nie trzeba im słów...

Nawet się nie spostrzegli, że auto zatrzymało się.

Piotr otworzył drzwiczki.

— Gdzie go mam zanieść, — zapytał wskazując ręką na ciemną nieruchomą postać.

— Tylnymi schodami do mego gabinetu. Gospodyni ci wskaże drogę.

Sam wziął Stasię w ramiona i uniósł do swego mieszkania.

Poddała mu się z rozkoszą. Pragnęła aby ją niósł tak lecz w nieskończoność.

W mieszkaniu ułożył ją delikatnie na kanapie i zadzwonił po lekarza.

Przywołany lekarz po założeniu opatrunku rzekł:

— Za dwa tygodnie nie będzie śladu z rany.

Zwidlicz z bezwczesnej radości, jaka rozpierała jego piersi uścisnął lekarza serdecznie.

Lekarz uśmiechnął się pobłażliwie, pożegnał i wyszedł.

Po wyjściu lekarza, Zwidlicz podszedł powoli do leżącej Stachy.

Usiadł na brzeżku kanapy i spojrzał miłośnie w jej jasne oczy.

Przelotny rumieniec pokrył bladą twarzyczkę. Oczy przysłoniła ciemnymi rzęsami.

Ujął delikatnie smukłą dłoń. Rozkoszne ciepło przeszło go na wskroś. Uścisnął trzymaną rączkę. Odwzajemniła mu się tym samym.

Spojrzeli sobie w oczy, głęboko zatapiając swój wzrok.

Cudne oczy Stachy błyszczały niewysłowioną radością. Usta lekko drżały.

Czarowny uśmiech wykwitł, wywierając na Zwidliczu głębokie wrażenie. Myślał, że znajduje się w zaczarowanym kole marzeń.

— Jesteś tchnieniem wiosny, — mówiły jego oczy. — Jesteś urzeczywistnieniem mych marzeń.

— Azali objawieniem, boginką uroczą, czy sennym złudzeniem jesteś? — pytał wzrok.

— Jestem tą, która cię kocha! — odpowiadały lazurowe oczy Stachy.

— Jakże cudną jesteś, — szepnął Zwidlicz w ekstazie. — Twe oczy, koloru firmamentu, upstrzonego miliardami srebrzystych gwiazd, przenikają w głąb mej duszy. Nic nie jest w stanie zmienić ich barwy. Ich ciemna głębia, jest jak cudna księżycowa noc majowa. Noc czarowna. Noc upojna błyszcząca w opalonym świetle uśmiechniętej pyzatej twarzy miesiąca. Twa piękna twarzyczka okolona złocistym kę-

dzierzem włosów jest twarzą madonny w świetlistej aureoli. O takiej właśnie marzyłem. Na ciebie czekałem. Teraz wiem, dlaczego spotkałem ciebie. Musiałem cię spotkać. Przez całe me życie byłaś mi gwiazdą przewodnią. Ty kierowałaś moimi krokami. Ja ciebie szukałem. O tobie śniłem. Byłaś mi przeznaczoną. Gdy patrzę teraz na ciebie mam niejasne przybłyski, jakobym cię już widział. Widział dawno. Może w przeszłym życiu znaliśmy się. Tamto życie zamarło. Przybraliśmy inną postać. Jednak należymy do siebie. Znam cię całe wieki istnienia.

Szukałem twej wiośnianej krasy po omacku. Błądziłem. W tym momencie wiem, że biegłem za twym srebrzystym głosem. Wołała mnie biel twoich rąk. Wiodła źrenic muzyka.

W szarych godzinach, mknąłem na twój zew. Całą jaźnią mej duszy oczekiwałem ciebie. Moja nieukojona tęsknota biegła ku tobie przez pola okryte szronem. Łąki kwieciste. Niebotyczne szczyty gór. Gęste bory ozłocone promieniami słońca. Rozwijałem skrzydła jak orzeł skalisty. Chciałem przelecieć świat wszerz i wzdłuż w poszukiwaniu. Pogodny błękit twych oczu był dla mnie celem. Dziwny rytm życia rozpalił nasze serca. Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy nie zdawałem sobie sprawy z tej wyśnionej chwili. Nie mogłem nawet przypuścić aby los uśmiechnął się do mnie. Na miliony ludzi, ja jeden mogę śmiało powiedzieć, że jestem w raju. Że nie przeoczyłem mego szczęścia. Bowiem ty jesteś wszystkim dla mnie... Ty... tylko ty...

Byłem ślepy w początkach cudownego naszego wprost zbliżenia się. Jak zwykły śmiertelnik zajęty zagadkami życia nie odczułem miłości, która mnie wiodła od samego początku zaistnienia.

Jak znękany podróżnik, który z nadmiaru cierpienia omija zbawczą cysternę, tak ja minąłem się z tobą.

Dobry Bóg mi pozwolił zbłądzić. Zetknął nas powtórnie.

Zdarł zasłonę z oczu. Serce robiło z najwyższą miłością. Miłością śpiewaną przez pieśniarzy.

Stasiu! Czy ty nie odczuwasz tego samego? Czy ty zdajesz sobie sprawę z ogromu mej miłości? Za tą chwilę upojenia, za tą sekundę szczęścia gotów jestem już teraz przenieść się w zaświaty z uśmiechem na ustach. Nie żal by mi było życia, gdyby los, który mi dozwolił dostąpić niebiańskiego szczęścia, zamknął mi oczy na wieki. Wiem, że żyłbym nadal, innym życiem... ale z tobą... zawsze z tobą...

Umilkł. Oczy nie zamilkły. Mówiły dalej...

— Piękną pieśnią są twe słowa, — szepnęła Stacha. — Ja nie zbłądziłam. Zapanowałeś niepodzielnie w mym sercu. Chwila twej wędrówki po omacku, była mi cierpieniem. Stokroć wynagrodził mnie dobry Bóg. Czuję, że jestem niemniej szczęśliwą od ciebie. Nie jestem w stanie określić mego szczęścia w tak pięknych słowach jak ty. Słuchałam ich jak cudownej melodii. Myślałam, że śnię. Czarowny sen. Długo pragnęłam śnić... długo.

— To nie sen jedyna. To jawa, — mówił. — Nic nas teraz rozłączyć nie zdoła. Należymy do siebie po wsze czasy.

— Ty moja... brzmienie jego głosu nabrało tak tkliwego tonu, że trudno jest oddać je na papier.

Drżący jego głos wkradł się do duszy Stasi, jak dźwięk gitary.

Z nadmiaru wzruszenia przymknęła oczy wsłuchując się w słowa miłości, które płynęły z ust Zwidlicza jak cudowna melodia.

Ciepło jego dłoni wnikało w nią jak upojony promień słoneczny.

Chwilę radosnego upojenia dwojga serc, przerwało głośne pukanie, jakie się rozległo od strony drzwi.

Zwidlicz jak nieprzytomny powstał. Całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

Skronie mu pałały. Krew głośno pulsowała w skroniach. Serce biło przyspieszonym tętnem. Ogrom szczęścia przeniknął całą jego istotą.

Ponowne natarczywe pukanie, podziałało na niego jak zimny tusz.

Opanował się. Spojrzał na Stasię. Była spokojna. Twarzyczkę miała zaróżowioną. Oczy błyszczały silnym blaskiem.

— Zaprosiłem tu kilka panów, — rzekł spokojnym głosem. — W chwili cudownych śnień zapomniałem o nich. Teraz rozegra się ostatni akt dramatu.

— Epilog będzie później — dodał spojrzawszy miękko w twarzyczkę Stasi.

Uśmiechnęła się.

Jej głębokie oczy roztoczy były pełne słodkich obietnic.

## ROZDZIAŁ XVIII

— Właściwy koniec dramatu, który poruszy całą Warszawę, odbędzie się teraz, — mówił Zwidlicz.

Ciemne jego oczy spoglądały spokojnie na zaproszonych gości. Siedzący po lewej stronie sędzia śledczy Ignacy Maliński, zimnym wzrokiem obserwował stojącego Zwidlicza. Notariusz Maurycy Czekański z wyraźną ciekawością przyglądał się wpół leżącej silnie zarumienionej Stasi Koreckiej.

Kilkakrotnie otwierał usta jakby miał zamiar o coś zapytać. Cisza panująca w pokoju i nieme oczekiwanie współtowarzyszy, odbierały mu odwagę.

Komendant wojewódzki P. P. Józef Marszczycki, skubał niecierpliwie szumiasty wąs. Naczelny redaktor pan Kamiński przecierał okulary.

Jeden tylko aspirant Górski siedział spokojny. Wzrok jego błądził obojętnie po wszystkich twarzach.

Stacha Korecka ze skupioną uwagą słuchała słów Zwidlicza.

Zwidlicz od czasu do czasu, rzucał na nią spojrzenie pełne miłości i szczęścia.

— Otóż, — mówił — dzisiaj mija pełne siedem miesięcy od dnia w którym podjąłem się intensywnie sprawy Maksa.

Zbrodniarz ten, który zaelektryzował i wzbudził powszechną grozę, popełniał swe nikczemne przestępstwa bezkarnie. Zajęty innymi sprawami nie miałem czasu i sposobności, zająć się wytropieniem go. Długi szereg miesięcy nękał policję i całe społeczeństwo.

O pojawieniu Maksa dowiedziałem się podczas bytności w Szwajcarii. Bawiłem wówczas w Genewie w celu wywiadu z posiedzenia Ligi Narodów. Mała notatka wcale mnie nie zainteresowała. Wprawdzie podane było, że popełnił kilka zbrodni a policja nie może natrafić na jego ślad. Nieobecność moja trwała pięć miesięcy. Dwukrotnie jeszcze dotarły do mnie wiadomości o nieuchwytnym Maksie. Poniekąd zaczął mnie zaciekawiać. Tym bardziej, że naczelny redaktor urgował mój powrót. Napierał w swych listach przejęcie sprawy Maksa. Przyjechałem. Na przeszkodzie stanęła mi, znana nam panowie sprawa zabójstwa Estreichera. Zajęła cztery miesiące. Miałem właśnie zamiar przystąpić do śledztwa już nie tylko szantażysty, lecz i trzykrotnego mordercy.

Odciągnęła mnie nowa sprawa. Wyjechałem na daleki wschód. Zaabsorbowany byłem konfliktem dwóch mocarstw orientalnych jak również rozruchami wewnętrznymi w jednym z tych państw.

W Szanghaju i kolejno w innych miastach bawiłem pięć miesięcy. Zdążyłem nawet zapomnieć o Maksie. Mój redaktor nic nie wspominał o nim w swych listach. Uważał, że więcej mu tam byłem potrzebny, niż w Warszawie.

Siedm miesięcy temu powróciłem, przyznam się nawet, że już stęskniony za ojczyzną i łaknący polskiej mowy.

Pamiętam, jakby to było dziś, z wielką radością witałem pierwsze światła stolicy.

Podczas drogi powrotnej zajęty byłem przygotowaniem ostatecznego raportażu o synach nieba. Nie miałem nawet czasu przeczytać polskich dzienników.

Z radością w sercu stanąłem na bruku warszawskim. Jak pięknej melodii wsłuchiwałem się w dźwięki ojczystej mowy. Zachwyconym spojrzeniem śledziłem dobroduszne twarze poczciwych rodaków.

Tuż obok mnie biegł nędznie odziany ulicznik z paczką pism. Jedno z nich trzymał w ręku i darł się na całe gardło: "Naaa...dzwy... czaaa...dodaaa... — Morderstwo! Krwawy wampir.

Zaciekawiony kupiłem. Przeczytałem o morderstwie bankiera Edwarda Kirley'a. Znałem go. Był starszy ode mnie o dziesięć lat. Przyjaźń nas łączyła od kilku lat. Nie był rodowitym Polakiem, jednak uważał się za takiego. Pogrążyłem się w smutku nad utratą przyjaciela. Wszedłem do redakcji. Przyjęto mnie radośnie i z oczekiwaniem. Zaraz na wstępie oświadczyłem, aby mi podano wszelkie szczegóły dotyczące krwawego zbira, znanego pod przezwiskiem Maks.

Szereg godzin spędziłem nad wiadomościami o tym demonie szantażu i zbrodni. Byłbym go może nie ścigał z taką zawziętością gdyby nie fakt, że był powodem mego smutku i żalu w chwili, gdy byłem przepełnionym radością.

Na zapytanie redaktora, czy podejmę się tej sensacyjnej sprawy odparłem, że nie tylko się podejmę, ale przysięgam, że albo zginę albo sam własnoręcznie oddam tego szatana w ludzkiej skórze w ręce sprawiedliwości.

Dyszałem żądzą zemsty, za utraconego przyjaciela. W życiu człowiek ma tak mało prawdziwych przyjaciół. Wówczas Kirley był mi jedynym najszczerszym przyjacielem. Był drugim mną. Uzupełniał mnie doskonale. Straciłem go. Przepełniony uczuciem silnej nienawiści, począłem tropić mordercę. Liczne noce spędzałem bezsennie w przeróżnych melinach złodziejskich. Narażałem życie. Schodziłem w najniebezpieczniejsze nory świata podziemnego. Poznałem ów światek przestępczy prawie na wylot. Na ślad Maksa nie mogłem na-

trafić. Badałem skrupulatnie biografię każdego, który wydał mi się cośkolwiek podejrzanym. Zetknąłem się wówczas kilkakrotnie z Karolem Boreniem. Przeniknąłem go na wskroś. Miałem pierwszy ślad.

Zwidlicz zaczerpnął głęboko oddechu. Ze stojącej na stole karafki nalał wody do szklanki i jednym haustem wychylił.

Milcząco przebiegł wzrokiem po twarzach wszystkich słuchaczy. Słuchali w najgłębszym skupieniu. Nie przerywali najmniejszym słowem.

— Zacząłem Karola Borenia pilnie śledzić. Doszedłem do wniosku, że jest narzędziem w rękach nieuchwytnego Maksa...

— Cooo!... — wykrzyknął komendant Józef Marszczycki, przerywając. — Więc Karol Boreń nie jest Maksem?

Na twarzach pozostałych malował się wyraz zdumienia. Nawet aspirant Górski spojrzał na mówiącego Zwidlicza z najwyższym zainteresowaniem.

— A któż nim jest? — odezwał się dotychczas milczący sędzia śledczy.

— Ależ to będzie największą sensacją — wykrzyknął radośnie naczelny redaktor. On tylko myślał o tym, jakby tu zaciekawić czytelników. Nie obchodził go fakt, że Maks był skromnym zbirem i postrachem Warszawy. Dla niego był niewyczerpanym źródłem sensacji.

Zerwał się z miejsca i podbiegł do Zwidlicza.

— Proszę powiedzieć prędko, któż nim jest? — zapytał gorączkowo. Cały był podniecony. Twarz mu pałała. Oczy zawisły na ustach reportera.

— Powoli... powoli... na czas panowie będziecie wiedzieć o wszystkim, — ciągnął Zwidlicz. Nie był wcale zbudowany niecierpliwością słuchaczy. Głos jego był spokojny. Masowy jak uderzenia ciężkich kół lokomotywy o stalowy tor.

Rozczarowany redaktor usiadł z powrotem na miejscu. Kręcił się niespokojnie. Błagalny wzrok utkwił w skupionej twarzy Zwidlicza.

W ręku trzymał notes. Drugi koniec ołówka gryzł zębami. Drżał cały z niecierpliwością.

Z całego towarzystwa, jedna Stacha Korecka uśmiechała się czarująco. Jej jasne oczy były pełne dumy i miłości.

— Najgorszym było dla mnie, — mówił dalej Zwidlicz,—stwierdzić i odkryć miejsce schadzek i porozumień Borenia z Maksem. Mimo możliwych badań i wyczerpującego śledztwa nie mogłem wpaść na trop. Nigdy nie zauważyłem, aby Boreń przebywał w towarzystwie jakiegoś mężczyzny dłużej niż z innymi. Podejrzewałem chwilowo jego kochankę hr. Annę Kruszeńską. Może ona jest inicjatorem a Ka-

rol Boreń wykonawcą. Byłem po prostu cieniem nieodstępującym ani na krok Borenia. W najrozmaitszych przebraniach znajdowałem się zawsze tam gdzie przebywał Boreń. Wkradłem się nawet kilkakrotnie do willi hr. Anny Kruszeńskiej, lecz tylko po to aby stwierdzić, że hr. Anna Kruszeńska wie tyle ile prawie jej piękny Karolek. Ona kochała nędznika ponad wszystko. Zwierzał się jej ze wszelkimi sprawami. Biadała nad tym. Nawet mu nieraz doradzała. Zrozumiałem to jednak nie jako chęć pchnięcia Karola Borenia do zbrodni, lecz jako czynnik mający na uwadze jego bezpieczeństwo. To jasne. Kochała go, więc obawiała się o niego. Jej łzy, biadania, wcale nie wzruszyły żadnego życia i użycia występnego kochanka.

Byłem wściekły na siebie, że nie potrafię przyłapać Karola Borenia z Maksem. Wcale nie uważałem go za sprytnego. W tym jednak wypadku przeszedł sam siebie. Uczynił to paniczny strach i trwogę przed Maksem. On kierował wszelkimi sprawami. Panowie, ten człowiek mimo wszystko był dobrym strategikiem. Umiał dowodzić i kierować ludźmi. Słuchali go. Lecz słuchali jako psy czujące bicie pana w pobliżu.

Zabójstwo śp. st. przod. Janusza Gruzińskiego nie wprowadziło mnie na żaden ślad. Dowiadywałem się gdzie bywał podczas ostatnich dni. Bywał przeważnie w kabarecie pod Niebieskim Ptakiem.

Postanowiłem się tam udać. Właśnie w ów wieczór, gdy udało mi się ocalić pannę Stanisławę Korecką z rąk najemnika Heskiego, miałem się udać do Niebieskiego Ptaka.

— Aha! Zapomniałem jeszcze dodać, że podczas dochodzeń ostatnich dni przodownika Gruzińskiego, natrafiłem na ślad kryjówki bandy Maksa. Szczegóły panowie znacie.

Podczas drugorazowego niesienia pomocy pannie Koreckiej w czasie walki w jej pokoju z Maksem, wyleciała temuż z kieszeni mała fotografia. Był to tylko moment, gdyż przewróciłem się na podłogę. Maks uciekł zgasiwszy światło. Podniosłem się z ziemi i podniosłem fotografię. Mimo ciemności znalazłem ją. Następnie pobiegłem za Maksem. Znacie te szczegóły. Idźmy dalej.

Nazajutrz po uwolnieniu panny Koreckiej i ujawnieniu przeze mnie kryjówki straciłem ostatnią nadzieję schwytania Maksa. Oglądnąłem fotografię. Przedstawiała znakomitą primabalerinę Ritę Znamirowską. Pochodziła jeszcze z jej dawnych czasów, gdy nie była artystką.

Dedykacja na odwrotnej stronie dała mi dużo do myślenia. Bowiem: "Mili.. dla ciebie — Rita" — tak brzmiąca treść dedykacji nic nie mówiła. Data była. Nie było roku. Skojarzyłem wówczas częste przebywanie Gruzińskiego w kabarecie. Ona była pewnie Maksem, lub jego kochanką. Domyśliłem się, że prędzej kochanką, gdyż słowo

"Mili", mogło być pieszczotliwym brzmieniem do imienia Maksymiliana. Zająłem się artystką.

Spojrzał na Stasię Korecką znacząco. Ciemny rumieniec wybiegł na jej piękną twarzyczkę.

— Rita Znamirowska, jako artystka była znakomitą. Uprzedziła mnie. Zgodnie z mym zamiarem, sama zawarła ze mną znajomość. Nawet potrafiła mnie usidlić. Później dowiedziałem się od niej samej. Czyniła to na rozkaz Maksa. Wiedział, że jestem na jego tropie. Bardzo zręcznie zainicjował morderstwo Pankie'a. Podstawił Alfreda Nicewa. Usidlił go i narzucił na myśl morderstwa i rabunku. Nicew był w wielkich kłopotach pieniężnych. Skorzystał z okazji. Pod płaszczykiem osławionego imienia dokonał zbrodni. Był przekonany, że policja weźmie zbrodnię na kark Maksa. Te zręczne posunięcia, były wadliwe w mistrzowskiej grze, demona zbrodni. Podrzucił nawet bransoletkę Rity aby skojarzyć jej współdziałalności z Nicewem. Przyznam się nawet, że mnie to trochę zdezorientowało. Zgadzało się to zupełnie z moimi podejrzeniami. Nicew kochał artystkę. Był nawet przez nią przyjmowany. Mógł być zatem doskonale Maksem, a ona jego kochanką, Rita nie wiedząc sama nawet o tym wyprowadziła mnie z błędu.

W momencie, gdy udawałem się w towarzystwie zaniepokojonego Kowalskiego do gabinetu Pankie'a, siedziała w towarzystwie jednego pana.

Właśnie tego pana zacząłem podejrzewać. Przechodziłem obok ich stolika. Nachyliłem się zręcznie koło towarzysza Rity i udałem, że podniosłem ową fotografię. Był to jednak gracz nie lada. Nie drgnął nawet powieką. Spokojnym głosem odparł mi, że fotografia nie do niego należy. Mniej panująca Rita, poznała natychmiast swą fotografię. Zdumiona spojrzała na towarzysza. W jej oczach malował się niemy wyrzut. On najspokojniej w świecie nalewał sobie wino do szklanki.

— To moja, — wykrzyknęła Rita. — Nic nie dodała. Zapytała tylko, gdzie znalazłem. Oddałem jej. Wprawdzie pozbywałem się wręczonego dowodu. Był on zresztą zbyteczny. Nie mogłem przecież udowodnić, że fotografia wyleciała z kieszeni towarzysza Rity. Wiedziałem już kto jest Maksem. On też wiedział. Zaprosił mnie do towarzystwa.

Padłem potem ofiarą zamachu. Śledziłem go. Był za sprytny... aby dopuścić do tego. Umiał zawsze mi się wykręcić. Oddałem w ręce policji jego towarzyszy. On polecił Boreniowi nastawienie na mnie pułapki u Dziobatego. Wiedział, że może się to udać. Wiedział też, że Boreń może się dostać w ręce policji. Nie był mu potrzebny. Chciał się go pozbyć. W więzieniu miał go pozbawić życia. Jeden Boreń znał go. Musiał zginąć. Niestety wypadki szybko po sobie następujące zgu-

biły go. Porwał w międzyczasie Korecką. Morderstwo stryja Koreckiej było drugim fatalnym błędem z jego strony. Wysłany przeze mnie kablogram do Ameryki naprowadził mnie na ślad drugiego wspólnika. Był nim Jasiński. On wymierzył w zyskowną sprawę. Bowiem Zygmunt Korecki dorobił się w Ameryce milionów. Był samotny. Starość poczęła mu ciężyć. Tęsknota za krajem, za rodziną przywiodła go do Polski. Przed swym powrotem dowiedział się przez prywatną agencję detektywiczną "Anum" w Polsce o istnieniu swej jedynej krewnej, córce brata Ignacego. Mimo, że był jeszcze zdrowym człowiekiem zrobił testament. Kierował nim kaprys. To go zgubiło. Podczas spisywania testamentu obecny był Jasiński. Dowiedział się o istnieniu Stanisławy Koreckiej i o tym, że Zygmunt Korecki czynił ją spadkobierczynią połowy majątku. Drugą połowę zapisał jej przyszłemu mężowi. Jaką myśl miał nie wiadomo. Prawdopodobnie pragnął aby w małżeństwie swej bratanicy była równowaga.

Prawdopodobnie przeszedł w życiu jakąś tragedię miłosną. Może właśnie z powodu majątku. Nie uwiadomił panny Stanisławy Koreckiej o niczym. Chciał widocznie czuwać nad nią z daleka. Może pragnął wypłynąć na widownię dopiero w chwili, gdy młoda dziewczyna zapragnie wstąpić w związki małżeńskie. Tak być musiało istotnie. Znaleziony przeze mnie testament w willi Maksa a zrabowany w dniu zabójstwa testatora, na kopercie ma napis "otworzyć na wypadek mej śmierci w dniu ślubu mej bratanicy Stanisławy Koreckiej, córki Ignacego i Ireny Koreckich rodem z Koryńca".

Obok zapieczętowanej koperty leżał odpis testamentu. Stąd znam jego treść. Znał ją też Maks. Uwiadomił go o wszystkim Jasiński. Ci dwaj zbrodniarze znali się od dawna. Właśnie podczas badania aktów spraw dotyczących Jasińskiego natknąłem się po raz pierwszy na nazwisko Maksymiliana Kartnera. Występował jako świadek w jednej ze spraw Jasińskiego. Sprawa datowana była jeszcze z r. 1922. Po nitce dotarłem do głębka. Ustaliłem tożsamość Kartnera. Rodem był z Górnego Śląska. We Wiedniu ukończył uniwersytet. Po śmierci rodziców odziedziczył pokaźny majątek. Z tej samej miejscowości co on pochodziła Rita Znamirowska, raczej Eugenia Rogerówna. Rita Znamirowska było jej artystycznym pseudonimem. Maksymilian Kartner i młodsza od niego piętnaście lat Rita kochali się. Miłość ich nie trwała długo. Bogaty Kartner porzucił ubogą Ritę. Po niejakim czasie ożenił się z bogatą ziemianką z Ostrowskiej. Zamieszkał w Warszawie. Rita Znamirowska oddała się scenie. Po dwóch latach cierpień zabłysła na horyzoncie warszawskim. Kartner poznał ją. Uśpiona miłość targnęła nim. Żony swej nie kochał. Kochał Ritę. Rita go nienawidziła z całej duszy. Właśnie ta nienawiść uczyniła ją sławną artystką. Gardziła wszystkimi mężczyznami. Rujnowała ich. Prowa-

dziła do zguby. Nieraz i do samobójstwa. Była to wina Kartnera, który brutalnie podeptał jej pierwszą miłość. Zapłacił za to drogo. Zrujnowała go doszczętnie. Z rozpaczy umarła mu żona. Jak nędzarz bez majątku, rodziny, zjawił się przemocą wtargnąwszy do garderoby artystki. Wyśmiała go i wyrzuciła. Ukarany za swą zbrodnię zniknął z Warszawy. Półtora roku nie było go. Pewnego dnia wypłynął na widownię. Był bardzo zmieniony. Twarz mu się silnie zaostrzyła. Skronie posiwiały. Jedna Rita była w stanie rozpoznać w nim dawnego Maksymiliana Kartnera. Uczucia kobiety są niezbadane. Może go jeszcze kochała sama o tym nie wiedząc. Przychodził do niej. Obsypywał klejnotami. Raczej podświadomie niż z nienawiści rujnowała go nadal. Miał on jednak źródło dochodów. Grasował po Warszawie jako nieuchwytny Maks. Jego wykształcenie i wybitna indywidualność pozwoliły mu zająć w społeczeństwie wysokie stanowisko. Mimo drobiazgowych dochodzeń nie mogłem ustalić skąd przyszedł do pieniędzy po ośmnastomiesięcznej nieobecności. Najprawdopodobniej drogą zbrodni. Dochody z zajmowanego stanowiska i posiadanego majątku nie były w stanie zaspokoić jego wydatków. Prócz swej zgubnej miłości ku Ricie lubował się w hazardzie. Hazard był jego żywiołem. Grał w karty, na wyścigach. Każda gra i to o bardzo wysokie stawki pochłaniała jego olbrzymie dochody. Był to człowiek wyzbyty z wszelkich skrupułów. Na polu zbrodni okazał się geniuszem. Z niesłychaną zuchwałością dokonywał morderstw i rabunków. Bardzo zręcznie zacierał wszelkie ślady za sobą. Umiał się wkraść w zaufanie ludzi, którzy mogli go zgubić. Był nawet ich przyjacielem. Przyjaźń zwykle prowadzi do wyznań. Jego znajomość psychologii była wszechstronna. Na każdego człowieka, którego potrzebował umiał oddziaływać. Znajomi i przyjaciele sami nie wiedząc o tym oddawali mu przysługę. Był dobrym znajomym pana sędziego śledczego. Jako nieoceniony przyjaciel przyjmowany przez pana komendanta Marszczyckiego okazał się znakomitym partnerem do bridża...

Komendant Marszczycki na te słowa poruszył się niespokojnie na krześle.

— Dużo jeszcze mógłbym dać przykładów. Jest to jednak zbyteczne. Miał nawet duży udział w naszym dzienniku.

Naczelny redaktor Kamiński otworzył usta ze zdumienia. Miał tak komiczny wyraz twarzy, że poważna twarz Zwidlicza rozjaśniła się. Uśmiechnął się ukazując szereg białych zębów.

— Któż to jest ten człowiek? — krzyknął notariusz Czekański, nie mogący już zapanować nad nurtującą go ciekawością.

— Pański serdeczny przyjaciel od serca, — odparł Zwidlicz wesoło. — Kampan licznych zabaw i różnych przygód pikantnych. Ślubowaliście sobie nawet przy kieliszku szampana w towarzystwie zgrabnych fordanserek dozgonną przyjaźń.

Biedny notariusz poczerwieniał gwałtownie. Ze wstydem spojrzał ukradkiem na Stasię Korecką. Żałował bardzo swego zapytania. Wściekły był na Zwidlicza za jego gadatliwość. Poważny wyraz twarzy i przymknięte oczy Stachy uspokoiły go nieco.

Z niemym wyrzutem w oczach spojrzał na Zwidlicza.

Reporter dostrzegł jego zmieszanie. Ugryzł się w język. Sam żałował, że pozwolił tak unieść się swemu krasomóstwu.

Postanowił naprawić swój błąd.

— Panowie, — rzekł głośno. — Tym zbrodniarzem, szatanem, wampirem, demonem występku jest...

Zatrzymał się na moment. Chciał wywrzeć jak największe wrażenie na słuchaczy. Udało mu się to w zupełności.

Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu. Oczy zawisły na wargach. Niczym niezamącona cisza zapanowała wokoło. Wstrzymali oddech.

— Maksymilian Kartner alias Norbert Bokunda, prezes Syndykatu naftowego, — zakończył swym metalicznym głosem Zwidlicz.

Po tych słowach twarze wszystkich słuchaczy to bladły to znowuż na przemian czerwieniały. Nikt nie był w stanie ze zdumienia wyrzec ani słowa.

Zwidlicz klasnął silnie w dłonie.

Zwisające u drzwi prowadzących do jego gabinetu, portiery uchyliły się.

W obramowaniu ukazał się Piotr, prowadząc zabandażowanego i zmienionego zupełnie Norberta Bokundę. Był tak słaby, że całym ciężarem zawisł w krzepkich ramionach Piotra.

Jego twarz pokryta prawie całkowicie bandażami była śmiertelnie blada. Siwe kosmyki włosów przylepione były do skóry. Nie przypominał wcale swym wyglądem eleganckiego Norberta Bokundy, znanego światowca. Był poprostu cieniem człowieka.

Zwidlicz skinął ręką. Piotr na ten znak wycofał się unosząc za sobą Kartnera.

— Dotrzymałem słowa, — rzekł Zwidlicz. — Sam własnoręcznie oddaję w ręce sprawiedliwości mordercę mego przyjaciela Kirley'a, i wielu innych jeszcze.

Opowiedział im jeszcze o uratowaniu Koreckiej. O swej walce z Maksem. Ze skruchą przyznał się do winy.

— Nie panowałem nad swymi nerwami, — zakończył Zwidlicz opowiadanie.

Zaczęły się powinszowania i życzenia. Sędzia Maliński i komendant Marszczycki zapraszali się na ślub.

Naczelny redaktor podbiegł do telefonu i szybko dyktował dyżurującemu urzędnikowi z tej ultra sensacji.

Aspirant Górski podszedł do Zwidlicza i szepnął mu na ucho. Zwidlicz poczerwieniał. Uścisnął serdecznie dłoń przyjaciela.

— Dobrze, ja się zgadzam. Na drugie będzie miał Marian, o ile Bóg dozwoli dostąpić mi tego szczęścia.

— A teraz moi panowie zakończymy ten wieczór przy sklance wina.

Mocno zarumieniona ze wzruszenia i radości z powodu szczęścia swego pupila, gospodyni przyniosła tacę z kieliszkami i butelkę złocistego płynu.

Trącono się kieliszkami. Życzeniom i wiwatom nie było końca.

Pierwszy oprzytomniał sędzia Maliński.

— Panna Korecka potrzebuje spokoju, — rzekł. — Z żalem musimy jednak pożegnać gościnnego gospodarza i dobrego ducha Warszawy.

— Ze względu na późną porę, — powiedział Zwidlicz, — zmuszony jestem udzielić gościnności pannie Koreckiej w swym skromnym mieszkaniu. Sam udam się na noc do mego przyjaciela Górskiego.

Wkrótce pożegnali wszyscy przepełnioną najwyższym szczęściem Stasię i opuścili mieszkanie.

Wzruszona do głębi Stacha Korecka przymknęła oczy i marzyła.

Srebrzysty promień księżyca wyglądał ciekawie przez okna.

## ROZDZIAŁ XIX

Minęło cztery miesiące. Cudowny czar wiosny opromienił ziemię.

Radosny świergot ptaków rozbrzmiewał wokoło. Przeczysty błękit nieba działał kojąco na wszystko co żyło. Ciepły wietrzyk strącał białe płatki wonnego kwiecia. Upojna woń jaśminu unosiła się w powietrzu. Zapach kwitnących bzów oszołomiał. Jasne promienie słońca mieniły się barwami tęczy na drzewach pokrytych kwieciem. Strzeliście wyrastająca zielona trawka chyliła kaźnie swą smukłą kiść. Bezkresne obszary łąk, pokrywały ziemię, niby wzorzysta tkanina, utkana cudownie bajecznie kolorowym kwieciem, umiejętną dłonią matki przyrody.

Smukłe topole spoglądały dumnie na ten bezmiar radości i szczęścia kąpiąc się w promieniach słonecznych.

Szerokopienne rozłożyste kasztany wypuszczały purpurowo-białe pęki. Ich ciemno-zielone liście igrały wesoło.

Smętne wierzby pokryte wąsko-długim seledynowym liściem szemrały cichutko, tajemniczo.

Szeroko-listna kalina przeglądała się w zwierciadle kryształowego strumienia.

Radość i niezmierna szczęśliwość panowały niepodzielnie w tej krainie wonnego kwiecia, smętnych szeptów, cichych zaklęć upojnych zapachów słodkiego śpiewu ptasząt.

— Wiosna! Wiosna! — biegł okrzyk triumfalny hen w przestworza.

Wybrzeżem królowej naszych rzek, modrej Wisły, wijącej się niby srebrzysta szeroka wstęga wiła wolno dwoje ludzi.

Upojeni czarem najpiękniejszej pory roku, trzymali się za ręce. Ich oczy tknęły bezgraniczną miłością.

Owe dziewczę cudnej krasy, odziana w przewiewną jasną sukienkę, była raczej nieziemskim zjawiskiem, niż istotą prowadzoną przez przystojnego smukłego mężczyznę. Jej hoża postać odbijała się jaskrawo na tle otaczającej ich przyrody.

Szeroko rozwarte, lazurowe oczy, obejmowały radośnie tę krainę baśni i czaru.

Karminowe usteczka niby soczyste wisienki, rozchylały się rozkosznie.

Wiotka kibić poddawała się całkowicie, działaniom promieni słonecznych.

Złociste włosy, okalające zaróżowioną twarzyczkę, igrały wesoło w przewiewnym wietrzyku wiosennym.

Drobna biała rączyna ginęła w dużej krzepkiej dłoni mężczyzny.

Zgrabne nóżki tonęły w przejrzystej trawce. Czyże jaskółki, jakby odgadując w niej wieszczkę, zwiastunkę wiosny, muskały odważnie piękną główkę, swymi skrzydełkami świerkając radośnie.

W wesołych pląsach przelatywały kolorowe motylki. Krzętne pszczółki ulatywały z kwiatów, napełniając powietrze cichym brzęczeniem.

Mały polny konik wyskakiwał w górę unosząc się w dal. Pracowite mrówki przemykały się zręcznie pomiędzy drobną trawką zajęte swą mozolną pracą.

Z głośnym klekotem wzlatywał w górę bociek szybko wachlując swymi dużymi skrzydłami. Jego długi czerwony dziób szerzył strach i zgrozę w państwie wodnym. Z przerażeniem kryły się małe żabki i ohydne jaszczurki.

Od czasu do czasu przelatywało stado szarych wróbelków, wiernych ptasząt, nie szukających opieki podczas mroźnej zimy pod opiekuńczym słońcem południa.

Hen wysoko w górze śpiewał cudownie mały skowronek. Tkwił nieruchomo w powietrzu, trzepocząc szybko skrzydełkami.

— Jak tu pięknie! — zabrzmiał srebrzysty głosik Stachy.

— Cudownie! — odparł Zwidlicz.

— Stasiu! — szepnął po chwili. — Widzisz tą ciemną murawę na brzegu Wisły. Ona nas wabi. Nęci aby tam odpocząć i upajać się szczęściem panującym wokoło.

Uścisnęła lekko trzymaną dłoń i pociągnęła w kierunku wskazanym przez niego.

Usiedli blisko siebie. Serca biły zgodnym tętnem.

U stóp płynęły cicho modre fale Wisły. Małe srebrne rybki prześcigały się szybko, prując fale drobnymi skrzelami.

— Stasiu, — szepnął Zwidlicz. — Jestem nieprzytomny od szczęścia. Chwilami myślę, że to czarowny sen. Moja bezgraniczna miłość zapiera mi dech w piersiach. Powiedz! Czyż nie jesteśmy wybrańcami losu? Na tyle milionów ludzi, nie wiem, czy jest na świecie, kto, aby czuł to co ja czuję. Czyż to nie cudowne? Nad nami Bóg. Przed nami srebrna wstęga Wisły. Za nami kwieciste łąki. Złocista kula słońca z czystego błękitu śle ku nam ciepłe promienie. Z nadmiaru szczęścia rozełkałem się... rozełkałem...

Radość się we mnie pali. Serce szczęścia pełne niby wina puhar złoty. Twe oczy błękitu pełne, ukazują mi pół wonny poemat.

Doprawdy Stasiu! Nie wiem czemu mam przypisać nasze spotkanie. Mam wrażenie, że nas coś łączyło wspólnego. Jakiś tajemniczy

węzeł wspólnych wzlotów ducha, jakiś nieokreślony splot pokrewnych naszym sercom uniesień.

Stasiu! Miłuję cię z całej duszy. Ty moja. Ty...

Objął ją ramieniem. Przymknęła oczy. Swe drobne rączki zarzuciła na jego szerokie barki.

Spragnione usta Zwidlicza zwarły się z ustami Stasi.

W tym pierwszym pocałunku trwali długo... długo... i tylko modre fale Wisły szumiały cichutko, mówiąc hen w dal... hymn pełen triumfu... hymn miłości i radości, jednym tętnem bijących serc...
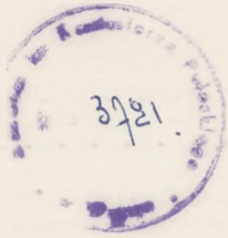
KONIEC